

HISTORIA **JOHANNA REICHHARTA**, CZŁOWIEKA, KTÓRY  
WYKONAŁ NAJWIĘCEJ EGZEKUCJI W DZIEJACH LUDZKOŚCI.



MAX CZORNYJ

**KAT  
HITLERA**

FILIA

**MAX CZORNYJ**

**KAT  
HITLERA**

**FILIA**





*Wszystkim bohaterom stawiającym odpór  
totalitaryzmem – przeszłym i teraźniejszym.  
Przyszłe niech stanowią jedynie kanwę dystopii.  
Obrońcom Bachmutu. Herojom.*



„Jeśli nawet nie dam sobie rady z dreszczami i tak dalej – to nic. Jeździec nie odpowiada za drżenie konia. Chcę wiedzieć, kiedy – oto dlaczego: rekompensatą za wyrok śmierci jest dokładna znajomość jej godziny. Luksus wielki, lecz zasłużony”.

Vladimir Nabokov,  
*Zaproszenie na egzekucję*,  
tłum. Leszek Engelking





Wydarzenia przedstawione w tej książce są prawdą. Prawda po raz kolejny okazuje się bardziej makabryczna od najgorszej fikcji.

# 1.

Dzwon bije jak oszalały. Naczelnik więzienia z obłądną satysfakcją pociąga za krótki sznur. W jego oczach dostrzegam dziki błysk. Jakby właśnie ta chwila, ten krótki moment, stanowiła sedno jego pracy. Widzę to nie po raz pierwszy. Jego policzki są zaróżowione, choć rano się nie ogolił i sterczy z nich króciutki, siwy zarost. Nie znoszę niechlujnych ludzi w swoim otoczeniu. Naczelnik jest gruby i szarpiąc za sznur, sapie niczym świnia, która rzuciła się na żer. To dobre skojarzenie, bo tacy jak on zeżrą wszystko.

Wymieniamy spojrzenia. W moim wzroku nie wyczyta żadnych emocji – ani względem siebie, ani wobec skazanego, ani świata. Jestem białą kartą, na której zapisane zostanie tylko jedno słowo: ŚMIERĆ. Nic więcej.

Naczelnik oddycha głęboko, nie wypuszczając sznura choćby na sekundę. Wzynający się w móżg wysoki ton gongu niesie się po pomieszczeniach, korytarzach oraz dziedzińcu. W całym ośrodku nie ma ani jednej osoby, ani jednego strażnika lub więźnia, którzy by nie wiedzieli, że właśnie odbywa się egzekucja. Jutro lub za tydzień bicie tego samego dzwonu może obwieścić ich śmierć.

Poprawiam owiązaną wokół szyi muchę i wciągam białe rękawiczki. Sięgam po leżący na kwadratowym stoliku cylinder. Wszystkie elementy mojej garderoby są doskonale czyste. Nie ma na nich pyłku kurzu, brudu ani zbędnego zagniecenia. To kwestia szacunku. Do ofiary, prawa i samego siebie. Przede wszystkim jednak to kwestia szacunku wobec śmierci. Czasem sobie wyobrażam, że stoi tuż obok mnie, na przykład gdzieś obok tego tłustego naczelnika albo jeszcze bliżej. Niemal dotyka mojego ramienia. Niemal prowadzi moją rękę.

Wtem brzęka zasuw, po czym otwierają się drzwi. Do sali wchodzi strażnik i ksiądz. Za nimi podąża przygarbiony mężczyzna prowadzony przez moich asystentów. Założono mu kajdanki opracowane według mojego własnego projektu. Pozwalają na w miarę swobodne ruchy i nie przypominają średniowiecznych łańcuchów.

Skazaniec ma około trzydziestu pięciu lat, jajowatą głowę i wąsy zwieszające się ponuro nad jego warg. Jest błądy i trzęsie się tak bardzo, że przypomina paralytyka. Głośno pociąga nosem. Po wejściu do sali rzuca wokół spojrzenie spłoszonego zwierzęcia, a na mój widok wpada w panikę. Usiłuje się wyrwać, lecz wszyscy są na to gotowi. Płacze, na przemian bezsensownie krzycząc i głośno się modląc.

Przez cały czas wali więzienny dzwon. Wszystkie odgłosy zlewają się w upiorną kakofonię, która – jak dla mnie – nie jest godna tej chwili. Umierać powinno się w ciszy.

Bocznymi drzwiami do sali wchodzi sędzia oraz prokurator. Wymieniają ze mną porozumiewawcze spojrzenia i dają znać, bym rozpoczął egzekucję. Sięgam do kieszonki fraka, po czym ukradkiem włączam stoper w kieszonkowym zegarku. Pośpiesznie go chowam, a moi asystenci popychają skazańca ku stojącej pionowo desce. Brutalnie go do niej dociskają, tak że podbródek mężczyzny wspiera się na łukowatym wycięciu. Jego wrzaski niosą się echem, lecz to nie ma żadnego znaczenia. Ten los został już dawno przesądzony.

– Gotów – oznajmiam.

Sędzia, przygarbiony, przypominający żółwia staruszek, kiwa łusą głową.

– Kacie, czyń swoją powinność – nakazuje urzędowym tonem.

Kładę dłoń na metalowym kołowrocie, co stanowi znak dla moich asystentów. Gwałtownie obracają konstrukcję, kładąc skazańca w poziomie. Chwilę później popychają stelaż tak, że

mężczyzna dosłownie wjeżdża pod ostrze. Metalowy pręt dociska jego plecy do deski. Więzień na oczach nie ma opaski, więc może spojrzeć wprost do kosza z trocinami, w którym jest pełno krwi. Przynajmniej wyjęto z niej głowę poprzedniego skazańca, jego współnika.

– Błagam... – Mężczyzna niemal piszczy. – Nie... Nie!

Wstrząsają nim torsje. Nie zamierzam jednak czekać ani na to, aż zwymiotuje, ani na mądrzejsze ostatnie słowa. Momentalnie zwalniam specjalnie dobrane pięćdziesięcioosmiokilogramowe ostrze gilotyny. Rozlega się cichy szmer, a potem tępy trzask. Kęgi zostały przecięte niczym żeberka pod rzeźnickim tasakiem. Głowa skazańca wpada do kosza, a na podłogę tryska krew.

Nie ściągając rękawiczek, ponownie sięgam po zegarek. Zatrzymuję stoper i z dumą stwierdzam, że od momentu jego uruchomienia do ścięcia skazańca minęło jedynie dwadzieścia siedem sekund. To nowy rekord.

Dokonałem tego, co uważano za niemożliwe. Rzucam rękawiczki na ziemię i nie odwracając się, wychodzę z sali. Mogę świętować.

## WCZEŚNIEJ

### 2.

Urodziłem się drugiego kwietnia tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku, a więc jestem niemal co do dnia o cztery lata młodszy od kanclerza Rzeszy, Adolfa Hitlera. Jednak jego rola będzie miała dla tej historii znaczenie dopiero wkrótce. Siłą rzeczy w tamtym czasie moi rodzice nie słyszeli ani o nim, ani o jego rodzinie. Nie było mowy o narodowym socjalizmie i o Wielkiej Wojnie. Być może czasem rozmawiano o egzekucjach, lecz akurat w tym nie było niczego dziwnego.

Przyszedłem na świat w Wichenbach nieopodal Wörth an der Donau w Bawarii. Mój ojciec uprawiał niewielki majątek, który odziedziczył po swoich rodzicach. Jednak to nie rolnictwo było jego głównym zajęciem.

Reichhartowie od dziewięciu pokoleń byli katami na usługach rozmaitych bawarskich władców oraz lokalnych administracji. Wśród moich krewnych należy wymienić również Lorenza Schllera, ostatniego kata w Europie, który ścinał zgodnie ze średniowieczną modłą, czyli przy użyciu dwuręcznego miecza. Ponoć był w tym naprawdę doskonały.

Mój wuj, Franz Xaver Reichhart, również uchodził za jednego z najlepszych specjalistów od egzekucji. Zawsze czułem do niego niezwykły szacunek, a jego dostojna, smukła osoba niezmiennie mnie intrygowała. Mimo to wuj zazwyczaj pozostawał cichy i skryty. Mało mówił o swojej pracy, choć wtedy zupełnie nie rozumiałem dlaczego. Pamiętam jego opadnięte policzki, nieco wyłupiaste, przekrwione oczy oraz długie palce o idealnie przyciętych paznokciach. Jeśli w ogóle się odzywał, robił to bardzo cicho, do tego szorstkim, oschłym tonem. Większość dzieci zapewne czułaby wobec takiego wuja respekt lub lęk, natomiast ja naprawdę go lubiłem.

Drugim zajęciem przekazywanym w mojej rodzinie niemal z pokolenia na pokolenie było wykwalifikowane rzeźnictwo, polegające na uboju koni. To właśnie nim parał się mój ojciec. Pracowitość, sumiennosc oraz nadzwyczajna skromność moich rodziców sprawiły, że w dzieciństwie niczego mi nie brakowało. Miałem do dyspozycji świetnych prywatnych nauczycieli, do zabawy spory ogród, a do tego moją osobowość kształtowało obcowanie z mężczyznami, których wszelkie kanony traktowałyby jako archetypicznych. Milczącymi, silnymi i niemal nieokazującymi emocji. Nigdy.

To właśnie dzięki ojcu i wujowi w pewnym momencie zrozumiałem, że nie jestem już chłopcem, ale staję się kolejnym Reichhartem. Choć do końca nie wiedziałem, co to oznacza, szybko postanowiono mi to wytłumaczyć.

Pamiętam wuja, który zjawił się w moim pokoju i stojąc w progu, ściągnął kapelusz. Dzień był deszczowy, więc z jego ronda skapywała woda. Przez chwilę wuj obserwował mnie spode łba, jakby starając się ocenić, jak wiele jestem wart. Nagle drgnął, wyprostował się, po czym przywołał mnie skinieniem palca.

– Chodź, Johann. Dziś będzie twój wielki dzień. Pragnę ci coś pokazać.

Zaintrygowany, natychmiast zerwałem się do wyjścia. Być może właśnie wtedy, przekraczając próg rodzinnego domu, naprawdę stałem się tym, kim jestem do dzisiaj. Nie zapytałem wuja, dokąd zmierzamy. Podbiegałem za nim, starając się dorównać jego długim, szybkim krokom. Nasze buty miarowo rozbryzgiwały błoto.

### 3.

– To mój bratanek.

Te słowa wuja Franza wystarczyły, aby wszystkie drzwi stanęły przede mną otworem i nikt nie zadawał jakichkolwiek pytań. Wuj był ubrany w elegancki czarny frak, białą koszulę z fulem oraz kapelusz. Zmienił zabłocone buty i upewnił się, że nogawki jego spodni są idealnie czyste. Gdy wysiedliśmy z powozu i stanęliśmy przed dwuskrzydłowymi ciężkimi drzwiami, uklęknął przy mnie. Cieniutką szmatką otarł moje pantofle, po czym poprawił mankiety koszuli.

– Jesteś gotowy? – zapytał, nie zważając na stojącego obok żandarma oraz wysokiego mężczyznę w granatowej todze z białymi wyłogami.

Kiwnąłem głową. Być może nie do końca była to prawda, gdyż w ustach zbierała mi się ślina i czułem miękkość w nogach. Mimo to kiwnąłem głową po raz drugi i dodałem:

– Tak, wuju.

Nie wiedziałem, na co mam być gotowy. Chyba się tego domyślałem, tak jak i wy się teraz możecie domyślać mojej przyszłości, lecz przecież nie było w tym niczego pewnego. Mogłem snuć rozmaite wizje, które jeszcze bardziej pobudzały wyobraźnię.

Drzwi otworzyły się i wuj delikatnie pchnął mnie przed sobą. Po wejściu do sporej ciemnej sali wymienili uścisk dłoni z dwoma milczącymi mężczyznami, po czym skierował się ku drewnianemu podestowi. Dopiero wtedy zobaczyłem metalowy stelaż, szafot oraz pętlę ponad niewielką platformą. Przebiegł mnie dreszcz.

– Wszystko jest gotowe – oznajmił wuj.

Mężczyzna w todze rzucił kilka słów ku żandarmowi, ten, przęcając się na baczność, tupnął podkutym butem, a wtedy otworzyły się boczne drzwi. Rozległ się cichy szmer modlitwy. Na czele trzyosobowego pochodu maszerował kapelan, tuż za nim kuśtykał pomarszczony starzec z kajdanami na rękach oraz nogach, a na końcu szedł kolejny uzbrojony żandarm. Cały pochód od razu skierował się ku szafotowi.

Wuj Franz wymieniał spojrzenie z mężczyzną w todze, który położył dłoń na moim ramieniu. Zrozumiałem, że mam zostać tu, gdzie jestem, i się nigdzie nie ruszać. Mimo to całą scenę obserwowałem z narastającym zainteresowaniem. Rejestrowałem kolejne dźwięki, które miałem zapamiętać do końca życia. Cichą modlitwę, szuranie kroków, jęk drewnianych schodków szafotu, przekleństwa rzucane przez skazańca pod nosem.

Dlaczego ten starzec się tu znalazł? Co zrobił? Starałem się wyobrazić sobie scenę, w której z zimną krwią morduje elegancką damę, ale całkowicie mi to nie wychodziło. Ten drobny człowieczek miałby problem, aby zabić gazetą muchę, a co mówić o człowieku. A może to fałszerz pieniędzy? Wiedziałem, że za to przestępstwo na mocy dawnych ustaw obowiązuje kara śmierci. A może...

Gwałtownie przerwałem domysły. Wuj stanął na platformie obok skazańca i ostentacyjnie zerknął na zegarek. Następnie sięgnął po podany przez asystenta płócienny wór. W tym momencie starzec zaczął się szamotać, lecz żandarm natychmiast go unieruchomił. Wuj założył na jego głowę worek, po czym zarzucił na szyję skazańca pętlę.

Wszystko rozgrywało się znacznie szybciej, niż mogłoby się wydawać. Od momentu, kiedy znaleźliśmy się w pomieszczeniu, minęły co najwyżej dwie minuty. Wuj odwrócił się w moją stronę, a mężczyzna w todzie opuścił kapelusz. Niemal jednocześnie rozległ się głuchy trzask. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że jest już po wszystkim.

Zapadnia otworzyła się, a skazaniec spadł ze znacznie mniejszej wysokości, niż się spodziewałem. Wystarczyło czterdzieści, może pięćdziesiąt centymetrów. Jego stopy wierzgnęły niczym płetwy ryby wyrzuconej na brzeg. Chwilę później dygotać zaczęło całe ciało. Telepał się, trząsał, wstrząsały nim przerażające dreszcze, aż w końcu zamarł w bezruchu. Zapadła kompletna cisza, którą przerwał odgłos otwierania dekielka zegarka przez mojego wuja.

Śmierć nadeszła w miarę szybko, zapewne szybciej, niż niejednokrotnie widziałem to w rzeźni. To wspomnienie pozostało we mnie na zawsze. Choć zdaniem niektórych właśnie takie było piękno Reichhartów, ja nazywam je dziedzictwem. Jestem z niego dumny.

## 4.

Szkolę ukończyłem z wyróżnieniem. Rodzice nie planowali mojej przyszłości, choć ta zdawała się i tak zaplanowana przez los, opatrność lub wolę boską. Nigdy definitywnie nie zdecydowałem, ku której z tych możliwości skłaniam się najmocniej. Zawsze miałem przeświadczenie, że podlegam pewnym prawom, nie mogąc się im przeciwstawić. Człowiek, a wiem to bez żadnych wątpliwości, jest marną istotą chełpiącą się rzekomą mocą sprawczą. Prawda jest taka, że sam bez owego losu, opatrności lub woli Boga nie może uczynić niczego.

Zapewne właśnie świadomość tej marności (wzmożona przez ponurą pobożność mojej matki) sprawiła, że po ukończeniu szkoły odbyłem specjalistyczny kurs rzeźnicki. Pod auspicjum ojca zostałem wykwalifikowanym rozbieraczem tusz końskich, co w tamtych czasach było zawodem nadzwyczaj elitarnym. W promieniu wielu mil poza członkami naszej rodziny był jeszcze jeden lub dwóch podobnych rzemieślników.

Od owego dnia, gdy wuj zabrał mnie na egzekucję, minęło prawie dziesięć lat. Nigdy więcej nie uczestniczyłem w wymierzaniu kary śmierci, lecz zostałem przez nią wystarczająco naznaczony. Zarówno wuj, jak i mój ojciec musieli o tym wiedzieć. Nawet matka, wyjątkowo naiwna, a do tego ufna predestynacji, zdawała się obserwować mój rozwój jakby przez palce. Nie oddziaływano na mnie, nie naciskano, lecz pozwolono sprawom biec własnym tempem.

Gdy miałem dwadzieścia lat i od czterech pracowałem w rodzinnej ubojni, ojciec wezwał mnie do swojego gabinetu. Siedział w szerokim fotelu o powycieranych podłokietnikach. Palił długą fajkę z porcelanowym cybuchem, wypuszczając kłęby dymu ku sufitowi. Nigdy nie był skory do długich przemów, więc i tym razem większość naszej rozmowy odbywała się za pomocą gestów.

Ruchem ręki dał do zrozumienia, bym do niego podszedł. Wstał, po czym sięgnął do kieszeni powycieranej podomki. Wyciągnął z niej bogato zdobiony mosiężny klucz. Wiedziałem, że to klucz do kasy w gospodzie przy dworcu Neubiberg. Od dwóch dekad wyszynk należał do naszej rodziny, zapewniając jej niewielki, ale regularny dochód. Prowadził ją jeden ze stryjów przy pomocy mojej matki. Od kilku miesięcy stryj podupał na zdrowiu i pojawiał się w gospodzie jedynie sporadycznie.

Wiedziałem, co oznacza to symboliczne przekazanie klucza. Spojrzałem prosto w niebieskie, zimne oczy ojca. On skinął głową i położył lewą dłoń na moim ramieniu. Zacisnął palce, co było wymowniejsze niż bardzo wiele słów.

– To odpowiedzialność... – wyszeptałem jedynie. – Ja...

Ojciec westchnął, po czym potrząsnął drugą dłonią. Nie chcąc go irytować, sięgnąłem po leżący na niej klucz i obróciłem go między palcami.

– Dziękuję.

– Powodzenia, synu.

Na tym całe spotkanie się zakończyło. Ojciec ponownie usiadł w fotelu i zaciągnął się fajką. To był sygnał, abym zostawił go samego. Gdy znalazłem się na korytarzu, usłyszałem ciche chrząknięcie, a potem słowa błogosławieństwa. Był to jedyny raz, gdy ojciec nawiązał do Boga. Nigdy wcześniej ani nigdy później tego nie zrobił. To matka była religijną podporą naszego domu, tymczasem ja... Moja dusza została równo podzielona między te dwa światy, a jak każdy wie, nie można być w połowie religijnym. Nie można wierzyć Bogu do połowy albo w co drugie jego słowo.

Tamtego wieczoru długo nie spałem, obracając w dłoni otrzymany klucz. Kolejnego dnia pojawiłem się w gospodzie przed wschodem słońca. Gospodarskim okiem obrzuciłem wszystkie sprzęty, otarłem ścierką stoły, przygotowałem flaszki, kufle oraz przewietrzyłem duszne sale. Byłem gotów oddać się nowej pracy. Los znowu dał o sobie znać. Kilka dni później wybuchła Wielka Wojna. Mężczyźni z naszej wioski zostali skierowani na front.

## 5.

– Kiedy to się skończy, zagramy w remika.

Otto Strumpf otarł pot ściekający spod hełmu na jego czoło i starał się uśmiechnąć. Nie bardzo mu to wychodziło, ale zawsze usiłował zrobić dobrą minę do złej gry. Mówiąc o końcu, nie miał bynajmniej na myśli wojny jako takiej. Po dziesięciu miesiącach spędzonych w błocie i kurzu okopów, wśród szczurów i z piaskiem wечно trzeszczącym między zębami, nikt nie myślał o jej końcu. Strumpf, jak my wszyscy, żył każdym dniem, a jego przewidywania nie wybiegały dalej niż godzinę lub dwie w przód.

Staliśmy pochyleni wzdłuż linii naszych umocnień, gotując się, by rzucić się ku pojedynczym drabinkom, wykopanym stopniom lub po prostu dać susa ponad okop i pognać na oślep do przodu. W ciągu ostatnich dwóch tygodni miał to być czwarty lub piąty taki wypad. Nie angażowałem się w spór rachunkowy. Tępy Hans Weiler w kłótni o ich liczbę wybił dwa zęby Thomassowi Schmitowi, przez co trafił do karceru. Nie na długo. Wypuszczono go przed godziną i skierowano do pierwszej linii. Stał kilkanaście metrów ode mnie, z wybałuszonymi oczami, wiodąc wokół pustym wzrokiem, bez jakiegokolwiek ochoty do wdawania się w dysputę, po raz który opuści nasze pozycje.

Przybyły niedawno do naszej jednostki podrostek z Bambergu wymiotował żółcią, ocierając usta rękawem. Zemdlila go sama myśl o przyszłości. Dlatego każdy z nas, którzyśmy byli na froncie

już dłużej niż miesiąc czy dwa, w ogóle się nad nią nie rozwodził.

Co ma wisieć, nie utonie. To powiedzenie doskonale oddawało nasz stosunek do świata, życia i moralności. Co innego można powiedzieć, gdy co dwa dni wiatr przywiewia odór trupów tak mocny, że bez zatykania nosa nie jest się w stanie nic przełknąć. Nawet przed tym wypadem, gdy na linii przybyło pieczywo nieco miększe od kamieni i trochę świeżego mięsa, wszystkich mldliło. Do pewnych rzeczy nie da się przyzwyczaić. A mimo to można żartować z beznadziejności sytuacji, w której spożywa się ten ostatni posiłek.

– Nie lubię remika – odpowiedziałem Strumpfowi. – Mam wrażenie, że wszyscy kantujecie.

– Ciągłe o tym mówisz – wtrącił stojący za moimi plecami Novak. – To jakaś obsesja.

– Mam dowody.

– Dlaczego więc nie wyciągniesz ich w trakcie gry?

– Właśnie. – Strumpf teatralnie westchnął. – Zamiast tego wiecznie chcesz podwajać stawkę i obiecujesz gruszki na wierzbie.

– Dostawę z rzeźni twojego ojca – rozmarzył się Novak. – To byłby konkretny zastaw. Kiedyś wspominałeś, że...

Klarujące się marzenia przerwał skowyt gwizdków. Musicie wiedzieć, że gwizdki oficerskie skowyczą jak wygodniałe wilki. Słyszac je, nie ma się żadnego wyboru. Działa się automatycznie, choć wydawałoby się, że zamiast automatyzmu człowiekiem powinien kierować instynkt przetrwania. Jednak siedemnaście tysięcy młodych ludzi rzuciło się nie do ucieczki, lecz wprost pod ogień artyleryjski i karabinowy. Wprost na zasieki i do lejów, w których od tygodni gniły trupy, a wypełniająca je woda miała kolor czerniny.

Gwizd. Skowyt. Dźwięk dzwonka. Śmierć, wbrew temu, co się o niej mówi i czego się od niej oczekuje, niemal nigdy nie jest cicha. Towarzyszą jej krzyki, wybuchy oraz płacz. Jęk rannych zlewa się ze złorzeczeniami i ponagleniami oficerów. Chaos. To piekło otworzyło swe bramy i miota wokół ogniem oraz żelazem.

Pędzę przed siebie. Mijam rozkładający się, pozbawiony nóg korpus żołnierza we francuskim mundurze. Jego oczodoły zioną ciemną pustką, a szczeka opadła. Przez głowę przebiega mi myśl, że znalazł się aż tutaj, że dobiegł naprawdę daleko, blisko naszych linii. Ale momentalnie porzucam te rozważania.

Ślizgając się, potykając, z karabinem uniesionym nad głową, aby nie zaplątał się w jakiś drut kolczasty, gnam naprzód. Strumpf został gdzieś w tyle. Kątem oka widzę Novaka oraz Schmita. Remik. Jakakolwiek myśl o nim wydaje się teraz absurdalna, lecz naprawdę chciałbym jeszcze raz zagrać i...

Pisk. Najpierw czaszkę rozsadza mi przerażający niski pisk, a potem czuję, że jakaś niewidzialna siła mnie unosi. Spadam bezwładnie na ziemię, prosto na plecy. Tracę dech, a z nieba opada całun błota. Grzebie mnie w płytkim grobie. Takie są wystarczające, by umrzeć w tej przeklętej ziemi. Żołnierzom nie trzeba trumien.

A więc śmierć przyszła po mnie tak szybko.

## 6.

Strumpf wyrósł jak spod ziemi. Właściwie było całkowicie na odwrót. Zstąpił z niebios, odgarnął pokrywającą mnie warstwę piachu oraz błota, po czym zarzucił mnie sobie na ramiona. Chyba nawet nie sprawdzał, czy żyję. W tamtej chwili ocenić mój stan zapewne nie było zbyt łatwo. Miałem rozprute ramię, lecz przez warstwę brudu krew nie mogła się przedrzeć. Z policzka zwiślał

mi kawał skóry, a z ust wystawała końcówka nadgryzionego języka. Nie byłem w stanie ruszyć choćby palcem. Starałem się coś powiedzieć, lecz wszelkie słowa wybrzmiewały jedynie w mojej czaszce.

– Zajmijcie się nim! Proszę!

Mimo piekielnych trąb dmących z każdej strony, wybuchów, jęków i płaczu wyraźnie słyszałem te słowa. Chwilę później Strumpf rzucił mnie na płócienne nosze. Dwóch sanitariuszy natychmiast je pochwyliło i pognąło wzdłuż linii okopów. Punkt opatrunkowy musiał znajdować się gdzieś daleko lub ci biedni chłopcy po prostu się zgubili. Obserwowałem to z cudowną obojętnością. Wydaje mi się, że właśnie do niej sprowadza się umieranie. Obojętności, nicości, stanu kompletnego pogodzenia nawet z własnym buntem.

Wiodłem wzrokiem po oderwanych kończynach, po pozbawionych głów ciałach i po głowach pozbawionych ciał. Spoglądałem po zerwanych z czerepów hełmach, w których niczym zupa pływały mózgi. Widziałem rannych skulonych w kłębki jak niemowlęta oraz szczury bezwstydnie gotujące się do uczt. Człowiek właśnie siał dla nich ogromny stół ciągnący się na długość dziesięciu kilometrów i szerokość stu dwudziestu metrów, który lada moment miało wypełnić kilka tysięcy zabitych. Z uczciwości należało również doliczyć drugie tyle rannych, których nikt nie zabierze. Opadający z sił, jęczący dniami i nocami żołnierze staną się pożywką dla tych ohydnych zwierząt, upasionych i przypominających wcale nie takie małe, żarłoczne psy.

Myślałem, że zaczął padać deszcz, lecz gdybym był w nieco lepszym stanie, poczułbym jego słodki smak. Plaster błota odpadł z mojej rany i bryzgnęła z niej krew. Gejzer opadał, rosząc mi całą twarz. Widząc to, sanitariusze pognali jeszcze szybciej, teraz już pewni, że noszy nie trzeba znosić do punktu cmentarnego, lecz do szpitala. Choć jedno z drugim miało bardzo wiele wspólnego. Czasem trudno nakreślić granicę między życiem a śmiercią. Nauczyłem się to robić dopiero sporo później. Ale jeszcze nie wtedy. Tamtego świtu byłem pewny, że już umarłem. A może naprawdę tak było?

## 7.

– A więc wróciłeś.

Kiedy, wchodząc do domu, słyszysz takie słowa po tym wszystkim, co przeżyłeś, wcale nie jest ci przykro. Choć wypowiada je twoja żona, a w pokoju obok śpi trójka malutkich dzieci, jesteś zupełnie obojętny. Jakbyś umierał. Wszystko dlatego, że właściwie już jesteś martwy.

– Wróciłem – odpowiedziałem, odstawiając plecak i przyciągając sobie krzesło. – Chyba na dobre.

– Cieszę się.

Ton, jakim wypowiedziane zostały te słowa, sprawił, że do rodziny wracam niemal wyłącznie w tym wspomnieniu. W zasadzie nie istnieje dla mnie nigdy później ani nigdy wcześniej. Nie sięgam myślami ku czasom zakochania, narzeczeństwa i pierwszych miłości. To wszystko jest sztuczne i naiwne. Ludzie powinni od dziecka być uczeni tego, że uczucia są jedynie oszustwem.

– Pójdę się położyć – oznajmiłem, zdjawszy buty. – Nie budźcie mnie.

– Dobrze.

Być może przez chwilę czekałem na coś więcej, na jakieś pytanie lub propozycję zjedzenia wspólnego posiłku, ale moja żona nie powiedziała nic więcej. Czułem jej wzrok na swoich plecach, a potem słyszałem, że cicho płacze. Dlaczego? Nie mam pojęcia. Nie lubię snuć domysłów, lecz



sądzę, że z chwilą mojego wyjazdu na front coś się w nas skończyło. Dla zrównoważenia emocji nie warto wspominać o początkach. Poza tym zapewne niewiele was to obchodzi.

Rzuciłem się na łóżko, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić. Byłem potwornie zmęczony, ale nie mogłem zasnąć. Bolały mnie ramię oraz kark. Rany jeszcze się nie zasklepiły i niektóre z nich swędziały tak bardzo, że miałem ochotę rozdrapać je bagnetem.

– Szesnasta osiem. – Głośno odczytałem godzinę wskazywaną przez zawieszony na ścianie zegar szwarcwaldzki. – Dom.

Gospoda nadal na mnie czekała, ale od dawna w swych listach matka dawała mi do zrozumienia, że niemal nie przynosi dochodu. Zbyt wielu mężczyzn wyjechało na front. Nie było komu pić ani wszczynać awantur. Starzy, którzy zostali, szczydzili grosza na przyszłość lub słali go swoim synom na dziwki i alkohol. Sami pozostawali ponurzy i żałośnie trzeźwi.

– Szesnasta dziewięć.

Nie dodałem, że jestem w domu. To nie miało żadnego znaczenia. Człowiek mógł umrzeć w łóżku bez względu na to, gdzie to łóżko ustawiono. Każdego z nas czeka taka sama przyszłość i wtedy myślałem tylko o tym.

Kolejne dni pozbawione były jakiegokolwiek sensu. Konieczność trwania stanowiła przykry obowiązek. Zazdrościłem Novakowi i Schmitowi, że zostali od niego zwolnieni wybuchem tego samego pocisku, który mnie jedynie pokiereszował. Ponoć eksplozja dosłownie zdarła z ich ciał mundury oraz skórę. Strumpf przeżył, lecz nigdy już nie zagrałiśmy w remika. Raz odwiedził mnie w szpitalu, choć on również czuł na sobie piętno śmierci. Zostaliśmy nią naznaczeni na całe życie.

– Przepraszam – wymamrotał to jedno słowo, przekonany, że go nie słyszę.

Potem wyszedł, a ja niebawem zrozumiałem, co miał na myśli. Musiałem żyć. Tak, z pewnością miał mnie za co przepraszać.

## 8.

Rekonwalescencja zajęła mi kilka tygodni. Nie mierzyłem wtedy czasu, który zdawał się płynąć gdzieś obok, niezależnie ode mnie. Najpierw odzyskałem władzę w koniuzkach palców, potem w rękach, wreszcie usadzono mnie i niczym dziecko wykonałem kilka niezgrabnych kroków. Potem, jak już nadmieniałem, powróciłem do domu, zająłem się pracą w gospodzie oraz uprawianiem biedy. To śmieszne określenie, ale nędzę i biedę naprawdę można uprawiać. Gospoda przynosiła tylko tyle, by nie musieć się zadłużać na chleb tak marnej jakości, że nie dało się go gryźć, lecz trzeba było go żuć. Może to i lepiej. Dzięki żuciu posiłki były zdecydowanie dłuższe, a głód całkiem nieźle zaspokojony.

Koniec wojny nie zrobił na mnie wielkiego wrażenia. Ktoś się poddał, ktoś zastrzelił, a całe miliony zostały skazane na jeszcze większą biedę. Od śmierci głodowej uratowały nas konie. Tysiące wybornych wojskowych rumaków, które trafiły do naszej rzeźni jako niepotrzebne armii. Przed rokiem czy dwoma wojsko było gotowe zdobyć je za wszelką cenę, oddziały kawaleryjskie i taborowe pęczniały, każde źrebię na pniu można było poddać aprowizacji. Po wojnie, w ciągu kilku tygodni, końskie żołądki stały się jedynie zbędnym obciążeniem dla gospodarki.

Dniami i nocami prowadzono je na rzeź. Szły w kolumnach, jak jeńcy wiedzeni na egzekucję. Rżały cicho i żałośnie, lecz się nie buntowały. Ślepo poddawały się losowi, przed którym nigdy nie było ucieczki. Zwierzęcy instynkt doskonale o tym wiedział.

Po tym okresie wzmóżonej pracy, gdy podłoga rzeźni po kostki była unurzana we krwi, a ręce bolały nas od ciężaru przenoszonego mięsa oraz kości, nastała nicość. Świat stanął w miejscu,

tymczasem stanąć to przecież umrzeć. Przez cztery lata żyliśmy na skraju ubóstwa. Po przebudzeniu marzyliśmy tylko o jednym – by dzień wreszcie się skończył.

W roku dwudziestym trzecim sytuacja nieco się polepszyła. Zdaje się, że ludzie zrozumieli, że lepiej żyć niż trwać. Choć w kieszeniach mieli niewiele więcej pieniędzy niż przez ostatnie miesiące, ruszyli do sklepów i gospód. Nie narzekano na rozwodnione piwo ani na zjełczałe masło. Cieszone się, że się pije i je. Nie myślano, co będzie za dzień, dwa lub za tydzień. A później okazało się, że jakoś da się przeżyć. Że państwo przesycone dekadencjami myśłami Marksa oraz Engelsa nikomu nie pozwoli umrzeć na ulicy. Choć czym było to państwo? Jaką nazwę w ogóle nosiło?

Republika Weimarska nie interesowała nikogo. Większość Niemców znów żyła w państewkach przypominających fragmenty dawnego cesarstwa. Cuius regio, eius religio. Tyle że religia również stała się nic nieznaczącym dodatkiem, jakimś historycznym elementem, przynależnym ewentualnie do pokolenia naszych ojców, a przede wszystkim matek. No chyba że chodziło o Żydów, ale to całkowicie odrębna historia.

Moją ojczyzną było Wolne Państwo Bawaria i z nim wiąże się prawdziwy początek tej historii. Zaczyna się ona w słoneczny poranek dwudziestego czwartego roku. Podobnie jak przed dziesięć laty, wuj Franz Xaver stanął w progu, zdjął kapelusz i wbił we mnie poważne, zasępione spojrzenie. Znajdowaliśmy się w naszej rodzinnej gospodzie.

– O co chodzi? – zapytałem, nie przestając pucować kufła. – Coś się stało, wuju?

Odpowiedziało mi ponure młaśnięcie. Już wspominałem, że mężczyźni w mojej rodzinie byli wyjątkowo mało rozmowni.

## 9.

– Przeszedłem cię o coś prosić. Wiesz, że mój syn... – Wuj mlasnął po raz kolejny. Już w tym momencie wypowiedział więcej słów, niż często wypowiadał przez cały dzień. – On mi odmówił.

– Odmówił? – Nie miałem pojęcia, co wuj ma na myśli.

– Mam siedemdziesiąt trzy lata, coraz słabszy wzrok i mięśnie. Dłonie mi drżą, choć nigdy nie tykałem alkoholu.

– I tak wuj świetnie wygląda.

– To nieważne. – Okrągłe, bystre oczka wbiły we mnie uważne spojrzenie. Siwe krzaczaste brwi ściągnęły się, zlewając niemal w jedną linię. – Mój syn nie przejmie po mnie urzędu, choć od stu dwudziestu lat przechodzi on w naszej rodzinie z ojca na syna lub bratanka.

Momentalnie zrozumiałem, do czego zmierza ta rozmowa. Odstawiłem kufel i rzuciłem ścierkę na blat. Wyprostowałem się, po czym zagryzłem wargę. Przez długą chwilę mierzyliśmy się spojrzeniami. Obaj tak samo milczący i skryci. Woleliśmy prowadzić rozmowę małymi gestami niż za pomocą słów.

Przez głowę przemknęło mi wspomnienie tamtego dnia, gdy wuj zabrał mnie na egzekucję. W trakcie pracy w rzeźni wielokrotnie ojciec przyrównywał ubój do wykonywania kary śmierci. To wszystko były drobnostki, lecz mające swoje znaczenie. Właśnie o tych chwilach myślę, gdy uświadamiam sobie, że los nigdy nie jest w naszych rękach. Czasami bywa natomiast w rękach kata. To kolejny z żartów, który nigdy mnie nie bawił, lecz odzwierciedlał pewną rzeczywistość.

Oparłem się o proste, tępo ciosane krzesło i westchnąłem. Odruchowo zerknąłem na rękawy koszuli, które były doskonale czyste oraz sztywne. Zawsze o to dbałem. Prawdę powiedziawszy, praca w gospodzie nie zmuszała mnie do zbyt częstego zmieniania garderoby. Choć dochodziła jedenasta, w środku nie pojawił się jeszcze ani jeden gość. Równie dobrze mógłbym otwierać

wieczorem, kiedy chęć pijackiego zapomnienia o biedzie przeważała nad rozsądkiem okolicznych mieszkańców.

Podniosłem głowę i ponownie uchwyciłem spojrzenie wuja. Puściłem oparcie krzesła, po czym przyglądałem poły marynarki. Kiwnąłem głową.

Nasza rozmowa dobiegła końca. Wszystko zostało postanowione.

## 10.

Sto pięćdziesiąt złotych marek za każdą egzekucję. Do tego dziesięć marek na codzienne wydatki oraz bilet kolejowy na przejazdy pociągami trzeciej klasy. Gdyby potrzebna była dłuższa podróż lub zachodziłyby nieprzewidziane okoliczności, miałem mieć opłacony bilet na pociąg ekspresowy. Do tego praca urzędnika państwowego wiązała się z ubezpieczeniem oraz państwową emeryturą. A szacunek?

Cóż. W tych czasach coś takiego jak szacunek nie istnieje. Można interpretować go w różny sposób, ale to tylko pozorantstwo. Nie silę się na udawanie.

– Najważniejsza jest waga. Sprawdź wszystko co najmniej trzy razy. Trzy!

Wuj Franz unosi trzy palce dla podkreślenia swoich słów. Odkąd rozpoczął mnie szkolić, rozmawiamy znacznie więcej niż przez całe dotychczasowe życie. Gdy w jednej dłoni trzyma się sznur, a w drugiej korbę naciągową, trudno szukać kontaktu wzrokowego i porozumiewać się gestami.

– Oceniaj też twardość kości – ciągnie wuj. – Kiedyś robiłem to, jeśli skazaniec zgodził się wymienić ze mną uścisk dłoni. Jeśli nie, pod byle pretekstem chwytałem go za ramię.

– W jakim celu?

– Podobnie jak przy rozbiórce konia, wprawa przychodzi z czasem oraz praktyką. Zrozumiesz, że ciało schorowanego osiemdziesięciolatka zachowuje się inaczej niż zdrowego, umięśnionego młodzianiszka.

– To oczywiste.

– Owszem, ale nie każdy dolicza ten szczegół do kalkulacji. Zdajesz sobie sprawę, jaka jest cena błędu?

Wzruszam ramionami. Władze Bawarii zapewniły mi oraz wujowi nieskrępowany dostęp do wszelkich pomieszczeń, w których wykonywane są egzekucje. To w nich mam się zapoznać ze sposobami urzędowego zadawania śmierci. Choć właściwie mowa jedynie o szubienicy oraz gilotynie.

– Musisz odnieść wagę do długości sznura. – Wuj zaciska pętlę i znacząco pokazuje mi węzeł. Już nauczyłem się go wiązać. – Jeśli przesarżujesz, urwiesz skazańcowi głowę. Rozumiesz? Odpadnie od karku jak u szmacianej lalki, tyle że wokół narobisz znacznie więcej bałaganu. Widziałem egzekucję, gdy krew bryzgała na prawie pięć metrów od więźnia. Możesz sobie wyobrazić minę sędziego, którego toga została w niej umazana od wyłogów rękawów po sam żąbót.

– Oczywiście – przytakuję, po czym niczym uczniak dodaję: – Dlatego lepiej nie przesarżować.

– Nie. – Wuj rezolutnie kręci głową. – Wszystko musisz doskonale wyważyć. Jeśli nie doszacujesz wagi i elastyczności ciała skazańca, zaserwujesz mu dodatkowo agonię, która będzie trwała kwadrans lub nawet pół godziny. A ani prokurator, ani sędzia nie lubią tracić czasu. Poza tym to scena robiąca wyjątkowo nieprzyjemne wrażenie nawet na najbardziej odpornych.

Nagle dopadają mnie wątpliwości. Spoglądam na wypełniony trocinami oraz kamieniami wór, na pętlę i na szubienicę. Wreszcie przenoszę wzrok na ponurą, bladą twarz wuja.

– Nie wiem, czy dam radę – szepczę, ledwie otwierając usta.

– Dasz. Prawidłowe zabicie człowieka jest znacznie prostsze od rozebrania tuszy końskiej.

– Ale...

– Dość. Skoro masz obawy, ćwicząc na worku, dostaniesz prawdziwego człowieka. Wtedy zrozumiesz, że wszyscy mężczyźni w naszej rodzinie mają dryg do wykonywania egzekucji. Ty również.

„Dostać prawdziwego człowieka” – to zabrzmiało jak ponury żart. Jednak żaden z nas się nie uśmiecha. Przecież w miejscu takim jak to nigdy się nie żartuje.

## 11.

Formalnie rzecz biorąc, już figuruję na bawarskiej liście katów. Pierwsze zlecenie, robota czy jakkolwiek by to nazywać, może nadejść w każdej chwili. Nie. Stój. Wróć. Nie można tego nazywać jakkolwiek. To egzekucja. Tylko i aż. Nic więcej i nic mniej.

Egzekucja. Ewentualnie: wykonanie wyroku śmierci.

– Wszystko jest gotowe – oznajmia wuj Franz i przepuszcza mnie w progu.

Wchodzimy do przestronnej sali w starym podmonachijskim więzieniu. Ściany są ceglane i miejscami pokrywa je pleśń. Przez łukowate okna wpada sporo dziennego światła, które oświetla wykwyty wilgoci oraz warstwę brudu zalegającą podłogę. W powietrzu unoszą się drobinki kurzu.

Spoglądam na metalowe łóżko na kółkach. Takie same, jakie są w każdym szpitalu i w prosektoriach. Pod kryjącym je prześcieradłem dostrzegam zarys ciała. Wuj podchodzi do niego, po czym jednym ruchem odsłania nagie zwłoki. W powietrzu unosi się wyraźny aromat formaliny oraz jakichś innych środków konserwujących.

– Poznaj pana Olafa – przedstawia wuj Franz. – Oto eksponat подарowany przez uniwersytet monachijski. Bezdomy, który zmarł w bramie kamienicy przy Wilhelmstrasse, a teraz przysłuży się wymiarowi sprawiedliwości.

Staję obok wuja i zerkam na trupa. W chwili śmierci mężczyzna miał około pięćdziesięciu lat, był potwornie chudy, a jego ręce pokrywały liczne rany. Długie szpakowate włosy przywarły do jego czoła, szyi oraz uszu. Napięte po zgonie rysy wydają się dziełem rzeźbiarza, a nie natury. Długi, szpiczasty nos kontrastuje z zapadniętymi wargami. Pożółkłe zęby są delikatnie odsłonięte, a powieki marszczą się pozbawione wypukłości gałek ocznych. Przez chwilę wpatruję się w nie, czekając, jakby miały spomiędzy nich wypelznąć robaki. To, że nic się nie dzieje, niemal mnie rozczarowuje.

– No, dalej. Pomóż mi. – Słowa wuja przerywają przedłużającą się ciszę. – Weźmy go.

– Gdzie?

Dopiero teraz dostrzegam drewnianą ławę, nad którą wznosi się konstrukcja z przewodnicami. Bezdomy ma być moją pierwszą ofiarą. Owym prawdziwym człowiekiem dostarczoną mi przez państwo. Wuj zapewne dostrzeże moją konsternację, gdyż w kącikach jego ust pojawia się tak rzadko spotykany uśmiešek.

– Martwi niczym nie różnią się od żywych. Przynajmniej do czasu... – dodaje, po czym chwyta trupa za łydki. – Weź go pod ramiona.

– Ale on...

– Brzydzisz się śmierci? Jest taki sam jak my.

Cicho wypuszczam powietrze i wsuwam dłonie pod owłosione pachy trupa. Jego skóra jest zimna, ale również zaskakująco lepka. Zapewne pokryto ją jakąś substancją.

– Na trzy.

Kiwam głową i zerkam na ławę, która znajduje się ledwie dwa kroki od nas.

– Raz. Dwa...

W momencie gdy lekko unoszę plecy umarłego, rozlega się szorstkie chrupnięcie. Jego kark nienaturalnie się wygina, a głowa odwraca się na bok. Nie zdążam nic zrobić. Niemo obserwuję, jak skóra się rozrywa, tkanki miękkie pękają i wreszcie cała głowa odpada od tułowia. Najpierw toczy się na bok, by po chwili spaść i z plaśnięciem uderzyć o podłogę.

Puszczam ramiona trupa i bezwiednie cofam się o kilka kroków. Nagle chwytam srogie spojrzenie wuja.

– To najważniejsza lekcja – cedzi tonem przygany. – Pamiętaj o kościach oraz o wadze. Teraz zostanie ci to w głowie na zawsze.

Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

## 12.

„Wykonawcę wyroku, kata pozostającego na usługach państwa, prosi się o przybycie do zakładu karnego Landshut celem oddania ostatniej posługi oraz przeprowadzenia egzekucji”.

Dwukrotnie czytam tę krótką wiadomość. Ręka zaczyna mi drżeć, ale jednocześnie czuję podekscytowanie. Staram się nie dać po sobie niczego poznać. Zerkam na oddzielną rubrykę, w której wpisano datę i konkretne miejsce egzekucji. Przeczyłam ślinę.

Całe pismo zostało stworzone na urzędowym formularzu i zapewne poza konkretnymi danymi niczym nie różni się od setek podobnych pism dostarczanych bawarskim katom przez ostatnie sto lat. No, może określenie „usługi państwa” stanowi nowomowę względem „łaski monarchy”. Pół dekady wystarczyło, by pamięć o Wittelsbachach uśmiercić tak, jak ich dekrety uśmierciły tysiące skazanych przez osiem wieków bawarskiej historii.

Tak jak wszystkie podobne pisma, to, które trzymam w dłoni, nie zawiera żadnych danych podsądnego. Kim jest? Ile ma lat? Za co go skazano? Te pytania przewijają się przez moją głowę z prędkością błyskawicy. Uderzają w neurony, przyprowadzając mnie o nerwowy skurcz. Nie sądziłem, że to będzie dla mnie istotne.

Mam być jedynie przedłużeniem ostrza. Kolejnym trybikiem lub łożyskiem gilotyny. Smarem potrzebnym do tego, by ostrze opadło z należytą siłą.

Brakuje mi tchu. Poluzowuję kołnierzyk koszuli i spoglądam za okno. Jest pochmurny kwietniowy dzień. Wiosenne słońce usiłuje przedrzeć się przez warstwę mlecznej szarości, podświetlając świat na żółtawo. To scena rodem z kiczowatych landszaftów romantycznych malarzy. A może to jedynie emanacja barw mojej duszy?

Podnoszę się z krzesła i rzucaam list na blat biurka. Z niedowierzaniem spoglądam na swoje drżące dłonie. Zawsze byłem opanowany. Nawet w okopach Verdun i w dniach, gdy w ustach miałem tylko czerstwy chleb.

Sięgam do szafki, po czym wyciągam z niej butelkę mocnej ziołowej nalewki. Napełniam nią kryształowy pokal i wypijam duszkiem. Głośno wypuszczam powietrze. Zerkam na mankiety koszuli, przeciągam dłonią po policzku, oceniając długość zarostu, i wypijam jeszcze jedną porcję trunku. Zupełnie jakbym wznosił nieme toasty.

Przez chwilę zastanawiam się, czy powinienem porozmawiać z żoną. Od wielu dni nie zamieniliśmy ani słowa, a to byłby dobry pretekst. Tylko dlaczego miałbym się z nią tym dzielić? Czy mogłaby mi pomóc? Czy uspokoiłaby mnie, a może raczej jeszcze bardziej wyprowadziła z równowagi?

Wiem, jaka jest procedura. Nie mam zbyt wiele czasu, dlatego postanawiam działać bez zbędnego opóźnienia. Muszę zamówić tragarza i nadać przesyłką kolejową elementy gilotyny. Zakład karny w Landshut nie ma jej na wyposażeniu, a obowiązkiem kata jest dostarczenie na miejsce niezbędnych sprzętów. Wszystko czeka złożone w kufrze oraz dwóch skrzyniach.

– Kim jesteś? – pytam siebie i otaczającą mnie pustkę. – Co zrobisz?

Ponownie wyciągam przed siebie ręce i uważnie się im przyglądam. Już nie drżą. Choć pytania wypełniają wszystkie moje myśli, zewnątrznie znów jestem całkowicie opanowany. Podchodzę do szafy i wyjmuję z niej podarowany przez wuja cylinder. Obok niego leżą białe rękawiczki oraz muszka. Frak kupiłem sam. Zainwestowałem w niego cały dochód z gospody uzyskany przez ostatni kwartał. Ale kat musi wyglądać porządnie. Z szacunku dla siebie, dla skazanego, a przede wszystkim dla śmierci.

Czas wyruszać. Natychmiast.

## 13.

– Panie naczelniku.

– Panie Reichhart.

Wymieniam uścisk dłoni z wysokim, smukłym mężczyzną o żołnierskiej prezencji. Jego spojrzenie wędruje po mojej twarzy, czarnej muszce, dopinanym kołnierzyku koszuli oraz fraku. Zatrzymuje się na moich lśniących, wypolerowanych butach. Z uznaniem kiwa głową.

– Nieskazitelną, zupełnie jak pański ojciec – stwierdza zadowolony.

– Jak wuj – poprawiam go. – Franz Xaver to mój wuj.

– Ach, tak.

Naczelnik kładzie dłoń na moim ramieniu i prowadzi długim, ciemnym korytarzem. Po jednej stronie ciągną się cele, a po drugiej niskie, zakratowane okna. Przy łącznikach stoją strażnicy. Na nasz widok natychmiast salutują.

– Ma pan równe dwanaście godzin. – Naczelnik otwiera drzwi do niewielkiego gabinetu i przepuszcza mnie w prog. – Cygara, a może koniaku?

– Nie, dziękuję.

– Proszę usiąść.

Siadam w wygodnym obszernym fotelu i odruchowo poprawiam muszkę. Naczelnik staje przy biurku. Zapala cygaro, po czym wypuszcza gęsty kłąb dymu.

– Musi być pan przygotowany na dwie egzekucje – oznajmia oschle. – Nie wiem, czy w papierach zostało o tym wspomniane.

– Co takiego?

Serce uderza mi ze zdwojoną siłą. Z trudem powstrzymuję się przed nerwowym chrząknięciem. Zakładam nogę na nogę i odkładam cylinder na szafkę. Staram się zrobić to najbardziej nonszalancko.

– Dwie egzekucje? – dopytuję. – Jutro?

– Tak, jedna po drugiej.

– Ale...

– Otrzyma pan oczywiście podwójne wynagrodzenie.

Zaciskam usta i splatam ręce na piersi. Nie można zacząć z większym impetem. Choć dwie egzekucje to również o sto procent większa szansa popełnienia błędu w trakcie swojego debiutu. Dwa razy więcej obliczeń, dwa razy więcej czasu. Czas... Wuj wykonywał egzekucję w ciągu trzydziestu sekund od dostarczenia skazańca. To był rewelacyjny wynik, ale gdzieś w głębi duszy pragnę podjąć wyzwanie. Zamierzam być jeszcze szybszy i lepszy. Pieniądze są istotne, lecz zawsze tkwiły we mnie również ambicje. Chcę być kimś. A jeśli mam serwować śmierć, pragnę robić to jak nikt inny.

Te skojarzenia mają mnie uspokoić i oderwać myśli od tego, co wydarzy się za dwanaście godzin. Ambicją staram się stłumić strach oraz dezorientację. Przecież to nie ja powinienem się bać. Jednak najważniejsze są dla mnie zupełnie inne pytania. Nie potrafię ich dłużej wstrzymywać.

– Kim są? – pytam niby znudzonym tonem.

– Słucham?

– Kim są skazańcy?

Naczelnik spogląda na mnie z uśmiechem. Mam wrażenie, że dokładnie wie, o czym myślę. Jego ciemne oczy dosłownie mnie świdrują. Zaciąga się i pochyla w moją stronę.

– Naprawdę chce pan wiedzieć? Pański wuj...

– Jestem inny od wuja – przerywam mu oschle. – I owszem, chcę wiedzieć.

Naczelnik odkłada cygaro do pękatej popielniczki i wrusza ramionami. Ponownie odgina się w fotelu.

– To rolnik, który zlecił zamordowanie żony, oraz jakiś biedak, który zgodził się to zrobić.

Przełykam ślinę, lecz nagle czuję w ustach okropną suchość. Mordercy. Oblizuję wargę i ponownie zerkam na naczelnika.

– Czy mamy jakiegokolwiek zdjęcia, abym zobaczył ich przed egzekucją?

Naczelnik okrężnym ruchem okrusza nadpaloną końcówkę cygara i podnosi się z fotela. Daje mi znak, abym gdzieś z nim poszedł.

– Zrobimy to inaczej. Chciałem z tym chwilę poczekać, ale widzę, że jest pan diabelnie ciekawy... To zrozumiałe, proszę się tego absolutnie nie wstydić.

## 14.

– Oto oni. Może się im pan przyglądać do woli.

Naczelnik odsuwa się od ciężkich metalowych drzwi i podtrzymuje zasłonkę judasza. Przez chwilę się waham. Czy oby na pewno chcę ich zobaczyć? Czy nie lepiej byłoby z tym poczekać do samej egzekucji?

To niczego nie zmienia.

No właśnie.

To zwykli zbrodniarze, którzy zasłużyli na śmierć. Muszę spojrzeć im w twarz bez jakiegokolwiek lęku. Nie mogę dać się zaskoczyć. „Liczą się waga i kości...”

Toczę wewnętrzną dyskusję i mój oddech przyśpiesza. Trwa to na tyle długo, że naczelnik zaczyna się irytować. Spogląda na mnie z ukosa.

– Rozmyślił się pan? Czy...

– Nie. – Natychmiast podchodzę do drzwi i zerkam przez wizjer. Mógłbym jeszcze zamknąć oczy, lecz biorę się w garść.

W środku surowej, ciasnej celi jest dwóch mężczyzn. Obaj siedzą na swoich pryczach. Jeden, starszy i z brodą, zdaje się pogrążony w modlitwie. Drugi, znacznie młodszy, założył dłonie za głowę i płacze. Nagle jego ciałem wstrząsają dreszcze, splota, po czym się nachyla. Usiłuje zwymiotować pod siebie, ale nie ma czym. Wsadza do ust palce, odcharkuje, a z oczu płyną mu łzy. Jego towarzysz niezmiennie tkwi w tej samej nabożnej pozycji.

– Napatrzył się pan?

Pytanie naczelnika uświadamia mi, że tę scenę obserwuję przez dobrych kilka minut. Podglądam świat, który wydaje mi się intrygujący i dziwnie uspokajający. Dotychczasowe zdenerwowanie nagle znika. Widzę zbrodniarzy, którzy powinni odpowiedzieć za swoje czyny, a to ja wymierzę im sprawiedliwość. Społeczeństwo może gardzić katami, ale bez nich pełne byłoby morderców i najgorszych bandytów.

– Śmiało. – Naczelnik niedbale macha ręką. – Może ich pan obserwować tak długo, jak zapragnie. Prześpi się pan w celi obok, z dostępem do drugiego judasza.

– W celi obok? – dopytuję zaskoczony.

– Tak. To nasze zwyczajowe lokum dla kata. Wuj o nim panu nie wspominał? Zdaje się, że to zwyczaj znany większości podobnych zakładów...

– O niczym takim nie mówił.

W ogóle nie zastanawiałem się, gdzie miałbym spać. Choć chyba podświadomie liczyłem na normalny pokój lub przytulny kąt w hotelu. Tymczasem otrzymałem celę, graniczącą z celą skazanych na śmierć. Dostrzegam w tym istotę rytuału oraz fragment tradycji. Ironię, a może właśnie najgłębszy szacunek.

– Może pan ich obserwować przez całą noc – powtarza dobitnie naczelnik. – Ale proponuję, żeby się pan przespał. Jutro pański wielki dzień.

Wolałbym, aby nikt nie wiedział, że przeprowadzę egzekucję po raz pierwszy. Na samą myśl o tym zdenerwowanie wraca ze zdwojoną siłą.

– Tak, powinienem się wyspać – przyznaję.

Choć jednocześnie wiem, że tej nocy nie uda mi się zasnąć. Podobnie jak dwóm mężczyznom, od których dzieli mnie gruby mur. Dziś łączy nas znacznie więcej, niż mogłoby się zdawać.

## 15.

„To rolnik, który zlecił zamordowanie żony, oraz jakiś biedak, który zgodził się to zrobić”.

Patrzę przez wizjer, a w myślach raz po raz przewijają mi się słowa naczelnika. Doskonale pasują do dwóch mężczyzn osadzonych w celi, w której nigdy nie gaśnie światło. Od początku nie miałem wątpliwości, który jest który. Młodszy, rolnik, wydaje się całkowicie zrozpaczony. Nadal miota się na pryczy i szarpie się za włosy. Wciąż nie pogodził się ze swoim losem.

Tymczasem starszy, nędzarz, leży z rękoma założonymi pod głowę. Jest spokojny. Zdaje się, że ma otwarte oczy i spogląda w sufit. O czym myśli? Czy się boi? Zdaje się, że jego przyszłość wcale go nie obchodzi. Trwa chwilą, ciesząc się, że teraz, w tym momencie, nadal jest żywy.

Może właśnie taki jest los nędzarzy? Żyjąc bez dachu nad głową, z pustym brzuchem i znosząc nieustanne drwiny, nie widzi się w śmierci niczego strasznego? Jeszcze niedawno nie byłbym nazbyt daleko od tego stanu. Niewiele brakowało, bym stracił gospodę, dom oraz rodzinę.

Rodzina. Czym jest? Przekleństwem wzajemnych kontaktów, pretensji oraz zobowiązań.

Młodszy ze skazańców wybucha głośnym płaczem. Zwiją się w kłębek i rozpacza, dławiąc się własnymi łzami. Drży na całym ciele. Czy miał więcej do stracenia niż nędzarz? Nawet nie



dowiedziałem się, czy jego żona została naprawdę zamordowana. Czy zbrodnia się powiodła? A może któryś z nich w ostatniej chwili się rozmyślił i zadencjonował drugiego? Wymiar sprawiedliwości bywa jednak bezlitosny. A jakie jest moje sumienie?

To ostatnie pytanie sprawia, że w gardle czuję posmak żółci. Moje sumienie nie powinno mieć z egzekucją niczego wspólnego. Nie jestem od oceniania ani roztrząsania motywacji sądu. Wuj Franz wielokrotnie powtarzał, abym nie zabrnął w ślepą uliczkę domysłów. Zapewne miał rację, nie dopytując, kim są skazani i za jakie przestępstwa odpowiadają. Dlaczego zwiódła mnie ciekawość?

Młodszy z mężczyzn nagle cichnie i popada w stan przypominający katatonię. Spogląda tępo w ścianę, gdzieś nieopodal drzwi. Jego twarz jest trupio biała, oczy czerwone, a włosy rozwichrzone. Po dolnej wardze z lekko otwartych ust spływa strużka krwi. Zapewne w ataku paniki pogryzł sobie język lub policzki. Nie zwraca teraz na to żadnej uwagi. Przypomina szaleńca, którego świadomość osunęła się w niebyt. Może to dla niego lepiej?

Wtem jego spojrzenie przesuwają się ku wizjerowi. Poza oczami nie porusza się żaden fragment jego ciała. Choć nie może wiedzieć, że go obserwuję, w jakiś niezwykły sposób musiał to wyczuć. Patrzy wprost w judasza. Jego przekrwione, szeroko otwarte oczy zdradzają ogrom wewnętrznego cierpienia.

Odsuwam się od drzwi i zasłaniam wizjer dłonią. W tej samej chwili jakiś zegar w głębi więzienia wybijają północ. Zerkam na schludnie pościelone, proste łóżko, ale wiem, że nie zasną. Na plecach czuję pot. Za kilka godzin mam zabić dwóch ludzi.

Nie. To nie ja ich zabijam. To oni sami skazali się na śmierć, popełniając przestępstwo. Kat nie jest mordercą, lecz wykonawcą sprawiedliwości. Przecież każdy zbrodniarz, świadomy odpowiedzialności za swoje czyny, niejako popełnia samobójstwo.

Gdy wuj mówił mi o tym, wszystko zdawało się niezmiernie proste. Wierzyłem w to i całkowicie się z tym zgadzałem. A teraz? Chyba też, ale...

Siadam na łóżku i zwieszam głowę między ramionami. Głęboko nabieram powietrza.

– Tak, to ich wina – stwierdzam, przekonując siebie. – Ja jestem jedynie sprawiedliwością. Kołem zamachowym gilotyny i zarazem jej ostrzem. Jestem śmiercią.

Mimowolnie delikatnie się uśmiecham.

## 16.

Dokładnie o piątej rano wraz z dwoma asystentami rozpoczynam składanie gilotyny. To prosta praca, ale wymaga pewnej synchronizacji ruchów. Wuj Franz kazał mi wykonywać ją tylokrotnie, żebym był w stanie to zrobić nawet z zamkniętymi oczami. Chyba jednak nadal bym tego nie potrafił.

Do poziomej ławy należy domontować w pionie dwie prowadnice, co wbrew powszechnemu przekonaniu nie odbywa się przy użyciu gwoździ. Szafoty i gilotyny w dzisiejszych czasach składane są niczym dziecięce klocki, niemal w całkowitej ciszy. Odpowiednio nawoskowane oraz wypolerowane elementy doskonale do siebie pasują.

Zgodnie z informacjami podanymi mi przez naczelnika oraz na podstawie własnych obserwacji dobieram jedno z ostrzy. To konkretne waży równe pięćdziesiąt osiem kilogramów i posiada krzywiznę dwudziestu stopni. Powinno nadać się dla obu skazanych. Mimo różnicy wieku są podobnej postury oraz krzepy. W końcu w rewolucyjnej Francji jedno ostrze służyło do ścięcia tysiący osób bez względu na płeć oraz tuszę.

– Przynieście worek – nakazuję asyntenom. – Jest przygotowany razem z innymi rzeczami.

Gdy wypowiadam te słowa, przebiega mnie dreszcz. Cała sytuacja nagle staje się nadzwyczaj realna. Tym razem przygotowuję się do prawdziwej egzekucji. Staną przede mną prawdziwi, żywi ludzie. Nie mogę popełnić błędu, lecz nagle wydaje mi się, że uleciała ze mnie cała wiedza przekazana przez wuja. Powinienem był go zawiadomić i poprosić o pomoc. Tyle że on z góry zastrzegł, żebym nigdy tego nie zrobił. Mam zdać się na asyntenów, którzy pracowali z nim przez kilka lat.

Zerkam na dwóch roślących mężczyzn z krótkimi brodami i ponurymi spojrzeniami. Przypominają braci i być może rzeczywiście nimi są. Sapiąc, niosą ważący sześćdziesiąt pięć kilogramów worek wypełniony trocinami oraz piaskiem. Czy gdybym miał popełnić błąd, w ogóle by mnie ostrzegli? Czy kieruje nimi jakokolwiek lojalność? Wobec mojego wuja owszem, z pewnością czuli do niego szacunek, ale do mnie? Czy nie jestem dla nich jedynie uzurpatorem albo zwykłym nepotem?

– Proszę. – Starszy z mężczyzn poklepuje worek ułożony na ławie. Pośpiesznie formuje dłonią zarys karku. – Będziemy przymierzali?

– Będziemy – potwierdzam, starając się przejrzeć jego prawdziwe myśli. – Muszę jedynie dodać smaru.

Pochylam się nad kołowrotkiem i sprawdzam, czy żaden z zębów nie jest uszkodzony. To bardzo ważne. Wuj nakazał, abym robił to za każdym razem. Sam smar nic nie pomoże, a lekkie zwichrowanie tego elementu może zniweczyć całą egzekucję.

– Zgadza się – oznajmiam. – Wszystko jest w porządku.

– Jesteśmy gotowi – stwierdza urzędowo młodszy z asyntenów. Poprawia binokle i nachyla się nad workiem, udając, że chwyta skazańca za łydkę. Jego współnik robi to samo.

Siedem i pół obrotu wystarcza, by ostrze gilotyny zostało wciągnięte na samą górę prowadnic. Metal lśni w sztucznym, mocnym świetle. Jest w nim coś przyciągającego. Coś, co wydaje się wręcz nierealne. Ile osób ten kawał żelastwa pozbawił życia?

Ukradkiem zerkam na swoje dłonie. Choć serce bije mi coraz szybciej, są pewne i nieruchome. Sięgam po niski kosz wypełniony trocinami, po czym przesuwam go ku końcówce ławy.

Ostrze gotowe – powtarzam w myślach. – Ostrze gotowe.

## 17.

Ostrze gotowe – powtarzam raz po raz niczym mantrę.

Spoglądam na duchownego, który wkracza na salę w towarzystwie młodszego ze skazańców. A więc to on będzie pierwszy. Dobrze.

Szczęka zasuwa w drzwiach, gdzieś z głębi zakładu dobiega czyjś krzyk i wtedy rozlega się dźwięk gongu. Naczelnik delikatnie, miarowo pociąga za sznurek. Niech wszyscy wiedzą, że rozpoczęła się egzekucja. Za chwilę poleje się krew skazańca.

Pomarszczona, krągła twarz duchownego jest mi skądś znana. Musiałem go kiedyś widzieć, gdyż i jego spojrzenie na chwilę się na mnie zatrzymuje. Szybko się jednak odwraca, po czym szepcze coś do więźnia.

Dwudziestokilkulatek ledwie idzie. O dziwo jest spokojniejszy niż wczoraj, nie miota się, lecz nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Co chwilę strażnik podchodzi do niego i musi niemal go ciągnąć. Młodzieniec się nie opiera. Jego twarz już nie jest biała, lecz przybrała niezdrowy

brązowawy odcień. Oczy się zapadły, a rysy napięły. Dopiero teraz widzę, że jego spodnie w kroczu są całe mokre. Wydaje się, że nie tylko pogodził się ze śmiercią, ale już umarł. To diabelnie smutne.

– Gotowy – oznajmia strażnik.

– Oddany Bogu – potwierdza duchowny.

– Zaczynajcie – nakazuje naczelnik, nie przestając pociągać za sznurek. – Niech się stanie.

Zgodnie z wytycznymi protokołu zerkam na sędziego, który odpowiada mi kiwnięciem głowy. Wydaje się nie mniej przejęty niż ja. Oblizuje wargi, po czym intensywnie mruga.

– Kacie, czyń swoją powinność – wypowiada na jednym wydechu.

Zerkam na zegarek. Zadowolony spostrzegam, że moje ręce w ogóle nie drżą, a oddech jest w miarę spokojny. Spojrzenia zebranych dzielą się między mnie i skazańca, więc muszę wykonać wszystko jak najlepiej. Człowiek niczym nie różni się od konia wiedzionego na ubój, ale z całą pewnością jego sumienie obciąża więcej grzechów.

Kładę dłoń na kołowrocie, a jeden z moich asystentów przejmuje skazanego od strażnika. Prowadzi go do drewnianego stelaża z wycięciem na szyję. Więzień usiłuje się stawiać dopiero w momencie, gdy na jego oczach zostaje zawiązana przepaska. Jednak ułamek sekundy później przemyślna konstrukcja obraca się do poziomu. W tym momencie jest już za późno na jakiegokolwiek protesty. Plecy mężczyzny dociska pręt, a moi pomocnicy, tak jak ćwiczyli, chwytają skazanego za łydki. Wszystko rozgrywa się w błyskawicznym tempie.

Ostrze gotowe – powtarzam po raz kolejny.

Gdy tylko ruchomy element ze skazańcem zostaje przesunięty w stronę stelaża, zlizowuję blokadę. Puszczam kołowrót i obserwuję, jak ostrze ze świstem pędzi w dół. Wydaje mi się, jakby czas nagle zwolnił. Widzę, jak gilotyna wżyna się w nagi kark skazanego, jak kruszy jego kręgosłup i odcina głowę. Krew tryska na boki, lecz jest jej mniej, niż sądziłem. Obryzguje podłogę oraz kosz z trocinami, do którego wpada głowa. Drobnny rozprysk rosi również moje buty. Jednak to nic. Nawet nie robię kroku w tył.

Kropla potu skapuje z mojej brwi na policzek, ale to chyba jedyny przejaw zdenerwowania. Ponownie zerkam na zegarek i wszem wobec ogłaszam godzinę zgonu. Wszystko poszło nadzwyczaj sprawnie. Jestem ukontentowany.

U boku sędziego jak spod ziemi wyrasta prokurator. Ścisną moją dłoń i szeroko się uśmiecha.

– Doskonała robota – gratuluje mi. – Świat będzie miał z pana wiele pożytku.

Te słowa docierają do mnie jak zza jakiejś przesłony. Rozumiem je, lecz odpowiadam na nie bez cienia uśmiechu. W takiej chwili nie wypada zdradzić żadnych emocji.

– Opróżnijcie kosz – nakazuję asystentom. – Jestem gotów na następnego.

Czuję dumę oraz ogromną siłę. Właśnie coś się we mnie dokonało. Ktoś umarł, bym ja narodził się całkowicie na nowo.

## 18.

Do Neubibergu powróciłem natychmiast po wykonaniu drugiej egzekucji. Udała się jeszcze sprawniej niż pierwsza. Od chwili, gdy wprowadzono brodatego nędzarza, do jego ścięcia minęło dokładnie trzydzieści sześć sekund. To o sekundę mniej niż w przypadku jego zleceniodawcy. Nędzarz był zaskakująco opanowany i tak jak poprzedniego wieczoru, tak w chwili egzekucji niemal nie zdradzał emocji. Gdy zasłonięto mu oczy, rzucił jedynie ciche słowa przekleństwa. Wobec kogo? Czy skazaniec może zlorzeczyc katu?

Zastanawiam się nad tym, obserwując gości zebranych w gospodzie. To całkiem niezły dzień. Grupa miejscowych zawzięcie chce się upić na umór, a dwoje podróżnych również nie wylewa za kołnierz, choć nie dotrzymuje tamtym kroku. Jest już niemal dziewiętnasta, więc towarzystwo niebawem powinno zacząć się rozchodzić. Mimo to zarobiłem swoje. Wczorajsza robota również przyniosła konkretny zysk, więc pozwalam sobie ukradkiem wychylić szklanek ziołówki. Ostry, gorzki smak wypełnia mi usta i rozgrzewa trzewia. Zasłużyłem na to.

Nalewam jeszcze jedną szklaneczkę, po czym znów wychylam ją duszkiem. Robi mi się przyjemnie miękko w nogach, a mięśnie się rozluźniają. Momentalnie czuję przyływ lepszego samopoczucia. Stawiane przed chwilą pytania tracą jakiegokolwiek znaczenie.

Zbieram brudne kufle i przepłukuję je w misce letniej wody. Alkohol i tak wszystko dezynfekuje, a jedyny zlew jest w pomieszczeniu na zapleczu. Tam myjemy przede wszystkim brudne naczynia.

Cicho pomrukuje jakąś melodię, której autorstwa ani pochodzenia nie potrafię sobie przypomnieć. Może to fragment jakiejś opery? Nie, jeśli już, to lekka, ironiczna operetka albo muzyka monachijskich burdeli, o których wiele słyszałem, a w których nigdy nie byłem. Burdele... Ciekawe, czy tamci dwaj kiedykolwiek w jakimś się zabawiali? Ten młody wyglądał na takiego, który nigdy nie był sam na sam z żadną dziewczyną, lecz przeciż miał żonę. I zdecydował się tę żonę zabić. Pozory czasem okropnie mylą. A ten drugi...

Z zamyślenia wyrывa mnie jęk otwieranych drzwi. Do gospody wpada powiew wiatru, wraz z którym do środka wkracza przygarbiony ksiądz. Robi kilka kroków i dopiero stając pośrodku izby, zdejmuje kaptur. Obtupuje buty, nie bacząc, że skupił na sobie spojrzenia większości gości. Moje również.

Pamiętam tę twarz. Krągłą i pomarszczoną jak u sędziwego mopsa.

To duchowny, którego widziałem w dniu egzekucji. Ten sam, który udzielał skazanym ostatniego namaszczenia. On również mnie dostrzega i na moment zamiera w bezruchu. Najwyraźniej stara się sobie przypomnieć, gdzie mnie widział. Przez chwilę ta myśl nie daje mu spokoju, marszczy mętne oczka, wreszcie rusza w moją stronę.

- To wy... - zagaduje jadowitym tonem.

- To ja - odpowiadam nad wyraz spokojnie. - Niech będzie pochwalony.

Duchowny nie odpowiada. Musiałem widzieć go kilkakrotnie, gdy przybywał do gospody zapewne w drodze do miejscowego proboszcza.

- Tylko piwo - rzuca krótko.

Nalewając trunek, bacznie mu się przyglądam, ale on już na mnie nie patrzy. Nie rozumiem jego uprzedzenia. Nie rozumiem pretensji wybrzmiewającej w jego głosie, gdyż zawsze zdawało mi się, że Kościół popiera karę śmierci.

- Dość. - Ksiądz nagle wskazuje na kufel, który napełniłem nieco ponad połowę. - Chcę zapłacić.

Rzuca monety na ladę, jakby się ich brzydził. Odchodzi z kuflem do stolika.

## 19.

- Nie jesteś ze mnie dumna? Jakże miałybyś być!

Spoglądam na żonę spode łba. Wypiłem o jedną szklanek ziołówki zbyt wiele. Czuję to i jestem tego świadomy. Jednak nie potrafię się kontrolować. Choć moje myśli są uporządkowane, stanowią jedynie tło. Ciało oraz język rządzą się jakimś pierwotnym instynktem.

– Wystarczy mi spojrzenie tego klechy – cedzę. – Nie musisz patrzeć na mnie w ten sposób.  
– W jaki? – odpowiada hardo moja żona. Uśmiecha się pogardliwie. – Lepiej sam spójrz na siebie.

– Wiedziałas, kim jestem i jaka jest moja rodzina. Zawsze byłem z niej dumny.

– Ty tak, ale miałaś prowadzić gospodę i zająć się majątkiem ojca. Nawet tego nie potrafisz!

A więc to o to chodzi. Mogłem się od razu domyślić. Choć nasze stosunki nie układają się od dawna, zawsze może być gorzej. Czasem potrzeba drobnej iskry, by wysadzić pozór wzajemnego tolerowania się. Co za frazes...

– Ludzie gadają. Rozumiesz? – Moja żona uśmiecha się jeszcze szerzej i kręci głową. Pukle jej kręconych włosów niesfornie opadają na czoło. W oczach dostrzegam łzy. – Chciałam spokojnego, normalnego życia, ale nie mogę mieć nawet tego. O niczym mi nie powiedziałaś. Spiskowałeś z tym cholernym wujem, który przeciągnął cię na stronę. Jakich argumentów użył? Że jego syn ma gdzieś rodzinną tradycję? Przyznaj chociaż, że właśnie tak powiedział!

Nie mogła tego trafniej ująć. Wzruszam ramionami i kieruję się do sypialni.

– Zostaw mnie.

– O tak, w końcu to zrobię! – Głośno pociąga nosem i zaczyna płakać. – Dlaczego ze mną chociaż nie porozmawiałaś? Dlaczego, Johann?!

Chwyta mnie za łokieć, lecz wrywam się jej. Przed oczami stają mi twarze nędzarka oraz rolnika. Szybko uzmysławiam sobie, że to nie tylko twarze, lecz całe głowy. Z zakrwawionymi policzkami i włosami. Leżące w koszu trocin niczym upiorne arbuzy.

– Chciałabyś, żebym z tobą porozmawiał? – parskam. – Wtedy mogłabyś poplotkować ze swoimi kuzynkami lub przyjaciółkami. Miałabyś kolejny temat do narzekania, prawda?

– Nigdy nie narzekałam! O czym ty mówisz?

– Naprawdę chcesz o tym teraz rozmawiać?

Zawracam do kuchni i podchodzę do jednej z szafek. Wyjmuję z niej butelkę czystego spirytusu. Nalewam go do niskiego kieliszka. Moja żona usiłuje mnie powstrzymać, ale wypijam wszystko za jednym razem. Spoglądam jej prosto w oczy w momencie, gdy z głębi domu dobiega płacz naszego dziecka. To Hans, najstarszy syn. Jest wyjątkowo wrażliwy i stanowczo zbyt często się rozkleja. Zapewne ma to po matce.

– Idź do niego – rzucam oschle. – Czy wolisz mi robić pretensje?

– Jesteś nikim.

Przetykam ślinę i powstrzymuję się przed odpowiedzią. Właściwie nie powinno mnie ponosić. Nie ma we mnie dość emocji, aby się kłócić. Po co? Czy ta kobieta jest warta tego, abym się denerwował? Dlaczego miałbym to robić? Stanowi jedynie element mojego życia, który kiedyś był ważny, lecz szybko okazał się niczym więcej niż obciążeniem. Nie rozmawiałem z nią, gdyż wiedziałem, że nie udzieli mi wsparcia. Nie zrozumie, że wszelkie decyzje podjąłem po to, by ona i nasze dzieci miały co jeść. To moja wina. Od dawna powinienem uświadomić ją, jaka jest sytuacja, lecz wciąż stwarzałem pozory. Męska duma bywa największym przekleństwem.

– Przepraszam – rzucam na uspokojenie. – Nie powinienem był...

Nie kończę. Przerzywa mi brzęk tłuczonego szkła. Jedno z okien rozpada się na kawałki, a na podłodze kilka kroków od nas upada kamień.

– Jesteś przekłety. – Moja żona zaciska pięści, odwraca się i ucieka w głąb domu.

Być może ma rację.

W ciągu dwóch dni wieść o tym, że zostałem katem, rozniosła się po okolicy. W gospodzie zjawił się tylko jeden gość, przybyły z daleka podróżny, w zakurzonej stroju, jakby całą drogę pokonał furmanką. Poza tym wszyscy omijali mnie wielkim łukiem. Wuj Franz nie wspominał o tym przekleństwie wszystkich katów, choć chyba zdawałem sobie z niego sprawę. Może właśnie za jego sprawą członkowie mojej rodziny zawsze byli wyobcowani i małomówni.

Rozprostowuję kartkę, którą ktoś wrzucił do gospody. Jednocześnie grupa dzieciaków krzyczy, że moje kufle są wypełnione krwią. To nic. To w końcu minie...

Nie. Sam siebie oszukuję i dobrze o tym wiem. Na kartce nakreślono tylko jedno, koślawe zdanie.

„Jesteś ludzką gnidą, która sama powinna być skrócona o głowę”.

Mnę papier i rucam go do zagalonego kominka. Wiadomość nie wzbudza we mnie praktycznie żadnych emocji. Zdanie obcych ludzi ani trochę mnie nie interesuje. Znacznie istotniejsze jest to, że bez dochodów z gospody będzie nam bardzo trudno przeżyć. Wyroków śmierci jest zarządzanych zbyt mało. Nawet gdyby było ich dwa czy trzykrotnie więcej, ledwie starczyłoby na podstawowe potrzeby. A dzieci? Dzieci są nieskończonym wydatkiem, który optymiści lubią nazywać inwestycją. Szczęśliwi są ci, którym inwestycja zwraca się, nim trafią pod ziemię.

Wszyscy tam kiedyś trafimy. Dlatego czy inwestycje w ogóle mają jakikolwiek sens? Zmierzamy do nicości od pierwszego dnia naszego życia. Właściwie płodząc dzieci, wydajemy na nie wyrok śmierci. Czy mamy do tego moralne prawo? Z rozmysłem, pod pretekstem przedłużenia gatunku, skazujemy nasze potomstwo na trwającą całe życie agonię.

Dopada mnie paskudny humor. Chwytam płaszcz i zarzucam go na ramiona. Szybkim krokiem opuszczam gospodę. Kieruję się ku głównej uliczce miasteczka. Podnoszę dumnie głowę, choć mam ochotę sam sobie ją odstrzelić.

Nic nie ma sensu. Nie ma go życie ani umieranie.

– Morderca – rzuca ktoś z okna jednego z domów. – Pies państwa!

Wkładam dłonie do kieszeni i zwalniam kroku. Nie chcę, by odniesiono wrażenie, że przed czymś uciekam. Idę powoli, idealnie wyprostowany, czując satysfakcję z każdego nienawistnego spojrzenia. Nagle się zatrzymuję i ściągam kapelusz. Obracam się z nim, jakbym zbierał pieniądze. Patrę w oczy zebranych wokół przechodniom.

– Czego chcecie? Coś wam się nie podoba? – Wyciągam z kieszeni malutką piersiówkę i ją opróżniam. – Napatrzcie się, jeśli chcecie. No, śmiało! Może się jeszcze zobaczymy, ale wtedy to tylko ja będę na was patrzył. Wiecie dlaczego? Bo wy będziecie mieć zasłonięte oczy. Ha, ha!

## 21.

Od ruiny finansowej ratują mnie dwie kolejne egzekucje. Nie odbywają się jedna bezpośrednio po drugiej, lecz w kilkudniowych odstępach. Mimo to stanowią istotny zastrzyk gotówki, szczególnie że gospoda jest niemal nieodwiedzana. Niech szlag trafi tych wszystkich ludzi. Czy woleliby, żeby po ulicach chodzili ci wszyscy mordercy i inni dewianci? A może chcieliby utrzymywać ich w więzieniach i cieszyliby się, że za ich pieniądze jedzą i srają? No, dalej! Wytlumaczcie mi to!

Zbyt dużo pijam. Od dziecka zdarzały się mi okresy gorszego nastroju, gdy nie tylko popadałem w marazm, ale również stawałem się wewnętrznie drażliwy i rozchwiany. Wewnętrznie. To słowo klucz.

W trakcie egzekucji nie okazałem najmniejszej emocji. Nie drgnęła mi nawet powieka. Do tego zmusiłem się, by skazani patrzyli na mnie tuż przed tym, jak ich oczy zasłonięto opaskami. Byłem ostatnim, co widzieli na tym świecie. Czy nie mogę być z tego dumny? Może oni również usiłowałiby ze mnie kpić, może oni również nie przyszliby do mojej gospody i rzuciliby w jej okno kamieniem. Niech giną, niech szczeną, niech gniją pod ziemią.

Żałuję tylko tego, że dziś egzekucje nie są wykonywane publicznie. Dzięki temu kaci zjednywali sobie tłumy i kierowali tłuszcą. To od nich zależało, kto będzie mógł dotknąć zwłok skazanego, a kto wyszarpie część jego ubrania. Ponoć to przynosi szczęście. Może sam powinienem spróbować?

Jednocześnie kaci zawsze mieszkali poza murami miast. Podobnie jak kobiety lekkich obyczajów, burdelmamy, hycle i sprzątacze ulic. W niektórych częściach Europy zachowały się jeszcze pozostałości ich domków oraz katowni. Przetrwały również w nazwach geograficznych. Wzgórze Wisielców, Trupia Łączka, Udręki. Znają je różne państwa oraz krainy.

Mało kto wie, że do obowiązków kata należało odławianie bezpańskich psów oraz usuwanie padliny. Hycle, ta nazwa przetrwała do dzisiaj, byli jego pomocnikami. W wiekach średnich kaci uchodzili za najlepszych znawców anatomii oraz ciała ludzkiego w ogólności. Wbrew pozorom zazwyczaj nie zasłaniali twarzy kapturami ani maskami. Najprawdopodobniej nie zrobili tego również oprawcy Karola I Stuarta, mimo że mogło spaść na nich powszechne potępienie. Stroje katowskie to wynalazek artystów oraz poetów.

Kim kaci są teraz? Wyciągam przed siebie dłonie i spoglądam na nie. Jak zwykle oceniam, czy aby nie drżą. Są doskonale proste, a oba mankiety białe i czyste. Nakładam cylinder, po czym poprawiam muszkę. Znów wszystko jest gotowe. Czekają na mnie sędzia oraz prokurator. Skazaniec powinien zostać wyprowadzony z celi dokładnie za minutę.

Upewniam się, że w kieszeni mam zegarek. Czuję się coraz bardziej na siłach, by zmierzyć się z legendą mojego wuja. Trzydzieści sekund. Kiedyś pobiję ten wynik. Ale chyba jeszcze nie dziś.

Choć kto wie?

– Ostrze gotowe – oznajmiam, wkraczając na salę. – Można wprowadzić więźnia.

## TRZY LATA PÓŹNIEJ

### 22.

Na stoliku przede mną stoją opróżnione szklanki ziołówki. Już nie zwracam uwagi na jej smak ani przyjemne ciepło rozchodzące się w żołądku. Piję ją niemal bez przerwy, gdyż pozwala mi spać, żyć i trwać. A do tego dostaję ją za darmo od kuzyna, który osobiście zajmuje się destylacją. Przynajmniej mogą mu ufać.

Przez ostatnie trzy lata wykonałem jedynie dwadzieścia cztery egzekucje. W ciągu tego roku tylko jedną. Mimo licznych wyroków skazujących większość zbrodniarzy jest ułaskawiana, a ich kara zamieniana na długoletnie pozbawienie wolności. Ponoć właśnie tego pragną ludzie. *Vox populi...*

Dobiega mnie ciche jęczenie. Podnoszę się z krzesła i podchodzę do ustawionego w kącie pokoju łóżka. Leży w nim wuj Franz. Od kilku tygodni dręczą go poty, opadł z sił, a wola życia całkowicie w nim przygasła. Zajmuję się nim, bo nawet własny syn przestał się nim interesować. Czy nigdy wcześniej tego nie widziałem? Czy nie dostrzegłem, że jesteśmy najbardziej samotnymi z ludzi i że na tę samotność sami się skazaliśmy? Choć w zasadzie nie ma w niej nic złego. Przynajmniej dopóki ma się dość sił, by sobie podetrzeć tyłek.

- Coś ci podać, wuju?

Spoglądam w zapadnięte, niemal bezbarwne oczy i zagryzam wargę. Oto człowiek, który stał ramię w ramię ze śmiercią przez pół stulecia. Teraz toczy z nią nierówny pojedynek.

- Wody.

- Tylko wody?

Nie ma siły mówić nic więcej. Nie ma nawet siły otworzyć ust, więc zanurzam szmatkę w misce i wyciskam mu wodę na wargi. Delikatnie oblizuje je sztywnym językiem.

- Czy...

Nie wiem, co mówi, więc nachylam się tuż nad jego usta. Wsluchuję się w świst powietrza, który ledwie przypomina ludzką mowę.

- Czy dostałem zgodę? - powtarzam za nim i spoglądam, aby upewnić się, że właśnie to go interesuje.

Mruga, co ma oznaczać przytaknięcie. Pukle jego siwych włosów przylepiają się do czoła, przez co wygląda jak pomarszczona szmaciana lalka wrzucona do pieleszy.

- Tak. Wczoraj przyszło oficjalne pismo informujące, że nie muszę zamieszkiwać w okręgu wykonywania funkcji kata.

W oczach wuja dostrzegam błysk.

- Mam prawo podjąć drugą pracę, gdzie zechcę.

- Ale...

Memłanie językiem jest niemal niezrozumiałe, lecz nie muszę się próbować domyślać, o co chodzi wujowi. Doskonale to wiem. Siadam obok niego na łóżku i chwytam chłodną dłoń poznaną sinymi wybroczynami.

- Będę katem - stwierdzam, patrząc w stronę przysłoniętego firanką okna. - Zrobię wszystko, aby nasza rodzina podtrzymała tradycję. Wszystko.

Podnoszę się i nie patrzę więcej w twarz wuja. Nie chcę, by poznał, że kłamałem.

## 23.

- Mam dość. Chcę odejść. Nie wytrzymam tu już ani dnia dłużej.

Spoglądam na żonę, lecz nic nie mówię. Przedemną stoi szklanka niedopitego trunku, obok niej leży protokół z ostatniej egzekucji, a dalej wiadomość o amnestii wobec kilkorga skazańców.

- Słyszysz, co powiedziałaś? W ogóle cię to nie interesuje?

Nie interesuje mnie to od dawna. Nie chciałem jej nigdy zrobić przykrości, ale przecież jesteśmy dorosłymi ludźmi i powinna wiedzieć, że oddaliliśmy się od siebie zbyt daleko, by móc wrócić. Ona wciąż patrzy w życie, myśli kategoriami jutra, dalszej przyszłości, wierzy w miłość oraz Boga Wszechmogącego, tymczasem ja wierzę jedynie w śmierć.

- Całymi dniami pijesz, lecz nie przynosisz do domu ani grosza. Co z gospodarstwem? Co z tą cholerną gospodą?

Odchrząkuję i odsuwam od siebie szklankę. Piję, owszem, ale się nie upijam. Jestem schludnie ubrany i ogolony. Gotów w każdej chwili pojechać na drugi koniec kraju, by wykonać swoją powinność.

W gospodzie nie byłem od wielu dni. Nadzorują ją jedna z kuzynek oraz jej mąż. Uznałem, że lepiej nie pokazywać się w miejscu, gdzie od samej mojej obecności woda ma barwić się krwią. Tyle że zyski dzielimy na więcej osób, co czyni je jedynie symboliczną jałmużną. Jednak wszelkie



obciążenia oraz podatki spoczywają tylko na mnie. Mam też wyłączne prawo rozporządzania budynkiem oraz jego wyposażeniem.

– Sprzedam ją – oznajmiam. – Pieniądze wystarczą na kilka miesięcy życia. Dla ciebie i dzieci.

Żona spogląda na mnie z niedowierzaniem. Zakłada włosy za uszy i kręci głową. Liczyłem na radośniejszą reakcję.

– Przekażę wam tyle, ile będzie potrzeba – dodaję. – Zrobisz z forszą, co uważasz.

– A ty? Kompletnie cię to nie interesuje? Mówisz o tym wszystkim bez najmniejszej emocji, jakbyś opowiadał o obcych ludziach. Na Boga, Johann! Chodzi o naszą rodzinę.

– Wiem.

Lakoniczne odpowiedzi nigdy nie wystarczają kobietom. Reakcja jest natychmiastowa. Moja żona nerwowo macha ręką, rzuca na podłogę ścierkę, po czym przechodzi do krótkiego korytarzyka. Szarpnięciem otwiera drzwi szafy, po czym wywleka z niej mój frak oraz cylinder. Potrząsa nimi, jakby stanowiły dowód najgorszej zdrady. Wybucha głośnym, rwanym płaczem.

– To śmierdzi trupem! – dyszy spazmatycznie. – Jak mogłeś mi to zrobić?

– Nie zrobiłem niczego złego.

– Jeszcze w to wierzysz? Zniszczyłeś wszystko, Johann. Zniszczyłeś nas oraz nasze dzieci.

– Muszę pobić rekord wuja Franza – odpowiadam bez sensu. Nawet nie mam pojęcia, dlaczego do głowy przyszła mi ta myśl, ale po prostu musiałem ją wypowiedzieć.

Czasem mam wrażenie, jakby tkwiły we mnie dwie osobowości. Jedna chce skończyć z usługami dla państwa, z egzekucjami, a druga wie, że to jest świat, dla którego zostałem stworzony. Nie wiem, kim jestem w rzeczywistości. Nie mam pojęcia, co mnie czeka, ale pragnę uciec. Jeśli żona ode mnie odejdzie, tylko ułatwi mi podjęcie decyzji. Pytanie brzmi, dokąd mógłbym się udać.

Wstaję z krzesła i przechodzę do korytarza. Podnoszę rzucone na podłogę frak oraz cylinder. Z namaszczeniem ponownie układam je w szafie.

## 24.

To czas upadku. Sprzedaż gospody w Neubibergu przyniosła znacznie mniej pieniędzy, niż sądziłem. Niemal wszystkie przekazałem żonie, która i tak postanowiła mnie zostawić. Nie prosiłem jej o nic, nie robiłem problemów, poprosiłem tylko, by nigdy nie ukrywała przede mną naszych dzieci. Chcę je odwiedzać i obserwować, jak dorastają. Będę robił wszystko, by zapewnić im godne utrzymanie, a jednocześnie wiem, że bez piętna ojca-kata będzie im lepiej.

Przeniosłem się do Monachium, gdzie za ostatnie oszczędności wynająłem knajpę przy Mariahilfplatz. Miałem doświadczenie, kontakty oraz pewną znajomość rynku. Nie wspominałem o swoim drugim zawodzie i udało mi się wejść w spółkę z kilkoma przedsiębiorcami.

Przed klątwami nie można jednak uciec. Dopadają człowieka bez względu na to, gdzie się uda i czym się zajmie. Zdaje się, że tą klątwą w moim przypadku jest śmierć.

Nie wiem, skąd ktoś dowiedział się, że wykonuję egzekucje. Historia zatoczyła koło, znów w okna poleciały kamienie, a dzieciaki wykrzykiwały o kuflach pełnych krwi oraz zapachu trupa dobywającym się z kuchni. Nie potrafię tego zrozumieć. Chyba nigdy tego nie pojmę, choć usilnie się staram. Czy wyrządzą komukolwiek z nich krzywdę? Czasem myślę, że każdy ze skazańców ma rodziny tak wielkie, że tych dwadzieścia kilka ofiar wystarczyło, abym miał wrogów w każdym powiecie i w każdej wiosce Bawarii.

Być może to Bóg mnie przeklął. Aby mu zadośćuczynić, zrezygnowałem z udziałów w gospodzie i nawiązałem kontakt z jednym z monachijskich stowarzyszeń katolickich. Zacząłem bywać w kościele. Nie wiem, czy potrafiłem się modlić, choć matka uczyła mnie tego całymi latami. Nie wiem nawet, czy prowadziłem dyskurs z Bogiem, czy z samym sobą.

Nie uważam się za złego człowieka. Postępuję zgodnie z nakazami sumienia, wykonuję nakazy losu oraz człowieka. Nie protestuję, lecz przyjmuję wszystko takim, jakim jest mi dane. Może to opacznie rozumiane chrześcijaństwo, ale najwyraźniej na głębsze interpretacje jestem zbyt głupi. Po prostu się do tego nie nadaję.

– Obrazek z modlitwą? – zagaduję do eleganckiej damy śpieszącej do bazyliki. – Mam Świętego Józefa, Świętego Piotra oraz Matkę Boską.

Ze skórzanej torby wyciągam obrazki, lecz kobieta nawet nie zwraca na mnie uwagi. Mimo to uchylam jej ronda kapelusza i ruszam w dalszą drogę. Zostałem komiwojazerem, jednak dobrze mi z tym. Od wielu miesięcy nie otrzymałem żadnego wezwania na egzekucję. Władze nakazały podać swój adres i być zawsze gotowym do wyjazdu. To wszystko. Za czekanie jednak mi nikt nie płaci.

Mężczyzna w meloniku, z naszczotkowanymi wąsami zerka na mnie z pogardą. Nie wiem, czy drwi z obwoźnego handlarza, czy rozpoznał we mnie kata. Zwalnia kroku, spluwa na chodnik obok mnie i idzie dalej.

– Dobrego dnia... – szepczę ponuro.

Zarzucam torbę na ramię i kieruję się ku pobliskiej kamienicy. W suterenie jest lokal, w którym sprzedają najtańsze piwo w okolicy. Muszę opłukać gardło, gdyż zanoszą się na to, że dziś nie przelknę żadnego posiłku. Cóż. Bywają i takie dni. Kiedyś przyjdzie ich koniec.

Kiedyś. Może całkiem niedługo. Wierzę, że karta w końcu musi się odwrócić. Choć można na to spojrzeć również z innej perspektywy...

## 25.

– Mama, gdzie jest moja mama?

Spoglądam na około trzydziestoletniego mężczyznę idącego obok księdza. Za nimi kroczy strażnik, lecz nie wydaje się do niczego potrzebny. Skazaniec robi wszystko, co się mu nakaze. Ma pociągnął twarz, wyłupiaste oczy i rozbiegane spojrzenie. Pod nosem zebrały mu się smarki. Mówi szybko, a do tego bardzo bełkotliwie, raz po raz pytając o swoją matkę.

Wśród zebranych w sali rozlega się szmer. Duchowny zerka w stronę naczelnika więzienia, który z dziką radością pociąga za sznur dzwonka. Hałas świdruje mi w uszach. Nieco się denerwuję, gdyż więzień będzie pierwszym skazańcem, którego powieszę. Na jakimś etapie urzędniczej biurokracji ktoś zdecydował, że należy odkurzyć szafot zamiast gilotyny. Dla mnie to całkiem w porządku. Po pierwsze, nie musiałem organizować transportu, po drugie, z wieszaniem jest mniej zawracania głowy. To kolejna z gier słownych, którą mogę powtórzyć za wujem Franzem. Już chyba rozumiecie, że mimo mrukliwości jest całkiem zabawnym facetem.

Wuj Franz... Przez chwilę moje myśli wędrują wokół niego. Na szczęście po raz kolejny wykaraskał się z objęć śmierci i po okresie niemal ocierającym się o agonię jego stan się poprawił. Niedawno wybrał się na niedzielną mszę, lecz ponoć ostentacyjnie nie przyjął komunii. Cały on.

– Mamo, mamusiu... – jęczy więzień. – Proszę, proszę!

Jeden z moich asystentów chwytając go za rękę i prowadzi jak dziecko. Wchodzą po schodkach na szafot, a skazaniec rozgląda się wokół, jakby liczył, że naprawdę jego matka jest gdzieś w pobliżu.

Z pewnością jest niepouczalny albo ograniczony umysłowo. Nie powinien trafić na szubienicę, lecz przecież nie mnie to oceniać.

Więzień łapie moje spojrzenie i nagle jego twarz się rozpromienia. Uśmiecha się do mnie, po czym puszcza mi oko. Przypomina nieświadomą niczego pacynkę, aktora przeniesionego wprost z desek teatru.

– Nie będę robił kłopotów – zapewnia w momencie, gdy mój asystent zarzuca mu na oczy chustę. – Obiecuję! Tylko nie ciemność. Proszę! Boję się ciemności!

Stojący obok mnie sędzia odkasłuje. Prokurator uparcie milczy, lecz czuję, że jego wzrok świdruje moje plecy. Ten człowiek, cokolwiek zrobił, nie mógł być świadomy swoich czynów. Przez moment mam ochotę zaprotestować przeciwko tej egzekucji, ale przecież to niczego nie zmieni. Ja pożegnaj się ze swoją robotą, a on i tak straci życie. Ale zasady...

Główną zasadą jest ta, że jestem trybikiem systemu, fragmentem gilotyny i przedłużeniem konopnego sznura. Nie pytać. Nie błądzić.

Poprawiam cylinder i upewniam się, że białe rękawiczki nie są pomarszczone. One czynią mnie niewinnym. Jestem tylko wykonawcą wyroków zasądzonych mocą władzy państwowej.

– Gotów.

Krótką komenda oznacza, że zapadnia może zostać w każdej chwili zwolniona. Jednak w głosie asystenta również słyszę drzenie. Ton wahania jest maskowany, ale wybija ponad udawaną pewność siebie.

– Kacie, czyń swoją powinność – nakazuje sędzia. Jego głos jest znacznie bardziej stanowczy, być może słychać w nim nawet sadystyczną satysfakcję.

Być może.

Nie mnie pytać i nie mnie oceniać.

– Mamusiu, jak ciemno – skomli więzień. Zaczyna się szamotać, lecz jest skrępowany wystarczająco mocno. – Mamo...

To jego ostatnie słowo. Pociągam dźwignię, zapadnia się otwiera i skazaniec spada pół metra w dół. Słyszę chrupnięcie karku, buty męczyzny uderzają o siebie w śmiertelnym tańcu, a potem nastaje cisza. To koniec.

## 26.

Egzekucja niepouczalnego więźnia nie wywarła na mnie większego wrażenia. Często wracam do niej myślami, ale tylko po to, aby analizować swoje ewentualne błędy. Czy powinienem zachować się inaczej? Czy może niepotrzebnie nakazałem założenie mu opaski na oczy? To technalia, lecz prawidłowa egzekucja to suma niezliczonych drobnostek.

Nie jestem oprawcą. Kat i oprawca to tylko językowe synonimy, jednak dla mnie zawsze najważniejszy jest szacunek dla skazanego. Mój schludny strój, brak jakichkolwiek emocji na twarzy, szybkość działania, wszystko to stanowi pewien ukłon wobec osoby idącej na spotkanie śmierci. Wuj powtarzał, że szacunek różni egzekucję człowieka od uboju bydła. Nie jestem przecież rzeźnikiem. Skończyłem z tym dawno temu.

Jednak pojedyncza egzekucja w ciągu wielu miesięcy nie pozwala mi się utrzymać. Od tygodni nie przekazałem żonie i dzieciom ani grosza. Mimo to, a może właśnie dlatego, nie piję. Wstąpiły we mnie nowe siły i postanowiłem bardziej optymistycznie spojrzeć w przyszłość. Tak, wiem, mam huśtawkę nastrojów. Sam to czuję. Mógłbym prowadzić dyskusję między swoimi obiema osobowościami, lecz kto miałby ją rozstrzygnąć?

Szałeństwo. Po raz kolejny po wykonaniu egzekucji dręczy mnie potok myśli. Nie żadnych wyrzutów sumienia, ale rozważań. Przede wszystkim nade mną samym.

Przed miesiącem wystąpiłem do ministerstwa sprawiedliwości z prośbą o przydział do służby więziennej. Zdobyłem kilka podpisów naczelników zakładów, poparło mnie dwóch prominentnych prokuratorów oraz kilku sędziów. To miłe, zważywszy na ogólną sytuację.

Otrzymałem już wstępną zgodę, lecz decydujące pismo trzymam w dłoni. Nie spodziewam się odmowy, ale wiem, że moje życie może przybrać niespodziewany obrót. Przecież nie trzeba wiele, by być porządnym strażnikiem więziennym. Nie trzeba do tego żadnych nadzwyczajnych umiejętności, a wystarczy ślepe posłuszeństwo przełożonym oraz prawu. Przynajmniej tak sędzę.

Sięgam po szklanek wody, ale nie wypijam nawet łyka. Zerkam za okno, przez chwilę wpatrując się w zabudowania na horyzoncie. Powinienem się przeprowadzić, ale jakaś nadzwyczajna więź trzyma mnie na tej ziemi.

Dość. Wszystkie te myśli mają na celu tylko jedno – odwieść mnie od poznania własnej przyszłości. Tymczasem za rogiem przecież nie czeka przygotowany dla mnie szafot ani gilotyna. A jednak się boję.

Powoli rozrywam papier i obracam kopertę między palcami. Wyciągam złożoną na pół kartkę. Rozkładam ją, po czym przebiegam wzrokiem wystukane na maszynie linijki. Na dole widnieją pieczęć urzędowa oraz nakreślony pośpiesznie podpis.

Coś mi nie pasuje.

Czytam kolejne zdania, lecz zlewają się w spójną całość z opóźnieniem. Nie rozumiem ich.

„Mimo pozytywnych rekomendacji...”

„Odmawia się”.

„Ze względu na negatywne stanowisko związku strażników więziennych, w którym wyrażono stanowczy sprzeciw mianowaniu jego członkiem czynnego kata”.

A więc o to chodzi. Najlepiej, abym, jak przed wiekami, zamieszkał poza murami miasta i zachowywał się niczym szczur omijający ludzi szerokim łukiem. Jeśli się zbliżę, zaczną rzucać we mnie kamieniami. Boją się, że jestem nieczysty i roznoszę zarazę.

Zaciskam usta i powoli nabieram powietrza. W oku kręci mi się ślza.

## 27.

To koniec.

Pismo z moją rezygnacją trafiło już na biurko odpowiednich władz i dzięki temu czuję się wolny. A mimo wszystko, gdzieś głęboko w duszy, wygrywa mi marsza niepokój. Co teraz?

Plan jest prosty i sprowadza się do ucieczki przed samym sobą. Przyznaję to całkiem otwarcie. Tym razem nie zamierzam się oszukiwać.

– Potrzeba mi jeszcze pańskiego podpisu. – Wskazuję palcem miejsce. Znajduję się w niewielkim gabinecie bawarskiego ministra sprawiedliwości. To surowy, kościsty urzędnik, żywcem wyrwany z poprzedniej epoki. – Chcę się wyprowadzić.

– Naprawdę rozwiązuje pan kontrakt? – Minister pyta z niedowierzaniem.

– Pańscy podwładni już wyrazili zgodę. Ze skutkiem natychmiastowym.

– Panie Reichhart...

Minister mocno akcentuje moje nazwisko i nerwowo wskazuje, bym usiadł. Spodziewałem się, że ta wizyta potrwa jedynie kilka sekund, tymczasem po twarzy urzędnika widzę, że będzie robił problemy. Trudno, jestem gotów zrezygnować nawet z odprawy. Chcę wreszcie być wolny.

- Wiem, że prezydent republiki odwołuje zbyt wiele egzekucji... - stwierdza minister. - Wiem to doskonale i przyznam panu, że się całkowicie z tym nie zgadzam.

- W ciągu ostatnich sześciu miesięcy wykonałem tylko jeden wyrok - precyzuję. - Sądzę, że domyśla się pan, jakie jest nastawienie ludzi do kata.

- A czy to ważne?

- Czy to ważne! Gdyby tylko...

Minister przerywa mi, unosząc władczo rękę. Nie jestem nawykły do kłótni. Poza tym on również macha dłonią, jakby przeproszał za swoje nagłe uniesienie.

- Pańska rodzina jest znana i ceniona od pokoleń - oznajmia ponuro. - Wszyscy mamy swoich wrogów, ale też musimy rozumieć nasze miejsce na ziemi. Kieruje nami wola boska...

- Podjąłem już decyzję.

- Nie sądź. - Urzędnik bębni palcami w blat biurka, nagle nachyla się i otwiera jedną z szuflad. Wyjmuje z niej zapewne przygotowany uprzednio dokument. - Proszę spojrzeć, to nasza umowa sprzed pięciu lat.

- Widzę.

- Jedną z klauzul jest ta, że w razie wypowiedzenia umowy z pańskiej strony musi pan zapłacić znaczne odszkodowanie - cedzi minister. - To zapis jeszcze z dawnych czasów, ale chyba rozumie pan...

Urzędnik zawiesza głos, a mnie po karku sphywa dreszcz. Nie doczytałem tego. Jednak z pewnością nie stać mnie, by wypłacać jakiegokolwiek odszkodowania, tym bardziej państwu.

- To kontrakt ze śmiercią - ciągnie z uśmiechem minister. - Jednak muszę dodać, że wyjątkowo cenimy pańskie usługi i cieszy się pan doskonałą opinią. Musieliśmy się zabezpieczyć, gdyż dziś wyjątkowo trudno o kata... Poza tym ogólna sytuacja...

Coś mi przychodzi do głowy. Ostatni ratunek i możliwość ucieczki.

- A jeśli znajdę następcę?

Minister kręci głową. Odruchowo pociera krótkie, sztywne wąsy i pochyla głowę.

- Zaproponuję panu inne rozwiązanie - stwierdza kategorycznie i już wiem, że to nie propozycja, lecz jałmużna, którą będę musiał przyjąć. - Wyjedzie pan, dokąd chce. Oczywiście na terenie republiki lub w pobliżu jej granic, ale gdziekolwiek tylko pan sobie zamarzy. Będzie pan robił, co zechce i jak chce.

- Ludzie będą gadali - wtrącam. - Dowiedzą się, kim jestem.

- Zadbamy o to, by pozostał pan anonimowy. Zadbam o pana jak o najważniejszego agenta wywiadu, ale proszę nie zmuszać mnie do żądania od pana tego odszkodowania.

Los. Znowż czuję, że chwycił mnie za gardło i zacisnął na nim swe długie, kościste szpony.

## 28.

- Sądzę, że będziemy prowadzić dłuższą współpracę. Od razu widzę, że zna się pan na towarze, więc i ludzie poznają się na panu. Wiem to!

Wysoki, sztywny jak tyczka brunet spogląda na mój stragan. Dostałem pozwolenie prowadzenia go na jednym z głównych placów Hagi. Holandia wydała mi się nadzwyczaj atrakcyjna, a ministerstwo sprawiedliwości udzieliło mi swoich kontaktów. W ciągu kilku tygodni zorganizowano łańcuch dostaw, pozwolenia na pracę, miejsce zamieszkania oraz przyznano drobną zaliczkę. Jakby nie można mnie było wspomóc, gdy mieszkiałem na terenie kraju. A może właśnie tego oczekiwano? Wyrzucenia mnie poza granice, abym przybywał tylko na wezwanie?

Może doprowadzono do tego, że zatańczyłem tak, jak mi zagrano, i jednocześnie wydawało mi się, że sam o tym zdecydowałem?

Nieważne. Wymieniam z holenderskim przedsiębiorcą uściski dłoni. Przez chwilę mierzymy się wzrokiem, choć w jego spojrzeniu nie widzę ani uprzedzenia, ani dystansu. Po prostu przygląda mi się z ciekawością biznesmena oceniającego ryzyko inwestycji.

– Robert van Voegel – przedstawia się, delikatnie się uśmiechając.

– Mijnheer.

To moje nowe imię. Właściwe papiery zostały wystawione przez władze Republiki Weimarskiej przy okazji dopełniania pozostałych formalności.

– Mijnheer – powoli powtarza przedsiębiorca. – W takim razie, mój drogi, pozostaniemy w kontakcie. Powodzenia.

– Wzajemnie.

Odpowiadam sztucznym uśmiechem i podchodzę do dwóch klientek, które chcą zaopatrzyć się na niedzielny obiad. Są zadowolone z wyboru moich owoców oraz warzyw i z uznaniem wypowiadają się o ich jakości. Znaczna część pochodzi wprost z Bawarii, lecz zawieram coraz więcej znajomości z miejscowymi dostawcami. Zależy mi – jak zawsze – na jakości.

W ciągu dnia udaje mi się zarobić więcej, niż gospoda przynosiła w tygodnie. Do tego nikt nie spogląda na mnie spode łba ani nie komentuje. Jestem traktowany serdecznie, a nawet przyjaźnie. Nie wiem, czy to kwestia wstrzelenia się w niszę rynkową, czy wynik holenderskiej słabości do przybyszów z Niemiec, ale nie zamierzam tego roztrząsać.

Najważniejsze jest zachowanie trzeźwości. Nie zamierzam pojawić się w żadnym wyszynku, a to, kim jestem, pozostawiam jedynie dla siebie. Mijnheer – do tego jednego słowa sprowadza się wszystko, co mogą wiedzieć o mnie miejscowi. Jeśli chcę spokoju i nowego życia, muszę się dopasować. Tym bardziej że w Holandii od pół wieku stosunek do kary śmierci jest wyjątkowo negatywny. Jej zastosowanie ograniczono do pewnych szczególnych sytuacji prawa wojennego. Świat upada na głowę i sam się kastruje. W pewnym momencie w więzieniach będzie więcej morderców i innych najgorszych zbrodniarzy niż złodziei. Wtedy przyjdzie czas na łagodzenie kar albo przymykanie oczu na przestępstwa. Ale to nie mój problem. Coraz mniej interesują mnie bolączki tego świata. Moim obowiązkiem jest trwać i dobrać do końca, jaki napisze mi los.

Zatrzymuję się przy skrzynce pocztowej przy moim mieszkaniu. Otwieram ją i wyciągam opieczętowany telegram. Nadano go z wydziału administracji przy rządzie Bawarii.

„Wzywa się pana Mijnheera R. do wyjaśnienia spadkowej sprawy skarbowej...”

Wzdycham. To ustalony kod, który oznacza, że w ciągu dwóch dni mam stawić się w Monachium. Ktoś czeka na śmierć. A ja muszę ją dostarczyć.

## 29.

Mam złe przeczucie, ale staram się je tłumić.

Znów nie wiem, kto i za co został skazany. Znam jedynie wymiar kary. Aby nie mieć zbyt wielu rzeczy, jadę pociągiem ubrany we frak oraz cylinder. Pasażerowie przyglądają mi się z zaciekawieniem. Staroświecki strój wydaje się im zapewne nieco teatralny, a w neutralnej przestrzeni wagonów nawet zabawny. Co więcej, mam na sobie niepasujące do fraka buty, gdyż te wyjściowe, zakładane tylko w momencie egzekucji, nie mogą się zniszczyć. Dbam o nie w sposób szczególny. Już chyba wspominałem, że to kwestia szacunku.

Zerkam na zegarek i energicznie zamykam kopertę. Do Monachium dotrę za niespełna godzinę, więc na rozładunek pozostanie mi sporo czasu. Zgodnie z wytycznymi ministerstwa zobligowano mnie do transportu gilotyny, co wydaje mi się szczególnym szaleństwem. Przecież znacznie łatwiej byłoby przechować ją w jakimś monachijskim magazynie. Czasem mam wrażenie, że te skrzynie są krzyżem, który przeznaczenie narzuciło na moje ramiona.

Mam złe przeczucie. Aby o nim nie myśleć, obserwuję przesuwany się za oknem krajobraz. Rozrzucone w lekko pagórkowatym terenie domy, zielone pastwiska, równe kratki pól oraz przebijająca od czasu do czasu turkusowa wstęga rzeki. Kicz. Landszaft. A jednak tak dobrze mi znany i w jakiś sposób urzekający.

Czy trudno byłoby mi się z tym wszystkim rozstać? Z jednej strony mam poczucie, że jeszcze nie napatrzyłem się wystarczająco na cuda świata, a z drugiej... Wszystkie z nich zamknięte są wraz z nami w próżniowej bańce, która unosi się w nicości. W pewnym momencie musi pęknąć i ulotnić się w niebycie. Gdy jestem ja – jest cudowny świat, gdy nie ma mnie, nie ma świata. To fakt, z którym należy się pogodzić i którego nie wolno rozpatrywać jako nic ponurego. Czy kwestionujemy potrzebę snu? Przecież to permanentne osuwanie się w pustkę. Mimo to nie opieramy się mu w nadziei, że ponownie nastanie dzień i wraz z nim obudzi się nasza świadomość. Nasza, czyli jaka? Jako dzieci byliśmy kimś zupełnie innym, tak samo kimś zupełnie innym niż teraz będziemy za kilka lat.

Nie ma czegoś takiego jak „my”, nasze „ja” i osobowość. Dlatego nie możemy umrzeć. Umiera tylko nasza ostatnia myśl.

Mam złe przeczucie i nasuwają mi się ponure wnioski. Co złego się może wydarzyć? Wiem, że nie chodzi o mnie. Sobą nigdy się nie przejmowałem, ale...

Zaczynam się zastanawiać, czy zatowarowałem wszystkie potrzebne rzeczy. Skrzynia z ostrzami, prowadnice, ława, sznury oraz więzy. Do tego dwa wiklinowe kosze, wiadro i ładunek trocin. Wszystko jest. Wobec tego dlaczego tak bardzo się denerwuję?

Ponownie zerkam na zegarek i chowam go do kieszeni. Poprawiam zawieszoną na piersi dewizkę. Za niespełna dwanaście godzin będzie po wszystkim. Lecz co wydarzy się do tego czasu?

Złe przeczucie odbiera mi dech. Zaciska palce na moim żołądku, przygotowując mnie o młodości. To nic. Jestem pewny, że na mojej twarzy nie widać żadnych emocji. A to liczy się najbardziej.

## 30.

– Musi pan wiedzieć jeszcze jedno.

To oświadczenie naczelnika zakładu karnego sprawia, że natychmiast staję się czujny. Choć byłem gotowy do wyjścia, zatrzymuję się w progu jego gabinetu. Przystępuję z nogi na nogę i wbijam w swojego rozmówcę ostre spojrzenie.

Ten urzędnik przypominający wciśniętą w mundur oponę czerpie przyjemność z droczenia się. Więzienie w Stadelheim cieszy się złą sławą przede wszystkim ze względu na niego. To on wprowadził bezwzględny rygor i ograniczył swobody skazanych. Choć ogólnie mógłbym przyklasnąć jego metodom, teraz wyraźnie widzę, że drzemie w nim dusza sadysty. Pozbawionego szacunku dla człowieka oraz idei. Przeciąga się i zakłada dłonie za łusą czaszkę. Wydyma tłuście, byszczące się od śliny wargi.

– Co takiego? – dopytuję, bo chyba tylko na to czeka. – Co miałbym wiedzieć?

– Mam nadzieję, że nie będzie miał pan oporów.

Kolejne przynęty rzucane mojej ciekawości. Powstrzymuję się od jakiegokolwiek reakcji. Stoję nieruchomo, z rękoma założonymi za plecami. Już nawet nie patrzę na naczelnika. Spoglądam gdzieś ponad jego ramieniem, jakby całą moją uwagę przykuł jakiś detal na ścianie.

Naczelnik odchyła się w fotelu i ciężko wzdycha.

- To będzie kobieta - oznajmia teatralnym tonem cierpiętника. - Zabijał pan kiedyś kobietę? Zdade się, że nie.

- Nie zabijam, tylko wykonuję wyroki - stwierdzam oschle.

- Czy to nie to samo?

Jeśli ten człowieczek myśli, że wyprowadzi mnie z równowagi, grubo się myli. Ponownie przenoszę na niego spojrzenie i delikatnie wzruszam ramionami.

- Jeśli tak pan uważa - odpowiadam. - Ja dostrzegam pewną różnicę.

- Ale już między mężczyzną a kobietą nie?

- To tylko skazańcy. Płeć nie ma znaczenia.

A jednak ma. Czy to właśnie tego dotyczyło moje złe przeczucie? Z technicznego punktu widzenia są pewne różnice między mężczyzną i kobietą. Z etycznego - nie dostrzegam żadnych powodów, aby czynić jakiegokolwiek rozróżnienie przy wymierzaniu kary śmierci. Jej sposób również wydaje mi się bez znaczenia.

Mimo to jakaś wrodzona pruderia lub wrażliwość sprawiają, że czuję pewien opór. Czym innym jest bezwzględne potraktowanie mężczyzny, skrępowanie go i powalenie na prowadnicę, a czym innym takie potraktowanie kobiety. To wrodzony kod kulturowy.

- Nazywa się Erna Hasselbeck.

Naczelnik zdaje się zirytowany brakiem jakiegokolwiek reakcji. Choć bez mojego wyraźnego życzenia nie powinien zdradzić żadnych personaliów ofiary, robi to z niezdrawą satysfakcją.

Erna. To imię od razu zapada mi głęboko w pamięć.

- Zamordowała swojego męża - dodaje, splatając ręce na piersi. - Choć mówi się, że zrobiła to w obronie własnej...

Mam tego dość. Z uszanowaniem kiwam głową i daję do zrozumienia, że chcę wyjść.

- Przepraszam, panie naczelniku - stwierdzam tak obojętnym tonem, jak tylko jestem w stanie. Następnie kładę dłoń na kłamce. - Czeka mnie wiele pracy. Zobaczymy się za kilka godzin.

Gdy tylko znajduję się na korytarzu, złe przeczucie nasila się jeszcze bardziej. A więc to nie chodziło o kobietę? Powolnym, dostojnym krokiem kieruję się ku celi śmierci.

## 31.

- Musicie ogolić jej kark - nakazuję. - Inaczej ostrze może zostać spowolnione albo zupełnie zaplątać się we włosy.

- Nie zetnie głowy? - pyta stojący obok mnie prokurator.

- Nie chciałbym na niej tego sprawdzać. Zgodnie ze sztuką włosy nad karkiem powinny zostać ścięte.

Opuszczam wizjer i daję znać, by strażnik otworzył drzwi. Po chwili szczęka zasuwa, po czym do małej celi wchodzi dwóch moich pomocników. Jeden z nich trzyma w dłoni długą brzytwę. Obserwuję wszystko przez wąską szparę.

Erna Hasselbeck siedzi na prycy w kącie celi. Ma kręcone, bujne włosy oraz trójkątną twarz. Kiedyś musiała być bardzo ładna. Teraz jest zmęczonym, upodlonym wrakiem człowieka. A mimo to zamierza walczyć.



Na widok moich asystentów zrywa się z miejsca i rzuca ku nim z pazurami. W jej oczach błyska szaleństwo.

– Nie, nie! Zostawcie mnie, rozumiecie? Precz, won!

– Pani Hasselbeck...

– Won!

Atakuje z furją, a jej dzikie krzyki niosą się po całym więzieniu. Odruchowo przymykam drzwi, po czym ponownie zerkam do środka przez wizjer.

– Mordercy! Kaci!

Moi asystenci nie dają sobie z nią rady. Choć jest drobna i niepozorna, wyrывa się im. Pluje i macha dłońmi, jakby trzymała w nich noże.

– Dajcie mi żyć! Nie chcę niczego więcej! Pozwólcie mi żyć.

Wybucha płaczem, nie przestając się ani na chwilę bronić. Nigdy nie widziałem, by tak krucha osoba miała tyle siły. Uderza ważącego osiemdziesiąt kilogramów mężczyznę tak, że ten niemal upada.

– Mordercy!

Gdzieś z głębi więzienia odpowiada jej pojedynczy głos. Potem dołączają do niego kolejne, pomieszane z gwiazdami.

– Mordercy, mordercy! – zdają się krzyczeć wszystkie ściany.

Zerkam na prokuratora, lecz ten bezradnie rozkłada ręce. Strażnik również jest kompletnie zdezorientowany, poza tym, zgodnie z utrwalonym zwyczajem, nie ma prawa wejść do celi śmierci.

– Oprawcy! Kaci!

Krzyki i gwizdy wzmagają się z każdą sekundą. Hasselbeck nakręca je swoimi wrzaskami. Nie mogę tego wytrzymać. Pęka mi głowa. Śmierć musi przychodzić szybko i w ciszy.

Zerkam na zegarek. Egzekucja zaczyna się opóźniać, to niedopuszczalne.

Nie pytając nikogo o zgodę, wpadam do niewielkiej, cuchnącej moczem celi. Chwytam od jednego z asystentów skórzany pas i nie bacząc na wściekłość kobiety, ruszam w jej stronę. Uderza mnie w twarz tak mocno, że w ustach czuję krew. Mimo to nie zatrzymuję się nawet na chwilę.

– To dla pani dobra – mamrocze, po czym przełykam słodką ślinę. – Proszę...

Z całej siły ściskam jej dłoń w nadgarstku i opinam pas. Kolejny cios spada na mój podbródek, ale nie zwracam na to uwagi. Mój ból nie ma teraz żadnego znaczenia.

Przy pomocy asystentów udaje mi się wreszcie skrępować kobietę. Jej ręce są tak chude, że aby się nie wyslizgnęła, musimy owijać je pasami podwójnie. Związujemy ją niemal jak kłębek włóczki.

– Przepraszam – szepczę. – To mój obowiązek.

Cofam się i wierzchem dłoni ocieram strużkę krwi spływającą po policzku. Skóra piecze mnie, gdyż krew miesza się z potem. Skazana jest nienaturalnie wygięta, przypominając dzikie zwierzę prowadzone na cyrkowym pokazie. Spogląda mi prosto w oczy i szeroko wydyma nozdrza. Nabiera powietrza, po czym splotu mi w twarz.

– Mordercy! – krzyczy. – Jestem niewinna!

Zgadza się z nią każdy zakamarek więzienia. Piski i krzyki są tak głośne, że sam czuję się, jakby moją głowę zaciśnięto w imadle.

– Niewinna!

A może to nie wymyślone imadło, lecz prawdziwe wyrzuty sumienia?

– Zakneblujcie ją – nakazuję. – Zakneblujcie ją, natychmiast.

Kobieta rzuca się i miota. Mam wrażenie, że krępujące ją sznury za chwilę pękną. Brakuje jej śliny, lecz nadal usiłuje płuć. Obrzuca nas nienawistnymi spojrzeniami. Właśnie tak musiały wyglądać czarownice prowadzone na stopy kilka wieków temu. Włosy zasłaniają jej twarz, gdy jeden z moich asystentów przycina je nad karkiem. Więźniarka nagle się wyprostowuje i brzytwa zostawia na jej szyi niewielkie nacięcia. Wypływa z niego krew.

– Odejdź – nakazuję pomocnikom. – Miałeś być ostrożny.

– Przepraszam, ja...

– Odejdź.

Osobiście chwytam kobietę pod ramię i wyprowadzam ją z celi. Musimy ją ciągnąć, a i tak próbuje nas kopać. Dopiero teraz odzywa się dźwięk gongu. Zaskoczony naczelnik nie był przygotowany. Pośpiesznie, jakby chcąc zagłuszyć szaleńczy harmider więzienia, raz za razem ciągnie za sznurek.

W naszą stronę rusza duchowny, lecz prokurator zatrzymuje go w pół drogi. Jestem gotów stanąć gdziekolwiek i pozwolić Ernie Hasselbeck się wypowiedzieć, lecz władze najwyraźniej uznały, że kobieta nie zasługuje na to prawo. Sędzia daje znak, bym szedł dalej. Przez moment się waham, w końcu łaska ostatniego namaszczenia przysługuje każdemu, lecz moje wątpliwości rozwiewają kolejne przekleństwa skandowane w oddali. Jeszcze chwila, a wybuchnie bunt. Kątem oka widzę, że jeden ze strażników nerwowo gładzi broń. Nigdy nie znalazłem się pośrodku tak wielkiego chaosu.

Skazana, pomimo knebla, piszczy i krzyczy. Jej głos zdaje się w jakiś cudowny sposób rezonować i nieść echem. Wydaje mi się, że co rusz powtarza, że jest niewinna. Mój asystent zwiesza głowę. Ciągnie ją pochylony niemal jak wół prowadzący nadmiernie obciążony wóz.

– Szybciej.

Wyczytuję niemą komendę z ruchu ust naczelnika. Gdzieś z głębi korytarzy ponad dźwięk gongu wybija się brzęk tłuczonego szkła. To kompletne szaleństwo.

Szybciej. Szybciej!

To już nie polecenia, lecz błagalne prośby strażników, sędziego i prokuratora. Nawet duchowny, umywając ręce, odwraca głowę. Nie patrząc na rzucającą się kobietę, pośpiesznie kreśli w powietrzu znak krzyża.

Popychamy Hasselbeck do drewnianego stelaża i wtedy błyskawicznie dociskam drewnianą obręcz. Mój pomocnik, nie tracąc czasu na sprawdzanie, czy zamek trzyma, zakłada kobiecie opaskę i obraca stelaż do poziomu. Kopnięciem popycha go ku gilotynie.

Działam jak w transie. Obraz mam zamglony, gdyż z czoła do oczu sphywa mi pot. Jest mi duszno i momentami uświadamiam sobie, że wstrzymuję powietrze.

– Kacie, czyń swoją...

Słowa sędziego wybrzmiewają gdzieś w oddali, jakby za grubą ścianą. Stopy kobiety bębnią o bok maszyny. Usiłuje unieść głowę, ale opaska zasłaniająca oczy oślepia ją. Traci orientację. Uderza podbródkiem o deskę. Wtedy zwalniam kołowrót i ostrze pędzi w dół.

– Niewinna.

Jestem pewny, że mimo knebla kobieta wypowiada te słowa, gdy jej głowa jest już odcięta.

Wysiadam z pociągu. Mam na sobie podróżny, skromny strój, a w dłoni trzymam niewielką walizkę. Wszystkie inne rzeczy nadałem składem towarowym. Do Hagi mają dotrzeć jutro po południu.

Jestem zmęczony i chcę odpocząć. Mimo że od egzekucji Ernie Hasselbeck minęły trzy dni, nie udało mi się zmruczyć oka. Pamiętam każdą chwilę, każdy ułamek sekundy z tego, co się wydarzyło.

Nagle coś zwraca moją uwagę. W pierwszej chwili nie wiem, w czym rzecz, rozglądam się i przyrykam oczy. O co chodzi? Co się dzieje? Zaciskam mocniej dłoń na rączce walizki, a serce uderza mi ze zdwojoną siłą.

Boże.

Chłopiec z gazetami wykrzykuje kolejne emocjonujące wieści. Wśród nich... Podchodzę do niego tak gwałtownie, że uchyła się, jakbym chciał go uderzyć. Wyrywam mu gazetę i zerkam na nagłówki.

„Johann Reichhart. Kat, który ścinał dwa razy”.

Pobieżnie przebiegam wzrokiem tekst i narasta we mnie wściekłość. Autor utrzymuje, że Hasselbeck została ścięta dopiero przy drugim podejściu. Przy pierwszym miałem się pomylić, a ostrze jedynie musnąć jej kark. Zostałem przyrównany do jakiegoś nieudolnego kata z czasów rewolucji francuskiej.

– Co za bzdury! – syczę wściekle. – Absurd!

Rzucam szmatławiec na ziemię i go depczę. Chłopiec roznoszący gazety nawet nie protestuje, ucieka byle dalej ode mnie, jak przed szaleńcem. Po chwili jednak dostrzegam wskazujące mnie palce. Kilka osób z niedowierzaniem kręci głowami, kilka innych coś do siebie szepcze. Ktoś nienawistnie gwizdże.

To obłąd. Szybkim krokiem ruszam do wyjścia z peronu. Unoszę głowę wysoko, bo tylko w ten sposób mogę pokazać, że to wszystko oszczerstwa. Nie mam sobie nic do zarzucenia.

– Dręczyciel!

Kobieta w kapeluszu z ciemną woalką zasłaniającą twarz zagradza mi drogę. Grozi mi palcem w czarnej rękawiczce. Jej towarzyszka spluwa mi pod nogi. Nawet prowadzony przez nią malutki pies wściekle mnie obszczekuje. Dziwne, że zostaje w porę ściągnięty na smyczy.

Omijam kobiety i kieruję się do drzwi. Popycham je, po czym wypadam na zewnątrz. Głęboko nabieram ciepłego letniego powietrza. Mam wrażenie, że u podnóża schodów stoi cały tłum pragnący mnie zlinczować. Mimo to ruszam przed siebie. Nie mogę się wycofać. Nie mogę się poddać i dać wygrać kłamstwu. Nie popełniłem żadnego błędu.

– Proszę mnie przepuścić!

Dwóch żandarmów toruje mi przejście. Ich miny nie zdradzają żadnych emocji, ale w spojrzeń widzę nienawiść. Oni również mają mnie za mordercę. Muszą jednak wykonywać swoje obowiązki, a jednym z nich jest dopilnowanie, by wszyscy pasażerowie opuścili teren dworca. Gdy w końcu mi się to udaje, odwracam się i zerkam za siebie. O dziwo nikt mnie nie ściga. Nikt nie chce na to tracić czasu. Jestem mniej ważny od odjazdu pociągu albo dalekiej krewnej, która ma zjawić się niebawem. A mimo to znów jestem przeklęty.

Zawsze byłem.

*W lipcu 1932 r. kilka holenderskich gazet ujawniło tożsamość Johanna Reichharta oraz opublikowało jego zdjęcia. Co więcej, napisano o rzekomo nieudolnej egzekucji kobiety. Po krótkim czasie względnego spokoju oraz stabilizacji życiowej Reichhart ponownie stał się odludkiem, a jego stragan warzywny stracił jakichkolwiek klientów. Na początku 1933 r. zdecydował się powrócić do Monachium i ostatecznie porzucić pracę kata. Jednak wszystko po raz kolejny miało się potoczyć nie tak, jak zaplanował.*

## 34.

Moja ostateczna rezygnacja ze stanowiska państwowego kata została złożona. Nie przewidziałem żadnych możliwości odwrotu. Żadnych form ułagodeń ani odstępstw. Straciłem zbyt wiele lat, starając się wykonywać swoją pracę godnie i porządnie. Nie popełniłem żadnego błędu, a w każdym skazanym widziałem po prostu człowieka. Mogę zapłacić każde odszkodowanie.

W międzyczasie odbyły się wybory i władzę przejęli narodowi socjaliści Adolfa Hitlera. Nie głosowałem na nich. Nigdy nie popierałem żadnych skrajności, a wrodzona czy też odziedziczona po matce pruderia nakazywała mi spoglądanie na świat bez dozy wojowniczości. Doświadczenia Wielkiej Wojny nie pobudziły we mnie pragnienia zemsty. Sprawy potoczyły się tak, jak było im to pisane. Upadły cesarstwo oraz królestwo, lecz teraz republika również chwieje się w posadach. Wieczne zmiany prowadzące aż do śmierci – tym właśnie są życie ludzi oraz historia społeczeństw.

Co mi po narodowych socjalistach? Wydawało mi się, że nic nie może się zmienić. Zamierzałem zająć się gospodarstwem lub otworzyć gospodę tak daleko, gdzie nikt mnie nie znał. Chciałem być anonimowy.

Tymczasem odpowiedź z ministerstwa sprawiedliwości nadeszła po dwóch tygodniach i zawierała się w grubym pliku papierów. Najpierw moją uwagę przykuła nowa pieczęć ze znakami państwowymi, potem zamaszty podpis złożony przez samego dopiero co obranego ministra. Najwyraźniej wybory miały większy wpływ na Bawarię, niż mogłem przypuszczać.

Pociąg regularnie stukocze. Przez ostatnie lata polubiłem podróżowanie, choć zawsze wiąże się z wędrówką w nieznanne. Na każdym dworcu spodziewam się tłumu pragnącego mnie zlinczować lub wydrwić. Nadal tego nie rozumiem, lecz ostatnio nauczyłem się całkowicie na to nie zważać.

W dłoni trzymam dwa listy. Pierwszym jest wspomniana wiadomość sprzed dwóch tygodni, która stanowiła odpowiedź na moją rezygnację.

„Proponuję zawarcie nowego porozumienia, w którym wskazane zostanie co następuje:

- stałe, roczne wynagrodzenie, którego dwunasta część będzie wypłacana miesięcznie i pozwoli Panu na dostatnie utrzymanie się;
- podwyższenie wynagrodzenia za każdą wykonaną egzekucję;
- inne warunki możliwe do ustalenia w drodze porozumienia”.

Znam ten fragment na pamięć. Czytałem go setki razy, zastanawiając się, jak powinienem odpowiedzieć. Miałem ochotę wychylić kilka szklanek solidnego alkoholu, lecz się powstrzymałem. Chyba właśnie w ten sposób podjąłem decyzję. Postanowiłem zachować całkowitą trzeźwość. Odświeżyłem frak, przyczerśniłem cylinder oraz wypolerowałem buty.

Kilkukrotnie zasiadałem do biurka, by spisać odpowiedź. Jakaś część mnie nadal się wahała. Mimo że podświadomie czułem, że wszystko może się zmienić, przed oczami stawały mi kolejne, gardzące mną osoby. Skazani, przechodnie na ulicy, nawet moja żona i dzieci.

Gospodarstwo zapewniłoby mi przetrwanie. Nigdy dotąd tak dobrze nie rozumiałem ojca, który nie zgodził się kandydować na stanowisko kata. Wuj Franz miał w sobie dość siły i hartu ducha, by nie baczyć na cały świat. Poza tym, jako najstarszy z rodzeństwa, pamiętał nieco inne czasy. W końcu jeszcze pięćdziesiąt lat temu kara śmierci nie wywoływała jakiegokolwiek dyskusji i wydawała się tak naturalna jak dzisiaj areszt. Do tego, skoro wykrywano jedynie ułamek sprawców przestępstw, należało ją wykonywać tak, by odstraszała potencjalnych zbrodniarzy. Publicznie, brutalnie i spektakularnie. To przynosiło katu chlubę, a nie wstyd.

Moje myśli przerywa krzyk konduktora oznajmiającego, że zbliżamy się do dworca głównego w Monachium. Zerkam na drugi, krótszy list, który dostałem przed dwoma dniami. Wezwano mnie w nim, w trybie pilnym, do ministerstwa. Ponoć zaszły pewne „istotne okoliczności”. To lakoniczne zdanie przekonało mnie, bym podjął decyzję, nawet jeśli nie o zachowaniu stanowiska, to przynajmniej o podróży.

Wieczne zmiany prowadzące do śmierci... Już o tym wspominałem, prawda?

Chwytam kapelusz i nakładam go na głowę. Kieruję się do wyjścia. Jestem piekielnie ciekaw, co mnie czeka.

## 35.

– Panie Reichhart, zapraszam, zapraszam...

Nowy minister sprawiedliwości jest wysoki i smukły. Ma krótki wąsik, małe oczy skryte za okrągłymi szklami okularów, a jego łysa czaszka wydaje się wręcz ogromna. Jest w nim coś nieproporcjonalnego, jowialnego, lecz zarazem swojskiego. Podaje mi dłoń, po czym, poklepując po ramieniu, zaprasza, bym usiadł w wygodnym fotelu.

– Cognac? Cygaro?

Już gdzieś to słyszałem.

– Nie, dziękuję – odmawiam grzecznie, ale stanowczo. – Nie piję.

– W porządku. W takim razie pan pozwoli, że...

Minister zdaje się niezrażony. Sam sobie nalewa sporą szklaneczkę złocistego trunku, po czym familiarnie się do mnie uśmiecha. Brakuje tylko, żeby puścił mi oko. W gazetach narodowi socjaliści prezentują się całkowicie inaczej.

– Mam doskonałe wieści – obwieszcza zadowolony. – Wręcz wyborne. Z pewnością będzie pan zadowolony i przekona się, że powzięta decyzja o pozostaniu na stanowisku kata...

– Nie podjąłem jej jeszcze – przerywam mu stanowczo.

– Drogi panie Reichhart, „jeszcze” to kluczowe słowo. Jeszcze! – Minister klaszcze i siada w fotelu po drugiej stronie dębowego biurka. Pamiętam, jak siadał za nim jego poprzednik. – Nie jest pan ciekaw, co to za wiadomość?

– Proszę mówić.

– Właśnie takiej osoby się spodziewałem. Profesjonalnej, poważnej i dostojnej.

Mam dość tych pochlebstw i uśmieszków. Poprawiam się w fotelu, a minister głośno przełyka kolejną porcję koniaku.

– Otrzymałem wiadomość, że nadchodzą zmiany w wymiarze sprawiedliwości – oznajmia poufale. Zniża ton, wbija we mnie uważne spojrzenie i kładzie dłonie na blacie. Przypomina postać wprost z teatru. – Zostaną wprowadzone okręgi egzekucyjne oraz konkretne placówki straceń. Wie pan, co to oznacza?

– Chciałbym to usłyszeć wprost. Nie lubię niedopowiedzeń.

– Kanclerz wskazał karę śmierci jako zalecany sposób walki państwa ze zbrodniarzami. Co więcej, nalega, by wykonywano ją głównie przy użyciu gilotyny. W państwie nie ma drugiego takiego specjalisty jak pan.

– Więc?

– Krótko mówiąc – minister cicho odkasłuje – będzie więcej egzekucji niż dotychczas. Znacznie więcej. Co oczywiście przełoży się na pańskie zarobki.

Zakładam nogę na nogę i kładę dłonie na udach. Wbijam wzrok w ścianę za tym jowialnym człowieczkiem. Przez głowę przechodzi mi myśl, że poza zarobkami jest coś jeszcze.

Więcej egzekucji to więcej szans, by dążyć do ideału. To więcej możliwości, by pobić rekord wuja. Z trudem powstrzymuję uśmiech. Do samego końca muszę pozostać profesjonalny. Łatwo mnie kupić.

## 36.

Stoję przy grubych drzwiach i przez judasza spoglądam na młodego, może nawet nie dwudziestoletniego więźnia. Chodzi po celi w tę i w tę, cicho coś mamrocząc. Zawsze kłopotczą mnie wypowiedane szeptem słowa skazańców. Nie chcę ich podsłuchiwać. Wiem, że większość z nich to najbardziej prywatne rozmowy z Bogiem. A jednak ten chłopiec prowadzi swój monolog już od wielu godzin. Muszę się mu przyjrzeć.

Ma kruchy, drobny kark oraz krótkie włosy. Już wiem, że egzekucja pójdzie sprawnie, o ile nie będzie stawiał oporu. Nie sprawia takiego wrażenia. Jest zrezygnowany i nie ma w nim woli walki o życie. Zastanawiam się, co zrobił, że trafił do celi śmierci. Sprawia wrażenie niedojrzałego kochanka, który w afekcie zamordował swoją ukochaną. Ci mordercy zawsze wydają mi się najtragiczniejsi, gdyż po czasie pojmują, że zabili także cząstkę siebie.

A może to jedna z ofiar nowego kodeksu karnego? Przestępca polityczny, notoryczny zbrodniarz przeciwko narodowemu socjalizmowi? Wiele się o nich mówi, jeszcze więcej pisze w gazetach, ale ja nie spotkałem żadnego. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

Nagle młodzieniec się zatrzymuje i chwytą rękoma za głowę, jakby chciał ją zgnieść niczym łupinę orzecha. Kręci nią, miotając się jak oszalały. Cicho piszczy. Momentalnie, jak za przełączeniem magicznego pstryczka, uspokaja się i ponuro zwiesza głowę. Znów musiała do niego dotrzeć nieuchronność przyszłości. Mam nadzieję, że podobny zryw buntu nie rozbudzi się w nim, gdy będzie prowadzony na gilotynę.

W tym miejscu jestem po raz pierwszy. Wokół pachnie farbą malarską, klejem oraz drewnem. Całe skrzydło więzienia zostało urządzone na nowo i niemal od podstaw. To nowa drezdeńska placówka straceń. Przed tygodniem otrzymałem umocowanie do przeprowadzania egzekucji na terenie Saksonii, w jej stolicy oraz w Weimarze. Kto by się spodziewał, że w Niemczech może zabraknąć katów?

Zerkam na zegarek i przez chwilę obserwuję wskazówki. Gdy za trzy godziny uruchomię stoper, serce tego młodzieńca będzie biło w rytmie uderzeń dzwonu. Czy uda mi się pobić rekord? Miejscowa gilotyna nie jest tak łatwa w obsłudze jak skonstruowany przeze mnie przenośny model. To mnie naprawdę martwi. Obawiam się, że nie ma nawet sensu aspirowanie do pobicia moich pierwszych rezultatów.

Trzydzieści sekund.

Po raz ostatni spoglądam na kark młodzieńca i zasłaniam wizjer. Nie potrzebuję obserwować go ani chwili dłużej. Moi asystenci lada moment powinni być gotowi.

Wychodzę z niewielkiego korytarzyka i przechodzę do ogromnej sali, pośrodku której znajduje się jedynie gilotyna wyeksponowana na drewnianym podwyższeniu. Egzekucje ponownie mają mieć walor estetyczny. W razie potrzeby do tego miejsca można z powodzeniem zaprosić sto albo i więcej osób. Wszystkie one miałyby doskonały widok na skazanego oraz spadające ostrze. A przede wszystkim na głowę toczącą się do pełnego trocin kosza. Przecież to o nią chodzi.

I o czas.

Tak, właściwie to najbardziej chodzi o czas.

## 37.

3720 marek.

Na tyle po noworocznej podwyżce Wolne Państwo Bawaria wyceniło moje roczne usługi. To całkiem sporo, patrząc na moje dotychczasowe życie. Stać mnie na niezłe jedzenie, utrzymanie domu oraz drobne oszczędności. Znaczną część mogę przekazywać żonie oraz dzieciom. Choć mam wrażenie, że każde z nich mnie nienawidzi. Nawet najmłodszy syn, choć jeszcze niewiele rozumie z tego, kim jestem, na mój widok odwraca wzrok. Nie chcę być ich przekleństwem.

Właściwie mocna więź łączy mnie tylko z Hansem. Dostrzegam, jak bardzo jesteśmy podobni, chłopak ma identyczne jak ja ciemnosłomkowe włosy, mocne kości policzkowe oraz przenikliwe spojrzenie niedużych oczu. Zdaje się, że to dzięki niemu zauważyłem minę, którą sam nieustannie robię – zaciskam usta, marszczę czoło i mrużę powieki. Robimy to w chwilach zastanowienia, koncentracji albo rozdrażnienia. Ukrywamy w ten sposób emocje. Hans, podobnie jak ja, jest małomówny i oszczędny w ruchach, a z jego twarzy trudno wyczytać jakiegokolwiek odczucia. Mimo to żywe błękitne oczy zdradzają, że nie jest jedynie wypraną z uczuć, bezmyślną kukłą. Analizuje i przetwarza wszystko, co zwróci jego uwagę.

Ściskam jego dłoń i zerkam w stronę żony. Po krótkim spotkaniu, którego główny element stanowiło przekazanie pieniędzy, szykują się do wyjścia. Zakładam kapelusz, po czym ruszam do drzwi. Zatrzymuję się w progu i jeszcze raz się odwracam. Mimo to nikt nie zamierza mnie zatrzymywać. Hans żegna się delikatnym skinieniem głowy, a moja żona stoi z rękoma splecionymi na piersi.

– Do widzenia – rzucam cicho, a następnie wychodzę.

W twarz uderza mnie powiew lodowatego, ostrego wiatru. Drobiniki zmrożonego śniegu bodą mnie niczym miliony igiełek. Od kilku dni panuje tęgi mróz. Słońce wręcz razi, odbijając się od białego arktycznego krajobrazu.

Nasuвам kapelusz na uszy i ruszam przed siebie, raz po raz obtupując buty. Ulicą nie porusza się żaden pojazd, a przechodnie ślizgają się na chodnikach. Mijając ich, odruchowo szacuję ich wagę oraz kruchość kości. Zerkam w stronę zasłoniętych kołnierzami, szalami oraz rondami kapeluszy karków. Do głowy mimowolnie nasuwają mi się obrazy ich ściętych głów.

Spójrzcie na przykład na tego tęgiego mężczyznę. Idzie, ciężko posapując, i stawia kroki niczym kaczka. Nie maszeruje, lecz dosłownie brnie w śniegu jak pokraczny taran. Musi ważyć około stu trzydziestu kilogramów. Musiałbym użyć najgrubszego ze sznurów, a i tak sedno stanowiłoby właściwe wiązanie. Istniałoby również ryzyko dla samego szafotu oraz zapadni. Były przypadki, że pod wyjątkowo ciężkimi skazańcami po prostu łamały się podesty.

Wuj Franz opowiadał mi o mężczyźnie, którego musiał wieszać na dwóch linach, wzmacniając szafot metalowymi prętami. Aby nie urwało mu głowy, pętla została pogrubiona specjalnymi pakułami. Mimo wszelkich starań agonია tłuściocha trwała kilkanaście minut, co stanowiło najgorszy rezultat wuja. Zdecydowanie wolałbym umieścić tych ludzi na gilotynie, pod warunkiem że ich karki zmieściłyby się w obejmę. Siedemdziesięciokilogramowe ostrze bez problemu odcięłoby ich głowy. Ale musiałbym pamiętać o większym koszu z trocinami. Ogromne niczym dynie bby mogłyby się nie zmieścić w tych standardowych.

A ta kobieta? Jej kręcone, ciemne loki przypominają mi panią Hasselbeck. Zagryzam zęby i odwracam wzrok. Staram się iść wydeptaną ścieżką, a i tak śnieg nasypuje mi się do butów.

Wkładam dłonie do kieszeni i lekko się pochylam. Lodowaty wiatr siepie, jakby Bóg chciał wychłostać każdego, kto powążył się wyjść z domu.

Bóg. Myśl o nim wydaje mi się żałosna. Czy jego imieniem nazwałem los? Na to pytanie nie znajduję odpowiedzi. Jednak już z daleka dostrzegam przed wejściem do kamienicy policjanta. Mundurowy przestępuje z nogi na nogę i chowa się przed wiatrem w niewielkim występie bramy. W rękawiczce trzyma plik kartek. Zapewne to telegramy lub pilne wezwania. W ostatnich tygodniach listonosze stracili zaufanie władzy. Aby wezwać śmierć, posyła się wysłanników w prawdziwych uniformach. Z daleka wymieniamy porozumiewawcze spojrzenia. Tak, wiem, co jest na rzeczy.

## 38.

Powoli wciągam powietrze. Mdły zapach alkoholu natychmiast zwrócił moją uwagę.

Nie, wcale mnie nie pociąga. Odraża mnie i wprawia we wściekłość. Nie akceptuję go. W obliczu śmierci nikt nie ma prawa być choćby lekko podпиты. A już na pewno nikt, kto wraz ze mną ma wykonywać wyrok.

Zawracam na pięcie i podchodzę do asystentów. Egzekucja jest już przygotowana, a skazanie lada moment ma zostać wyprowadzony. To nic. Są sprawy ważniejsze nawet od terminów. Jedną z nich jest szacunek do tego, co się robi, i tego, kogo się pozbawia życia.

– Chuchnij – szepczę do asystenta. Ten pochyla głowę i przełyka ślinę. Od razu wiem, że jest pijany. – Patrz na mnie, gdy do ciebie mówię.

Zmieszany podnosi wzrok i spoglądam w jego przekrwione oczy. Cofa się o krok.

– Ja...

– Co takiego?

– Wczoraj zmarła moja siostra.

Nie bacząc na obecność sędziego, chwytam asystenta za ramię i prowadzę ku drzwiom. Potyka się, cicho coś bełkocząc.

– Nie interesuje mnie, kto zmarł – syczę. – Śmierć jest tutaj. I musi przyjść pełna szacunku, a przede wszystkim całkowicie trzeźwa. Nawet się nie ogoliłeś!

Mój asystent przeciąga dłonią po policzku pokrytym krótkim rdzawym zarostem. Stara się mnie powstrzymać. Zatrzymuje się przed drzwiami i chwytam mnie za rękaw.

– Panie Reichhart... Przepraszam, to pierwszy i ostatni raz... Ja...

– Tak, to ostatni raz. Nie zobaczymy się nigdy więcej.

Jedną dłonią otwieram drzwi, a drugą wypycham asystenta z pomieszczenia. Robię to tak mocno albo jest tak podпиты, że niemal upada.

– Zgłoś się do biura po ostatnią wypłatę i złóż rezygnację – nakazuję. – Nikomu nie wspomnę o tym, co się stało.

Zamykam z trzaskiem drzwi i odwracam się ku zebrany. Sędzia spogląda na mnie uważnie, jednocześnie zagadując coś do strażnika. Drugi asystent ze zwieszoną głową majstruje przy gilotynie. Zdaje się, że poprawia mocowanie stelaża oraz sprawdza prowadnice. Aby sprawnie przeprowadzić egzekucję, potrzebuję dwóch współników. Jeśli będzie ze mną tylko ten jeden, nie ma mowy o biciu rekordu ani o jej bezproblemowym przeprowadzeniu. Nie wiem, czy to przejaw szaleństwa, czy szacunku dla skazanego. Chciałbym, aby proporcja rozkładała się co najmniej po równo.



Zerkam na zegarek i zirytowany, ponownie chowam go do kieszeni. Nie ma czasu na jakiegokolwiek eksperymenty. Podchodzę do sędziego i kręcę głową.

– Czy wszystko w porządku? – pyta stary poczciwina z rozczochranymi włosami. Już kilkukrotnie mieliśmy ze sobą do czynienia. – O co chodzi?

– Potrzebuję nowego asystenta – mówię wprost. – Muszę go sprowadzić.

– Ale...

– Egzekucja nie może się dziś odbyć. Proszę w moim imieniu przeprosić skazanego. Wszystko będzie gotowe na jutro, gdy znajdę właściwego człowieka.

– Panie Reichhart!

Ostry ton sędziego w ogóle mnie nie rusza. Kłaniam się mu i powolnym krokiem ruszam do drzwi, którymi przed chwilą wyrzuciłem swojego asystenta. Gdy wychodzę na korytarz, z ulgą stwierdzam, że nie ma go w pobliżu. Mimo to w powietrzu wyczuwam ohydny woń alkoholu. Właśnie przedłużyłem czyjeś życie o jeden dzień. Dla niektórych mógłby to być powód do dumy, dla mnie to jedynie kolejne rozczarowanie ludźmi.

## 39.

– Do pana Rolanda Freislera.

Mundurowy spogląda na mnie spode łba, zerkając do grubego zeszytu, po czym przerzuca kilka kartek. Dopiero wtedy pyta mnie o nazwisko i niemal natychmiast je wyszukuje. Podnosi się zza drewnianego pulpitu, jednocześnie wyłączając lampkę krytą metalowym kloszem. Wierzchem dłoni ociera nos.

– Zaprowadzę pana – oznajmia, rzucając krótkie spojrzenie ku dwuskrzydłowym wielkim drzwiom.

Znajdujemy się w berlińskiej siedzibie Ministerstwa Sprawiedliwości Rzeszy. Zostałem tu wezwany przez sekretarza stanu Rolanda Freislera, choć w piśmie nie wskazano powodu wizyty. Być może naczelnik więzienia złożył na mnie skargę w związku z przerwaniem tamtej egzekucji. Doszły mnie słuchy o nowych katach, którzy są szkoleni w rozmaitych ośrodkach i być może mogliby mnie zastąpić. Wydaje mi się, że to wszystko są plotki. Tym bardziej że nikt nie jest w stanie tego zrobić tak dobrze i sprawnie jak wuj Franz. Któż miałby szkolić tych katów? Lekarze? Anatomowie? Nie sądzę, by zdecydowano się zatrudnić rzeźników.

Mimo to wiem, że sprawę przerwanej egzekucji poruszyły nawet gazety. Dziennikarze nie mogli jednak dotrzeć do prawdy. Mój asystent oczywiście nie pisał ani słowa, że pojawił się w sali straceń po kilku głębszych. Ja na ten temat również milczałem. Dlatego wszystkie gromy skupiły się wprost na mnie i zarzucano mi rzekomą chęć zaprezentowania własnego ego. Ponoć nie podobały mi się warunki panujące w więzieniu oraz zasadnicza postawa naczelnika.

Bzdury. Przywykłem do wszelkiej krytyki, a i tak nie zdradzę prawdziwego powodu wyrzucenia tamtego chłopaczka. Popełnił błąd, lecz przez dwa lata był moim pomocnikiem. Nie interesuje mnie, czy zmarła mu siostra, czy wypił, aby uczcić jakieś święto. Popełnił błąd. Ja nie wybaczam błędów, tak jak nie wybacza ich śmierć. Jednak wiem również, czym jest dyskrekcja, nawet za cenę mojej własnej głowy.

– Pan sekretarz już czeka.

Mundurowy otwiera przede mną drzwi i daje znak, bym wszedł do środka. Spory gabinet umeblowany jest ciężkimi ciemnymi meblami. Niemal całą podłogę kryje ogromny pstrokaty

dywan. Pomieszczenie oświetlają dwa wieloramienne żyrandole, których światło nie dociera w zakamarki ogromnych szaf bibliotecznych.

Freisler ma jajowatą głowę, lekko odstające uszy i zaczesane do tyłu rzadkie włosy. Ma na sobie białą koszulę oraz czarny, wąski krawat. Na mój widok lekko podnosi się od biurka i znudzony wykonuje ruch ręką. W ogóle jego fizjonomia upodabnia go do zblazowanego, przeraźliwie znudzonego życiem urzędnika. Dopiero gdy siadam na obitym skórą krześle, delikatnie się uśmiecha. Przez chwilę jestem pewny, że jest jednym z tych ludzi, którzy zwalniają podwładnych z wyrazem bezgranicznej satysfakcji na twarzy.

– Jestem wyjątkowo zadowolony z pańskiej postawy – odzywa się bez przywitania. – Wezwałem pana do Berlina, aby podkreślić moje najgłębsze uznanie wobec pańskiej pracy.

– Dziękuję – odpowiadam z rezerwą. Wciąż spodziewam się zbesztania. – Wykonuję swoje obowiązki.

Sekretarz odchrząkuje.

– Proszę.

– Słucham?

– Proszę.

Uświadamiam sobie, że Freisler samymi opuszkami palców przesuwając w moją stronę jakąś teczkę. Jednocześnie bacznie mi się przygląda.

– Niech pan ją otworzy i przeczyta – nakazuje, a cień uśmiechu momentalnie znika z jego ust.

## 40.

Obracam teczkę w dłoniach. Przez chwilę waham się przed jej otwarciem, lecz wreszcie rozwiązuję czerwoną tasiemkę. Jeszcze raz zerkam na Freislera, lecz jego twarz przypomina maskę.

– Śmiało – zachęca mnie. – Proszę się nie obawiać.

Otwieram teczkę i wyjmuję z niej opieczętowane urzędowe pismo. Dlaczego nie nadesłano go pocztą? Nachodzi mnie myśl, że mundurowy, który mnie tu przyprowadził, za chwilę wywlecze mnie stąd prosto do aresztu. Ponoć zdarza się to teraz bardzo często, ale po chwili samo takie przypuszczenie wydaje mi się śmieszne. A gdyby nawet... Czy miałbym czego żałować?

Mrużąc oczy i przebiegam pismo wzrokiem. Po początkowych oficjalnych dyrdymałach zwracam uwagę na nagłówek. „Dekret”<sup>1</sup>. Nazwa na tyle poważna, że ponownie wzrasta we mnie niepokój. Do tej pory miałem do czynienia z pismami całkowicie innego rodzaju. Przynajmniej gdy mowa o tych, które wręczano mi osobiście.

Wczytuję się w kolejne zdania i w miejsce niepokoju pojawia się zdumienie. W znacznej mierze to urzędowy bełkot, który w ogóle mnie nie dotyczy. Okręgi sądowe, placówki egzekucyjne, ustanawianie, znoszenie...

– Czy to... – odzywam się, lecz Freisler przerywa mi machnięciem ręki.

– Proszę czytać dalej.

Zakładam nogę na nogę i odruchowo przeglądam kartki. Przebiegam wzrokiem po liniijkach, w których stwierdza się zmiany administracyjne oraz terytorialne poszczególnych okręgów sądowniczych. Nie ma w nich nic ciekawego poza tym, że uświadamiam sobie swoje miejsce jako marnego trybiku w ogromnej maszynie. Mimo to czytam dalej.

„Mając na uwadze powyższe, mianuje się trzech ogólnopaństwowych katów:

- Ernsta Reindela, którego obszarem działania wyznacza się centralne ośrodki egzekucyjne Berlina, Wrocławia oraz Królewca;
- Friedricha Hehra, którego obszarem działania wyznacza się centralne ośrodki egzekucyjne Butzbachu, Hamburga, Hanoweru oraz Kolonii;
- Johanna Reichharta..."

Odsuwam kartki i zerkam na Freislera. Ten poprawia się wygodnie w fotelu i ponownie się uśmiecha.

„Johanna Reichharta, którego obszarem działania wyznacza się centralne ośrodki egzekucyjne Drezna, Monachium, Stuttgartu oraz Weimaru”.

- To ogromny obszar - szepczę mimowolnie.

Freisler nie odpowiada. Zapewne zdaje sobie sprawę, że właśnie mój wzrok padł na kolejne zdanie.

„Wynagrodzenie każdego z powyższych katów ustala się na 40 000 marek<sup>2</sup> Rzeszy rocznie”.

Mój Boże. Mógłbym potraktować to jako żart, gdyby nie pełna ukontentowania mina Freislera. Sekretarz wstaje i wyciąga do mnie dłoń. Wymieniamy mocne uściski.

- Rzesza jest z pana dumna, panie Reichhart. A co równie ważne, Rzesza potrafi się odwdziżyć.

Mój wzrok mimowolnie wędruje ku wiszącemu na ścianie portretowi Adolfa Hitlera. Nigdy wcześniej tak mocno nie odczułem zmian, które przyniósł narodowy socjalizm. Czy mogłem się spodziewać czegoś lepszego?

---

<sup>1</sup> Mowa o dekreście Ministerstwa Sprawiedliwości Rzeszy (Reichsjustizministerium) z 25 sierpnia 1937 r.

<sup>2</sup> Równowartość około 140 000 euro.

# 1937 R.

## 41.

– Kacie, czyn swoją powinność.

Kiwam głową i odwracam się do skazanego. Moi asystenci opuszczają stelaż do pozycji poziomej, a następnie jeden z nich popycha go pod gilotynę. Specjalne prowadnice wyhamowują go tak, że ruch nie kończy się nagłym uderzeniem. Więzień zostaje miękko przesunięty do pozycji, w której zostanie stracony.

Zerkam na pełen trocin kosz, na krew, która zbryzgała podłogę w trakcie poprzedniej egzekucji, wreszcie przenoszę wzrok na ostrze. Wszystko jest w porządku. Mimo to mam poczucie, że cała operacja trwa zbyt długo.

Skazany, mimo że jeszcze niedawno był całkowicie spokojny, zaczyna się dławić. To częste. Niedługo przed śmiercią wielu osobom zbiera się na wymioty, lecz w pozycji leżącej podchodząca do gardła treść żołądkowa po prostu ich dusi. Nie mogą ani jej zwrócić, ani przełknąć. Po ścięciu głowy z przełyku wylewa się nieco cuchnącej papki.

Im dłużej trwa przygotowanie do egzekucji, tym nerwy skazańców są większe. Nie ma w tym niczego dziwnego. Sądzę, że każdy, nawet całkowicie pogodzony ze swoją sytuacją człowiek, czuje lęk przed nieznanym. Lęk narastający przez wiele sekund może przyprawiać o solidne mdłości.

Ponoć niedługo opaska zakładana na oczy miała pełnić funkcję hamującą wymioty. Wspominał o tym wuj Franz. Nie tylko chodziło o pozbawienie skazańca możliwości rzucenia ostatniego, oskarżycielskiego spojrzenia, lecz działała na jakieś receptory. Nie jestem o tym przekonany. Chyba że bez niej wymiotowało pod siebie niemal sto procent więźniów.

Cofam się o pół kroku, by uniknąć ochlapania butów krwią. Po latach doświadczenia potrafię już oszacować jej rozbryzg. Tym bardziej, gdy widzę bladą twarz skazańca. Ma to związek z ciśnieniem oraz pracą serca, które nie przerzuca wystarczająco krwi. To naturalna reakcja wielu organizmów. Zdarza się, że na skutek hiperwentylacji oraz spadku ciśnienia niektórzy skazani niemalże mdleją. W chwili, gdy moi asystenci popychają platformę, stają się bezwładni, a ich mięśnie się rozprężają. Myślę, że to właściwy sposób przygotowania się mózgu na niechybną śmierć. Sam mógłbym umrzeć właśnie w taki sposób. Nieświadom swoich ostatnich chwil.

W tym przypadku będzie inaczej. Uszy oraz policzki skazanego są niemal purpurowe. Pod nosem zebrały mu się smarki zmieszane z krwią. Oddycha szybko, ale dość głęboko, by nie zemdleć. Jego mięśnie napinają się i rozluźniają, wstrząsane przez tiki. Szarpie się, wyginając nadgarstki oraz poruszając stopami. Zaciska zęby tak mocno, że słyszę zgrzytanie.

„Oto nadchodzi spokój” – recytuję bezgłośnie.

Zwalniam blokadę ostrza i natychmiast sięgam po zegarek. Mimo to nie otwieram koperty. Wiem, że nie pobiłem rezultatu swojego wuja. Jednak w tej samej chwili do głowy przychodzi mi pewien pomysł. Będę musiał go jak najszybciej przetestować.

Mechanicznie odwracam się do sędziego i dopiero teraz zerkam na cyferblat zegarka. Odczytuję godzinę zgonu. Czym prędzej opuszczam salę, aby zebrać myśli. Potrzebuję chwili spokoju oraz swobodnego dostępu do gilotyny.

To może być niemal rewolucja. Czy ważniejsze jest sprawne przeprowadzenie kary śmierci, czy może pozory jej łagodnego przebiegu? Rozumiecie, do czego sprowadza się to pytanie? Zwróćcie uwagę na słowo „pozory”.

Niebawem wszystko stanie się jasne.

## 42.

– Zatem do dzieła!

Wszystko jest gotowe. W uzgodnieniu z asystentami oraz władzami więzienia przeprowadzimy eksperymentalną egzekucję. Skazańcem jest czterdziestoosmioletni robotnik portowy, który w przypiływie furii utopił kolegę. Właściwie nie wiadomo dlaczego, ale w portach dzieje się tak wiele, że nikt też specjalnie nie dociekał. Pewnie sedno tej banalnej zbrodni stanowiła kobieta albo urażona duma. Choć to chyba jedno i to samo.

Tym razem umyślnie zdobyłem nieco informacji o skazanym. Obserwowałem go przez kilka godzin, starając się oszacować, czy nie jest zbyt oporny, ale przypomina raczej potulne cielę, które pogodziło się z losem. Mamrocze do siebie i na przemian pochlipuje albo się zaśmiewa. Być może jest szalony, tak ponoć utrzymywała jego rodzina, lecz to nie stało na przeszkodzie orzeczeniu kary śmierci. Liczą się czyny, a nie ich otoczka. Poza tym władze i tak chcą wyeliminować ze społeczeństwa ludzi nieczytalnych. Dlaczegożby nie zrobić obu tych rzeczy za jednym razem? Czy na drodze stoi moralność, czy tylko pruderia? Nie mnie to oceniać.

Jeszcze raz sprawdzam działanie prowadnic oraz upewniam się, że ostrze porusza się zupełnie swobodnie. Moi asystenci to ogromne chłopcy, brodate, zwaliste, przypominające ludzi pierwotnych, ale przynajmniej są trzeźwi i w doskonale czystych strojach.

Przechadzam się po korytarzu, czekając, aż pojawi się w nim naczelnik. Następnie powinni mnie minąć duchowny, sędzia, prokurator, a na końcu strażnik. Wtedy procesja wyruszy po najważniejszego uczestnika.

Gdzieś w oddali trzaskają drzwi i niesie się szmer podniesionych głosów. Ktoś klnie, po czym, głośno tupiąc, rusza w moją stronę. Poprawiam muszkę, zerkając w głąb korytarza. Przekładam trzymane w prawej dłoni rękawiczki do wnętrza cylindra. Wtedy zza zakrętu wyłania się zwalista postać naczelnika. Heinrich Kurt ma około sześćdziesięciu lat, ciężki chód i fizjonomię średniowiecznego rzeźmieszką. Jest niski, krępy, z okrągłą twarzą oraz haczykowatym wielkim nosem pełnym brodawek. Kilkaset lat temu za sam wygląd mógłby trafić na stos.

– Proszę za mną – rzuca, nie zatrzymując się. – Zmiana planów. Rozumie pan? Ten człowiek dziś nie umrze.

Wytrzeszczam oczy, nie mając pojęcia, co się dzieje.

## 43.

– Co takiego? Przecież wszystko jest gotowe.

– Nie musi mi pan tego mówić. Moje rejestry również są wypisane, a na stole mam listy do rodziny tego człowieka. Trudno... – Zirytowany naczelnik parska jak pies. – Trzeba będzie zmienić nazwisko, reszta pewnie może zostać.

– Nie rozumiem. O co chodzi?

Podążam za Kurtem i doganiam go w kolejnym korytarzu. Mimo swojej niezgrabności maszeruje nadzwyczaj szybko. Jest w nim jakaś oślizgła sprawność prehistorycznego gada.

– Ten drań ma szczęście – mówi, niemal bulgocząc. – Przynajmniej dzisiaj. Zgłosiła się po niego akademia medyczna, która sama zajmie się egzekucją.

- Co takiego? - pytam zaskoczony. Nic podobnego nigdy dotąd się nie zdarzyło. - Akademia medyczna?

- Niech się pan nie dziwi. Sam spotykam się z tym po raz pierwszy, ale dyspozycje otrzymałem z samej góry.

- To jakiś absurd. Kto miałby odpowiednie uprawnienia? Gdzie zamierzają przeprowadzić egzekucję i...

Milknę, widząc zmieszane, ponure spojrzenie Kurta. Wie tyle samo co ja. Z pewnymi decyzjami nie ma sensu polemizować ani starać się ich zrozumieć. Świat kręci się nadal, mimo że czasem usiłujemy go zatrzymać. Naczelnik wyciąga pęk kluczy i idąc, przez chwilę nimi pobrzękuje. Wreszcie mijamy dwóch strażników, po czym skręcamy ku celom. Kurt otwiera grubą kratę oddzielającą kolejne korytarze.

- To pański nowy więzień - wypowiada te słowa, podchodząc do drzwi po lewej. Podnosi wzrok. - Jego egzekucja została przyśpieszona, więc powinniście się niezwłocznie zapoznać.

- W przyrodzie nic nie ginie? - parskam, nachylając się do judasza.

Gdy zerkam do ciasnej celi, przechodzi mnie dreszcz. Całą siłą woli powstrzymuję przekleństwo.

- Nie mogę tego zrobić - szepczę. - To niemożliwe.

## 44.

- Jak to niemożliwe? - pyta oschle naczelnik.

Ponownie przytykam oko do wizjera i spoglądam na człowieka stojącego pod ścianą celi. Nie mam żadnych wątpliwości, kim jest. Widzę Ottona Strumpfa, człowieka, który uratował mnie spod lawiny błota w okopach Verdun. Człowieka, któremu zawdzięczam życie, a teraz także możliwość wątpliwego zaszczytu ścięcia mu głowy.

Przez ostatnie dwie dekady Strumpf nieco przytył, jego włosy przetyka siwizna, ale wciąż ma ten sam charakterystyczny wąsik, grube wargi oraz kaprawe oczka. Nie mam żadnych wątpliwości, że to on. Jak na potwierdzenie naczelnik odczytuje mi jego imię i nazwisko, dodając, że został skazany za zamordowanie prostytutki.

- Ma pan wykonać egzekucję jeszcze dzisiaj. - Kurt bębni w jakieś wyciągnięte nie wiadomo skąd kartki. - Widzi pan? Tutaj wyraźnie napisano: „W miejsce przekazanego akademii Helmuta Fischera nakazuje się wykonać karę główną na skazanym Ottonie Strumpfie. Jej przebieg, konkretną godzinę oraz inne warunki pozostawia się katowi, panu Johannowi Reichhartowi. Data egzekucji pozostaje ta sama”.

- Znam go.

- Co takiego? - Kurt marszczy czoło i biorąc wdech, rozszerza nozdrza niczym byk. - To pański przyjaciel?

- Można tak powiedzieć.

- Ale... Jak to? Nie może pan odmówić.

- Czyżby?

- To nieprofesjonalne! Wie pan, ile kłopotów mógłbym przez to mieć? Co za różnica, kogo się ścina, przecież to...

Naczelnikowi brakuje słów, a ja spuszczam głowę. Opieram się czołem o zimne, obite blachą drzwi. Staram się zebrać myśli. Jest w tym pewna żelazna logika. Co za różnica, kto znajduje się pod ostrzem gilotyny? Co za różnica, czyimi rękoma opuszcza się ostrze? Jestem tylko

przedłużeniem drewnianych elementów i fragmentem ogromnego systemu. Nie odpowiadam za wykonanie kary, ale za jej przebieg. To niuans, lecz jakże istotny. Powtarzam to sobie po raz tysięczny, a jednak czasem bywam nieprzekonany...

Przed oczami stają mi obrazy sprzed lat. Zakryte krwawą przesłoną niebo, snujące się wokół dymy, trzask piasku między zębami... Pośpiesznie je odsuwam i odwracam się do naczelnika.

– Przynajmniej zrobię to szybko i poprawnie – stwierdzam. – Odwdzięczę mu się chociaż w ten sposób.

Kurt kiwa głową i z ulgą wypuszcza powietrze.

– Kiedy mam nakazać go wyprowadzić? – pyta urzędowo. – Klecha już do niego idzie.

– Nie będę potrzebował zbyt wiele czasu. Zdaje się, że nada się to samo ostrze, które zostało naszykowane dla poprzedniego.

## 45.

Co kilkadziesiąt sekund zerkam na zegarek. Pastor już opuścił celę Strumpfa i zmierza w naszą stronę. Jego powolne kroki rozbrzmiewają na korytarzu. Przez lata nauczyłem się rozróżniać chód duchownych, choć jestem zaskoczony, że ten idzie sam. Po chwili dostojnie wkracza na salę i zerka w moją stronę. Wymownie wzdycha, po czym przenosi wzrok w stronę władz więzienia.

– Skazany kazał mi iść do diabła – odzywa się oburzonym tonem. – Proszę o wybaczenie, ale to cytat.

Powstrzymuję się przed parsknięciem śmiechem. Dawno nic mnie tak nie rozbawiło. Jednocześnie bez problemu jestem sobie w stanie wyobrazić Strumpfa wypowiadającego te słowa. O wierze w Boga, w los i przypadek gadaliśmy całymi dniami jak nakręceni. Nie wiem nawet, na ile moja filozofia i podejście do życia nie wynikają z jego koncepcji. I na odwrót.

Jakim cudem ten człowiek mógł zabić prostytutkę? Dlaczego? Wiem, że wtedy, w okopach we Francji, w każdym z nas coś umarło, ale Strumpf? Był delikatny, słał swojej ówczesnej dziewczynie słodkie listy i nigdy nie chadzał do burdeli. Zdarzało mu się przechwalać podbojami miłosnymi sprzed lat, lecz w trakcie wojny był przykładnym monogamistą. Po powrocie do domu miał wziąć ślub i zabrać się do produkowania dzieci. Tak właśnie o tym mówił. „Produkowanie dzieci”.

Jak nazywała się jego dziewczyna? Ewa? Ada? Chyba Ewa. Pamiętam, że miał jej kilka fotografii, ale nie pokazywał ich byle komu. Ja dostąpiłem tego zaszczytu. Nie mógłbym powiedzieć o tej osiemnasto- czy dziewiętnastolatce, że jest piękna, ale z pewnością miała w sobie coś interesującego. Mocne kości policzkowe, lekko skośne oczy, biła z niej jakaś orientalna siła przyciągania.

Ewa. Na pewno Ewa.

Jak potoczyły się ich losy? To teraz nie ma żadnego znaczenia. Kolejny domysł zostaje przerwany przez ciężkie kroki strażników oraz szuranie butów skazańca. Po latach doświadczeń człowiek potrafi zaskakująco wiele odczytać z najdrobniejszych więziennych odgłosów.

– Przygotować się – nakazuje asyentom.

Serce łomocze mi pełną parą, a w ustach brakuje śliny. Odruchowo staję bokiem do wejścia, aby wprowadzany nie mógł od razu mnie dostrzec. Kątem oka dostrzegam jego wysoką sylwetkę w towarzystwie dwóch o głowę niższych strażników. Kieruje się ku gilotynie niedbale, choć ma skrępowane nogi. Wydaje się, jakby sam wszystkich pośpieszał, nie mogąc się doczekać, aż wszystko dobiegnie końca.

Zatrzymuje się o kilka kroków ode mnie i teraz już muszę się odwrócić. Może mnie nie rozpozna? Postarałem się i skurczyłem. Nie jestem już tamtym chłopcem sprzed lat... Z oporem obracam głowę, po czym nasze spojrzenia się spotykają.

Nie. Nie mam żadnych wątpliwości. Natychmiast mnie rozpoznaje. Przez jego twarz przemyka wyraz zdumienia, lecz trwa to tylko ułamek sekundy. Jeszcze zanim mój asystent zarzuca mu na oczy opaskę, staje się całkowicie spokojny, jakby utracił jakąkolwiek więź ze światem.

– Zrób to szybko.

Te słowa wypowiedział ledwie słyszalnie, lecz bez problemu wyczytuję je z jego ust. Sędzia odzywa się znacznie głośniejsz:

– Kacie, czyń, co do ciebie należy.

Zerkam na zegarek i włączam stoper. Daję znak asystentom, którzy momentalnie dopadają do skazanego. To moja innowacja. Postanowiłem nie tracić czasu na krępowanie więźniów w pozycji pionowej, a następnie na ich opuszczanie. Asystenci muszą być silni, gdyż ich zadaniem jest uniesienie ciała skazanego, błyskawiczne skrępowanie go pasami i położenie na platformie. Odbywa się to w mgnieniu oka.

Staram się nie patrzeć na Strumpfa, lecz na blokadę gilotyny. Czuję, że pod rękawiczkami ścieka mi pot. Nie mam jednak czasu na wyrzuty sumienia. Gdy tylko głowa skazańca znajduje się pod gilotyną, zwalniam kołowrót. Pięćdziesięciokilogramowe ostrze bez problemu wykonuje swoje zadanie. Wokół chlusta krew, ale nie zwracam na to żadnej uwagi.

Szybko sięgam po zegarek i zatrzymuję stoper. Trzydzieści jeden sekund. Psia mać. Muszę wymyślić coś jeszcze, aby pobić rezultat wuja Franza. Przynajmniej nie drż mi dłonie. Jestem wściekły, że nie udało mi się zyskać tej kolejnej sekundy. Tylko to zajmuje moje myśli.

## 46.

– Pan Reichhart. Moje uszanowanie.

Pocziwy starszy o twarzy poznaczonej bruzdami, podkrążonych oczach i kilku siwych włosach na łysej głowie kłania mi się w pas. To sprzedawca, a zarazem właściciel największego sklepu w Deisenhofen.

Moja willa znajduje się dwieście metrów dalej. Przeprowadziłem się do tej miejsciny przed kilkoma tygodniami, chcąc znaleźć swoje miejsce na ziemi. Może to powrót do sielskiego krajobrazu, jaki znałem z dzieciństwa, a może chodziło o coś całkiem innego. W każdym razie dość mam ciśnienia się w kamienicy w dużym mieście. Poza tym i tak wszelkie sprzęty w razie konieczności wożę ze sobą. Mimo hucznych planów nadal niewiele więzień dysponuje gilotynami.

Deisenhofen to wioska położona na południe od Oberhaching, u wylotu doliny Gleißenta. Można powiedzieć, że znajduje się w otulinie lasów oraz wzgórz, co nadaje jej nadzwyczaj urokliwy kurortowy klimat. Głównymi zabytkami są dworzec oraz wieża ciśnień obrazujące skalę tego zakątka. Mimo to nie mogłem trafić na przyjemniejsze, bardziej urocze i spokojne miejsce.

Jeszcze trzy, cztery lata temu obawiałbym się przenosin do tak zamkniętej społeczności. Zazwyczaj nowo przybyli budzą w nich niechęć, a mój zawód natychmiast stałby się powodem plotek oraz odrazy. Nie sądzę, by ktokolwiek uchylił mi kapelusza albo okazał jakąkolwiek serdeczność. Nigdy ich nie potrzebowałem, ale chyba rozumiecie moją obawę. Tymczasem przez ostatnie lata wszystko się zmieniło. Mieszkańcy nie tylko doskonale wiedzą, kim jestem, ale ja też nigdy tego nie ukrywałem. Spotyka mnie powszechna sympatia, choć wiem, że jest podszyta pewnym wymuszeniem.



- Co podać? - pyta uprzejmie sprzedawca.

Spoglądam mu w oczy. Przez chwilę się zastanawiam, ale nie nawykłem wzbudzać obaw u innych. Gdy widzę, że starzec zaczyna czuć się nieswojo, przenoszę wzrok gdzieś za niego.

- Potrzebuję tego włoskiego tytoniu, który ostatnio sprowadzał pan dla pana Fritzekego.

Mężczyzna natychmiast się rozluźnia i szeroko się uśmiecha.

- Ventabalo! - Młaska z uznaniem. Sięga po papierzane opakowanie, po czym zaczyna przekładać jego zawartość na wagę z szalami. - Ile potrzeba?

- Sto gramów na razie powinno wystarczyć.

- Bardzo dobry wybór - odzywa się ktoś stojący w kolejce za moimi plecami. Nawet się nie odwracam.

Te pochlebstwa zaczynają mnie czasem irytować. Wiem, że w wiosce siedzibę ma Gestapo i że jeden z żandarmów niemal bez przerwy trzyma straż przy wejściu do mojej willi. A jednak nigdy o to nie prosiłem. Wolałbym być traktowany jak zwykły urzędnik państwowy, który po prostu wykonuje swoją pracę. I co najważniejsze, robi to dobrze. To kwestia szacunku do własnych rodziców i siebie. Nie ma w tym pruderii ani fałszywej skromności. Nie ma w tym żadnej pozy.

Zabieram tytoń i zostawiam odliczoną kwotę. Wychodzę ze sklepu, na nikogo nie patrząc. Ludzie natychmiast schodzą mi z drogi. Mam wrażenie, że zdaje się im, że w każdej chwili mogę ich wysłać pod swoje ostrze.

Już nie budzę odrazy. Budzę strach.

I nie wiem, czy mi to odpowiada.

- Do widzenia państwu - rzucam uprzejmie. - Dobrego dnia.

## 47.

Na ustach wszystkich jest tylko jeden temat. Przyłączenie Austrii do Rzeszy. Powrót wyrodnej córki do macierzy, choć mnie wydaje się to sporą nadinterpretacją. Oczywiście nie zamierzam tracić ani chwili na rozważania nad polityką. Ta niezmiennie mnie nudzi i brzydzi. Historia to co innego. Historia to nauka o pokoleniach mojej rodziny, których przedstawiciele ścinał łotrzyków bez względu na granice i pochodzenie. Bez względu na wyznanie, pozycję społeczną oraz poglądy. Wbrew pozorom ludzie teraz nie są względem siebie bardziej równi, niż byli trzy stulecia temu.

*Dance macabre.* Czy ktoś w ogóle o tym pamięta? Śmierć chwytająca za ramiona króla, papieża oraz chłopa. Taniec odtańczony nad skrzyniami, z których wysypują się monety i najdroższe szaty. Śmierć czuwająca nad wszystkim i nad wszystkimi.

Znów dopadł mnie ten ohydny, ponury nastrój. A może to po prostu racjonalne spojrzenie na rzeczywistość. Koheletowska marność nad marnościami... Nicość... Człowiek wart tyle, co robak, a ziemia nie więcej od sumy kilku atomów błota. Wolter miał rację, ale i tak dożył starości. Dlaczego nie chciał skończyć z tym światem? Tyle że skąd mogę wiedzieć, że nie chciał?

Nie cierpię tego natłoku myśli...

Obracam w dłoni nóż do papieru i w lśniącem ostrzu przyglądam się swojemu odbiciu. Jest tępe, ale przy użyciu odpowiedniej siły mogłoby rozpruć gardło. To by wystarczyło.

Przedemną leży list, który powinien mnie ucieszyć, a sprawi, że dzień wydał się jeszcze bardziej szary. Dlaczego? Nie potrafię pojąć zawichości własnej psychiki, choć równie dobrze może to być wpływ świata na stąpający po nim kruchy organizm. Wystarczy lekki wzrost ciśnienia, byśmy mieli wrażenie, że eksplodują nam głowy. Na deszcz łamie nas w kościach, wiatr

przyprawia o kołatanie serca, a susza złuszcza płatami skórę. Jesteśmy tylko marnymi drobinami rzuconymi w oko huraganu.

W takim razie czy wiadomość od ministerstwa sprawiedliwości mogłaby mnie ucieszyć? Co z tego, że terytorium mojej katowskiej jurysdykcji poszerzono o Wiedeń oraz Frankfurt? Co z tego, że moje wynagrodzenie zostało powiększone o kolejną garść monet? Jest ich więcej od trzydziestu srebrników, a jednak nie mogę za nie kupić ani jednego niewolnika. Wiedzieliście, że trzydzieści srebrników to była cena porządnego niewolnika w Judei pierwszego wieku naszej ery? Żeby nie powiedzieć, Judei pierwszego wieku po Chrystusie, bo przecież Chrystus jeszcze żył, gdy wręczano łapówkę za jego wydanie.

A co mi po tej całej wiedzy? Czuję się podle i mam wrażenie, że boli mnie całe ciało. Mam mdłości. Mną list, który kilka tygodni temu gotów byłbym oprawić w ramki. Co się zmieniło? Nic. A jednak gdzieś jest susza, gdzieś dmie wiatr, a gdzieś skoczyło ciśnienie.

– Panie Reichhart!

Czyjś głos dobiega zza okna. Słyszę warkot silnika oraz powtarzane nawoływanie. Co jest, u licha? Kto i czego chce?

Rzucam list w kąt pokoju i powoli podnoszę się z krzesła. Czasem mam wrażenie, że skończyłem sto lat. Wyglądam przez okno i dostrzegam młodego człowieka w czarnym mundurze. Macha do mnie, zachęcając, bym zszedł na dół.

Do diabła, o co mu chodzi?

## 48.

– To prezent od ministerstwa.

– Co jest tym prezentem?

– To.

– Pan żartuje?

– Ani trochę. Nakazano mi specjalnie tu przyjechać. Wracam pociągiem.

SS-man wskazuje na wielką, nowiutką furgonetkę. To grafitowy opel blitz z paką krytą rozkładaną plandeką, wielką atrapą chłodnicy oraz okrągłymi reflektorami. Symbol zmian w motoryzacji, które zaszły w ostatnich latach. Pojazd przerabiany na autobusy, wojskowe holowniki lub transportery lekkiego uzbrojenia. Wielokrotnie widziałem je sunące ulicami miast, gdy na otwartej przyczepie siedziało kilkunastu roześmianych żołnierzy, zawsze śpiewających rubaszne pieśni.

– Po co mi ta ciężarówka?

SS-man jedynie szeroko się uśmiecha. Czeka, aż sam pojmę cel tego zamieszania. Jednak mam zbyt słaby humor, aby usiłować zgadywać. Sytuacja coraz bardziej mnie irytuje.

– Mam swój samochód, a zawodowo podróżuję pociągami – oznajmiam. – Nie potrzebuję takich upominków. To chyba żart.

– Wcale nie.

Młodzieniec wzdycha, wyraźnie obrażony, że nie mam ochoty z nim podowcipkować albo chociaż zgadywać. Odwraca się do opła, który już zwrócił uwagę przechodniów. Podchodzi do przyczepy, po czym pośpiesznie rozwiązuje sznury spinające plandekę.

– Proszę podejść.

Z rękoma w kieszeniach stoję tuż obok niego. Zglądam na pakę, którą oświetlają promienie słońca wpadające przez niewielki otwór. Muszę przyzwyczaić wzrok. Dopiero po chwili zaczynam

rozróżniać kształty kolejnych przedmiotów.

Oddzielnie ułożono metalowe bloczki, korby oraz drewniany stelaż. Do burty przywiązano specjalne uchwyty trzymające w pionie cały zbiór ostrzy do gilotyny. Ponadto na podłodze leżą zwoje lin, sznurów oraz rzemieni. Nie brakuje nawet dwóch wiklinowych koszy oraz jutowego worka, który, jak sądzą, wypchano trocinami.

– Pociągi już nie będą konieczne – oznajmia SS-man. – Zmieści pan tu wszystko, czego potrzeba. To pozwoli zaoszczędzić czas oraz wszystko usprawni. Modyfikacje opracował oraz zaaprobował pan minister Freisler.

– Minister? A więc nie jest już sekretarzem?

Młodzieniec kręci głową. Jest zadowolony, że może mnie czymś zaskoczyć.

– Ma pan w nim gorącego sojusznika oraz przyjaciela. Proszę mi wierzyć.

Nie podoba mi się ten protekcyjny ton. Jednak nie zamierzam wdawać się w utarczkę ani strofować tego chłopca. Kiedyś sam zrozumie, że szafowanie opiniami jest zbędne. Te najlepiej zatrzymać dla siebie.

– Ładowność to ponad pół tony – dodaje rzeczowo. – Rozładunkiem i załadunkiem będą musieli zająć się pańscy asystenci, ale specjalne stopnie powinny ułatwić sprawę.

– Z pewnością – mruczę i zasłaniam plandekę. Starannie, speszonej spojrzaniem przechodniów, przywiązuję sznur do burty.

SS-man uznaje to za formalne przyjęcie prezentu. Staje na baczność i salutuje.

– Powodzenia, panie Reichhart.

W tym momencie oficjalnie zostałem obwoźnym handlarzem śmiercią.

## 49.

Spoglądam na głowę, która leży wśród umazanych krwią trocin. Oczy są półprzymknięte, lecz widać ich martwe spojrzenie. Opaska zsunęła się i leży na dnie. Włosy ściętego są zmierzwione, a skóra twarzy blada, jakby wykonano ją z porcelany. Lekko rozwarte usta zamarły w niemym krzyku. Wydostał się przez nie ostatni wydech powietrza. A może również dusza.

Ponoć w czasach rewolucji francuskiej wiele mówiono o świadomości zgilotynowanych osób. Kilku badaczy przeprowadzało eksperymenty – a przyznać trzeba, że nie brakowało im materiału – czy po egzekucji mózg skazańców jeszcze przez chwilę pracuje. Stawiano tezę, że po dekapitacji mózg jeszcze przez kilka sekund pozostaje całkowicie świadomy tego, co się wydarzyło. W końcu jest w nim krew i jest również tlen, więc istnieją wszelkie teoretyczne warunki do podtrzymania życia.

Kronikarze skrętnie odnotowali, że Charlotte Corday d'Armont, zabójczyni Marata, po ścięciu kilkukrotnie mrugnęła. Zainteresowany tematem lekarz, Jean Baptiste Laborde, przeprowadził eksperyment polegający na połączeniu arterii krwionośnych odciętej głowy z korpusem żywego psa. Świadkowie twierdzili, że zgilotynowany mężczyzna na chwilę odzyskał świadomość. W reakcji na te świadectwa powszechnie zalecano, by kaci po ścięciu potrząsali głową tak, by „wyrząsnąć” z niej resztki krwi.

Umawiano się nawet, że ofiary dekapitacji wypowiedzą jakieś słowa lub zamrugają w odpowiedniej sekwencji, co miało potwierdzić, że nie są to jedynie pośmiertne drgawki. Kronikarze w tym przypadku snują rozmaite, często przerażające relacje. Wiele z nich rzekomo dowodzi, że skazańcy zachowywali świadomość przez kilka sekund po egzekucji, a niektórzy nawet kontaktowali się z otoczeniem ponad minutę.

Coś w tym jest. Sam widziałem usta lekko poruszające się, gdy głowa już trafiła do kosza; widziałem mrugnięcia i obracające się gałki oczne. Nigdy nie robiło to na mnie wrażenia. Podobnie jak nie zamierzałem interpretować przesłanek, które sprowadziły skazańców pod ostrze gilotyny, tak nie interesowało mnie, kiedy faktycznie umierają. Ich zgon stwierdza lekarz lub prokurator. Ja mam za zadanie jedynie odnotować dokładną porę wykonania egzekucji. Koniec kropka.

Zapytany, czy gdybym musiał wybierać sposób własnej egzekucji, wybrałbym gilotynę, nie zastanawiałbym się. Oczywiście, że tak. W przypadku wieszania jest wiele czynników, które mogą pójść nie po myśli kata, a tym bardziej nie po myśli skazańca. Jednak gdyby opracować lepszą szubienicę? Kto wie? Po głowie chodzi mi wiele projektów, lecz ciągle brak mi czasu, by się nimi zająć.

Głowa tkwiąca w koszu z pewnością jest martwa. Nie ma w niej życia, a mózg ściętego już nie pracuje. Mój asystent wyciąga ją i kładzie obok korpusu. Całość za moment trafi do specjalnej skrzyni, z której zostanie przeniesiona do trumny. Ciała niektórych zmarłych odbierają ich bliscy, inni trafiają w ręce studentów, jeszcze inni spoczywają w przywiezionych anonimowych grobach.

Ktoś niespodziewanie dotyka mojego ramienia. Przebiega mnie dreszcz. Odwracam się i spoglądam na jednego ze strażników.

– Panie Reichhart, musi pan jechać – mówi ożywionym tonem. – Właśnie telefonowano z Monachium. Pytano o pana.

– Pytano? O co chodzi?

– Musi pan natychmiast wykonać jakąś egzekucję. Wskazano, że to nadzwyczaj pilne.

– Czy zdają sobie sprawę, że z Drezna do Monachium jest kawał drogi?

Nie rozumiem tego zamieszania. Odkąd egzekucje są pilne, a wezwania nadchodzą telefonicznie? Mimo to sięgam po zrzucone przed chwilą białe rękawiczki i ruszam do wyjścia. Prowadzi mnie ciekawość.

## 50.

Z niedowierzaniem spoglądam na sędziego. Niski wąsacz z wydatnym brzuszkiem i odstającymi uszami wzrusza ramionami.

– Sprawiedliwość szukała go niemal przez rok, teraz nie może jej umknąć ot tak – stwierdza pompatycznie.

– Nie umknie.

– Owszem, jeśli umrze, to umknie. Tak będą to rozumieli ludzie. Nie ma nic ważniejszego od społecznego poczucia sprawiedliwości.

Co za bełkot. Przenoszę wzrok na skazanego. Leży na wąskiej pryczy i ciężko sapie. Jest nieprzytomny. Jego klatka piersiowa unosi się i opada niczym miech kowalski. A mimo to zdaje się, że brakuje mu powietrza.

W progu stoi lekarz, który przez ostatnią godzinę usiłował go wybudzić. Na twarzy więźnia są sińce oraz ślady ukłuć igłą lub czymś podobnym.

– Porwał i zgwałcił czterech chłopców – ciągnie sędzia. – Nie zasługuje na spokojną śmierć.

– Mam go ściąć? – pytam z ironią, ale bez cienia uśmiechu. – Czy pan słyszy, co mówi?

– Słyszę. Takie dostałem polecenia z góry.

Natychmiast się ożywił.

– Kim jest góra? Proszę mi powiedzieć, a osobiście skontaktuję się, by wyjaśnić tę sprawę i pozwolić temu człowiekowi umrzeć. Problem sam się rozwiąże w ciągu paru godzin. Prawda,

panie doktorze?

- Zapewne tak - przytakuje medyk. - To ostatnie stadium raka, a ze śpiączki już się nie wychodzi.

- Miał szczęście, że umrze we śnie - mamrocze sędzia. - A góra sięga wyżej niż ministerstwa.

Wymowne spojrzenie każe mi się wszystkiego domyślać. W każdym razie daje mi od zrozumienia, żebym nie usiłował polemizować z decyzjami, które są nieodwołalne.

- On ma zostać zabity w imię sprawiedliwości, a nie po prostu umrzeć. Ma być przykładem i wzorem odstraszenia. Ma pokazać, że Rzesza jest sprytniejsza i potężniejsza nawet od śmierci.

Pompatyczny ton sędziego zwyczajnie mnie drażni. Zerkam na nieprzytomnego skazańca i przez chwilę wpatruję się w jego szarą, chorą twarz. Teraz nie przypomina niebezpiecznego przestępcy. Gdyby leżał na ulicy, większość ludzi podeszłaby do niego, by mu pomóc. Ot, jak dziwne są koleje losu. Nagle jego oddech przyśpiesza, a z ust dobywa się stłumiony charkot.

- Proszę się pośpieszyć - rzuca lekarz. - To końcówka.

Zakładam cylinder i rękawiczki. Upewniam się, że muszka jest równo zawiązana, a rękawy koszuli czyste. Daję znać stojącemu na zewnątrz asystentowi, by wprowadził metalowe łóżko na kółkach. Jeszcze kilka minut temu nie miałem bladego pojęcia, po co je przygotowano.

- Przenieście go na nie - oznajmiam chłodno. - Skoro tego chce wymiar sprawiedliwości...

- Sprawiedliwość - poprawia mnie sędzia.

- Czyżby? - Po raz pierwszy uśmiecham się ironicznie. Unoszę dłonie i pokazuję mu rękawiczki. - Mnie przynajmniej chroni ich biel. A pana? Naprawdę uważa pan, że to słuszne wyjście? Że wymiar sprawiedliwości i sprawiedliwość to jedno?

Nie czekając na odpowiedź, podchodzę do pryczy i wraz z asystentem podnoszę bezwładne ciało. Ręce skazanego opadają ku ziemi, kark się odgina, a usta lekko otwierają. Rzęzenie powtarza się z przerażającą regularnością.

- Naczelnik może niebawem bić w dzwon - oznajmiam. - Niech się lepiej pośpieszy.

## 51.

Wraz z asystentem prowadzę metalowe łóżko korytarzami więzienia. Kółka cicho stukają na nierównym podłożu. Co jakiś czas wydaje mi się, że skazaniec zaczyna się budzić, lecz wtedy z jego ust dobywa się tylko głośniejszy charkot. Chciałbym, by było to jego ostatnie tchnienie. Nigdy nie przeciwstawiam się wyrokom państwowym, lecz to, co się tu dzieje, jest zwykłym szaleństwem. Ślepą furią niegodną człowieka.

Kara śmierci od dekad ma wielu przeciwników, gdyż wypaczono jej ideę. Stała się instrumentem pogwałcenia i represji. Nie jest już tylko najwyższą sprawiedliwością, jaką może wymierzyć człowiek. Nie jest realizacją prawa natury, które niezmiennie powtarza: „Śmierć za śmierć”. Dlatego tak łatwo jej przeciwnikom mówić o współczesnych torturach, o polityce i o opresji. Na śmierć zasługują mordercy i pomocnicy morderców. Nie powinni być na nią skazywani spiskowcy przeciwko państwu, zamachowcy, w wyniku których akcji wyleciał w powietrze bank lub urząd pocztowy. Prawo natury jest proste i niezmienne.

A ten człowiek? Sędzia wspomniał, że jest pedofilem, który porwał i zgwałcił czterech chłopców. Czy ich zabił? A może to też nie jest tak proste i gwałt napiętnuje ich życie na zawsze, niemal tak mocno jak śmierć? Co ja mogę o tym wiedzieć? Jestem prostym człowiekiem, który chce tylko dobrze wykonywać swoją robotę.

Wjeżdżamy na salę straceń. Gilotyna jest tu umieszczona pod ścianą, jakby stanowiła jakiś wstydlivy element wyposażenia. Poza tym wokół rozciągają się dawne trybuny, drewniane ławki oraz podesty. Zapewne pamiętają czasy straceń publicznych, gdy tłum mógł obserwować ostatnie chwile skazańców. Przytłacza mnie atmosfera tego miejsca. Nie wiem dlaczego, lecz czuję się tu nieswojo, jakby obdarto moją pracę z pewnego istotnego elementu. Z intymności? Godności? Chyba że to wszystko przez całą tę sytuację. Płacze mi się w głowie.

Ponownie zerkam na skazańca i ukradkiem kładę dłoń na jego przedramieniu. Delikatnie je ściskam, tak jak człowiek powinien móc ucisnąć najgorszego, umierającego wroga. Być może jest teraz równie świadomy jak obcięte głowy? Jak wiele nauka może powiedzieć o ludziach w śpiączce? Niektórzy twierdzą, że ci nieszczęśnicy słyszą wszystko, co dzieje się wokół nich. A skoro słyszą, dlaczego mieliby nie czuć rozmaitych bodźców?

To człowiek. Być może popełnił wielkie zbrodnie, lecz należy mu się przynajmniej załączkowy szacunek ze względu na to, że miliard ludzi na świecie utrzymuje, że gdzieś w nim tkwi dusza. A nawet jeśli nie z tego powodu, to z szacunku dla nas samych.

Gdy delikatnie dotykam go po raz drugi, głowa skazańca minimalnie się porusza. Jakby usiłował się obrócić i na mnie spojrzeć. Po kilku sekundach zastyga jednak w jednej pozycji.

– Kacie...

Sędzia chyba uznaje za zbędne wygłaszanie całej formułki. Mimo to odwracam się do niego i staję wyprostowany. Czekam. Pięć, dziesięć sekund mierzymy się wzrokiem. Wreszcie sędzia odpuszcza.

– Kacie, czyń swoją powinność – wygłasza teatralnym tonem.

– Przenieście go.

Wraz z drugim asystentem, który przygotowywał gilotynę, dźwigamy skazańca i układamy go wprost na stelażu. Nie ma sensu, bym dziś mierzył czas wykonywania egzekucji. Wszystko trwa już stanowczo zbyt długo, a jednak wbrew mojej nadziei mężczyzna wciąż żyje. Nie chce sam odejść.

– Gotów – oznajmiam.

– Gotowe – potwierdza mój asystent.

– Czekajcie...

Mimo wszystko sięgam po odłożoną na wspornik szarfę i zawiązuję ją na oczach skazańca. To nieco mnie uspokaja. Poprawiam jego kark i wracam ku kołowrotowi. Bezwzględnie zwalniając blokadę.

Dokonało się.

## 52.

Przez całe życie najlepiej czułem się sam ze sobą. Samotność nie tylko mi nie przeszkadzała, ale również bywała budująca. Dzięki niej potrafiłem przetrwać najgorsze myśli oraz doświadczenia. Gdy rozmawiałem z bliskimi, zawsze towarzyszyło mi poczucie, że ich pocieszenie jest tak naprawdę pocieszeniem samych siebie. Chcąc ukoić mój ból albo pomóc mi rozwiązać jakikolwiek problem, zawsze robili to głównie dla siebie.

To nic niezwykłego. Jeśli będziecie całkowicie szczerzy z samymi sobą, dojdziecie do tego samego wniosku. Czy pielęgnując chore dziecko, nie martwicie się, że gdyby „coś mu się stało”, nie przeżyjecie tego? To wasza perspektywa jest najważniejsza, nie kogoś, kto trafia do nicości. Żałoba

to egoistyczne cierpienie na skutek pustki, jaka powstała w nas samych, a nie w kimś, kto odszedł. On zapewne już nie ma problemów.

To najdalej idące przemyślenia, które jednak z powodzeniem można rozciągnąć na bardziej trywialne tematy. Co kogo interesują moje wątpliwości co do słuszności wykonania egzekucji? Nawet jeśli to egzekucja na kimś, kto zapadł w śpiączkę, to czyni się z niej jedynie temat medialny, wdzięczny obiekt plotek, ale moje wewnętrzne katusze niewiele zainteresowałyby moich najbliższych przyjaciół. Nawet gdybym ich miał.

Z tego powodu zawsze uważałem za słuszną mieć dystans do ludzkości jako takiej. Nie ufam jej i nie poczuwam się z nikim zbyt blisko. Krew z krwi... Ojciec i matka to co innego. Dzieci również. Choć w tym ostatnim przypadku właśnie z poczucia bezinteresowności muszę się od nich trzymać jak najdalej. Bez względu na moje cierpienie i wewnętrzne rozdarcie. To jedyny czysty altruizm, na jaki mnie stać.

Zapewne mało kto to zrozumie. Nie szukam usprawiedliwienia ani współczucia. Wierzę, że życie jest po to, aby je przetrwać, dostosowując się do warunków, które się zastało. Los postawił na mojej drodze człowieka w agonii i nie mogę doszukiwać się w tym jakiegokolwiek sensu. Nie musi go być. Wykonałem swoje, bo do tego zostałem stworzony.

A jednak myśl o tym nie daje mi spokoju... W ustach czuję niesmak, jakbym przed chwilą zwymiotował. Spoglądam na dłonie i zaciskam je w pięści. Uderzam nimi w stół tak mocno, że stojąca na nim szklanka przewraca się, po czym upada na podłogę. Szkło rozpryskuje się pod moimi stopami. Nie zwracam na to większej uwagi.

Podnoszę się z krzesła i kieruję się do przedpokoju. Czy człowiek nieprzytomny nie ma świadomości, tak jak trup? Czy jest trupem? Tak, te pytania dążą do złagodzenia wyrzutów sumienia. Nie chciałbym w ogóle przyznać, że je mam, ale to prawda. Nie powinienem tyle o tym myśleć. To obłąd...

Chwytam zawieszony na drewnianym wieszaku płaszcz i zarzucam go na ramiona. Wychodzę z domu, nie zamykając drzwi. Maszeruję szybko, jakbym w ten sposób mógł zostawić myśli daleko za sobą. Jednak wiem, że to niemożliwe. Niemal biegnę.

## 53.

– Wykonałem egzekucję na człowieku, który był nieprzytomny.

Te słowa kieruję do Karla Schubera, właściciela przytulnej, ale zapyziałej gospody. Poza nami w środku jest ledwie kilku gości rozrzuconych po wszystkich kątach. Większość z nich szączy piwa zamówione przed paroma godzinami.

Wykonałem egzekucję. Musicie o tym pamiętać. To bardzo ważne. Nikogo nie zabijam ani tym bardziej nie morduję. Ci ludzie sami skazali się na śmierć w chwili popełniania przestępstw zagrożonych najwyższą karą. Popełnili samobójstwo, które ponoszą z mojej ręki.

– Nieprzytomny? – Schuber wydaje się całkowicie niezainteresowany. Pstryka paznokciem w kryształowy pokal, usiłując wydobyć z niego przyjemny brzęk. – To pewnie wymagało sporo zachodu.

– Ano.

Po raz pierwszy od lat mówię komuś o swojej pracy. Do tego o jej szczegółach. Mimo to chęć opowiedzenia tej historii narastała we mnie zbyt długo. Rosła mi niczym gula w gardle i gdybym się powstrzymał, ponownie stoczyłbym się ku otchłaniom najgorszego psychicznego wycieńczenia. Ja. Moje ego. Na wszystko spoglądamy z własnej perspektywy. Moglibyście

pomyśleć, że to empatia lub słabość charakteru, a jednak chodzi o coś zupełnie innego. O poczucie ulgi. Wszyscy chcemy go czasem zaznać. Nie mylcie go jednak z rozgrzeszeniem lub wyznaniem grzechów, które należą do zupełnie innej bajki.

– Ściąłeś go? – dopytuje karczarz. – Chyba wykonujesz egzekucje na gilotynie?

Przytakuję.

– Zgodnie z zaleceniami ministerstwa i samego kanclerza.

– To naprawdę jest bezbolesne?

I znowu wracamy do tego samego. W karze śmierci ludzi najbardziej interesuje ból. Nie rozumieją, że stanowi jedynie produkt uboczny umierania. Niemal każdego z nas.

– Szczęśliwi na łożu śmierci, którzy umierają bez bólu – rzucam sentencjonalnie. Upijam łyk wina rozcieńczonego wodą. Nie pozwoliłem sobie na nic więcej. – Ten człowiek być może miał to szczęście. Ale nie możemy być pewni nawet tego.

– Skoro mu się należało...

Gospodarz ukradkiem się rozgląda. Myśli, że nie dostrzegam jego płochliwego spojrzenia i wyrazu zmieszania na twarzy. Pewnie obawia się, że z każdej rozmowy spisują raporty, a potem przedstawiam je Gestapo albo, co gorsza, SS. Nigdy tego nie robiłem. Wszystkie protokoły, jakie podpisałem w życiu, zawierały oschłe notatki z moich czynności. Nigdy nie doniosłem na żywych ani na martwych. To jedna z moich naczelnych zasad. Od zasad się nie odstępuję.

– Pewnie do tej roboty nie nadawał się nikt inny...

Po tym stwierdzeniu gospodarza nie mogę powstrzymać cichego przekleństwa. Odstawiam kieliszek tak, że kilka czerwonych kropli rozlewa się na blat. Sięgam po leżący obok płaszcz i narzucam go na ramiona. Nie odwracając się, wychodzę na dwór.

Nie potrzebowałem przyjaciela, ale krótkiej, prostej rozmowy. Szczerej wymiany zdań, a może nawet ostrej krytyki. Dania ręką w pysk, abym oprzytomniał i zawrócił na właściwą drogę. Tkwiąc w szklanej bańce, do której nie dochodzi głos racjonalności. Nie potrafię się z niej wyrwać. Dawniej orbitowałem gdzieś na uboczu jako ludzki odrzutek, a teraz proces jest odwrotny. Zostałem wessany do środka i zamknięty w klatce, wokół której chodzi mnóstwo ludzi. Niestety wszyscy z nich są mi niesamowicie obcy.

Nie mam nikogo bliskiego. Sporadyczne listy od syna przychodzą bardzo nieregularnie, a żona w ogóle nie utrzymuje ze mną kontaktu. Pozostałe dzieci załączają uściski, lecz nie chcą się ze mną widywać. Jedynie Hans... Chciałbym z nim usiąść i porozmawiać tak, jak wtedy, gdy był malutkim dzieckiem. Czy w ogóle coś takiego się wydarzyło? Pamięć zniekształca wspomnienia i włącza w nie obrazy zdarzeń, które nigdy nie miały miejsca. Ludzka psychika bywa żalosna.

Powoli ruszam przed siebie. Wlokę się do domu, choć nie wiem, co miałbym tam robić. Straciłem radość z czytania książek i z przeglądania gazet. Moją uwagę z daleka przykuwa stojący przed willą opel. Na pace jak zawsze jest ważąca ponad pół tony gilotyna, a pojazd czeka gotowy do drogi. Zerkam na jego przypominające oczy reflektory i...

Nagle coś mi przychodzi do głowy. Oczy, przytomność, czas... Wszystkie te pojęcia zlewają się w jedną całość. Wpadam na doskonały pomysł. Naprawdę wyborny. Muszę go przetestować.

## 54.

– Przepisy nic na ten temat nie mówią. Chyba że się mylę?

Spoglądam na prokuratora i czekam na jego reakcję. Pocziwy Friedrich von Luer, którego kariera sięga początków panowania Wilhelma II, cicho mlaska. Jest tak stary, że musi przeżuwać



własne myśli. Przynajmniej sprawia takie wrażenie. Cieszy się ogromnym autorytetem, więc umyślnie swoje pytanie skierowałem właśnie do niego.

– Nie – odzywa się po długim namyśle. – Nie przypominam sobie, aby jakiegokolwiek rozporządzenie, zalecenie ani regulamin o tym wspominały. Ustawy z pewnością w tym przedmiocie całkowicie milczą.

Lubię jego dawny, prawniczy sposób przemawiania. Robi to z niezwykłą intonacją, dbałością o najdrobniejsze głoski i znaki przestankowe. Mówiąc, palcami prawej dłoni szarpie końcówkę krzacastego siwego wąsa.

– W takim razie sprawa jest jasna – oznajmiam.

– Ja nie mam nic przeciw – potwierdza von Luer, po czym zwraca się do sędziego: – A pan?

– Mnie to bez różnicy – odpowiada sporo młodszy od niego Kratscher.

– Mnie również – dodaje dla formalności naczelnik więzienia.

– Świetnie.

Gestem daję znać asystentowi, że rozmowa poszła po naszej myśli i możemy przystąpić do wykonania z góry uzgodnionego planu. Dokładnie w tym samym momencie rozlegają się kroki duchownego oraz więźnia. To młody, dwudziestoletni chłopak o ospowatej twarzy i rozbieganych oczach zawodowego alkoholika. Wlepia w nas lękliwe spojrzenie, ale nie opiera się temu, co się dzieje. Postępuje tak, jak nakazuje mu strażnik. Jednak przed podejściem do gilotyny nagle się zatrzymuje. Zamienia szeptem kilka słów z księdzem, po czym wybucha płaczem. Łzy leją mu się z oczu, ale gdy strażnik popycha go w naszą stronę, posłusznie wykonuje nieme polecenie.

– Gotowi? – pytam asystentów.

– Tak.

Odwracam się do sędziego, a ten daje znać, że egzekucja może zostać rozpoczęta. Pada ustawowa formuła, sprawdzam godzinę i kiedy głos sędziego jeszcze wybrzmiewa echem, moi pomocnicy dopadają do skazanego. Chwytają go pod ramiona, po czym powalają na stelaż. Młodzieniec jest na tyle oszołomiony, że w ogóle nie protestuje. Momentalnie zostaje skrzepowany, a stelaż pchnięty pod ostrze gilotyny.

Więzień wbija we mnie zdezorientowane spojrzenie. Nie odwracam wzroku do momentu, aż mój asystent zasłania mu oczy swoją dłonią. To właśnie innowacja. Nie tracimy czasu na zawiązywanie opaski, lecz ze względów humanitarnych i tak dbamy o to, by skazany się nie rozglądał. Ma na tyle unieruchomiony kark, że nie może się wyrwać. Jego łzy spływają między palcami mojego pomocnika.

Zwalniam ostrze i błyskawicznie następuje koniec. Natychmiast wyciągam zegarek, a na moich ustach pojawia się delikatny uśmiech. Trwa to tylko chwilę, lecz nie potrafię go powstrzymać. Dzięki zrezygnowaniu z opaski zaoszczędziliśmy pięć sekund. Cała egzekucja trwała dokładnie dwadzieścia osiem.

Pobiłem wynik mojego wuja. Udało mi się! Choć jestem przekonany, że to jeszcze nie koniec. Uda mi się dokonać tego znacznie szybciej.

Po raz pierwszy od lat mam ochotę tańczyć.

## 1940 R., WIEDENÍ

### 55.

Wojna nie przyniosła zbyt wielu zmian. Wciąż docierają do mnie relacje o bitwach, ofiarach i stratach, ale moje życie niemal się nie zmieniło. Zwiększyła się jedynie liczba przeprowadzanych

egzekucji, z czego niektóre wykonywane są w trybie nadzwyczajnym – z prokuratorem wojskowym oraz w asyście żołnierzy. W tym przypadku jednak tak nie jest.

To kolejna rutynowa dekapitacja i wykonuję ją niemal mechanicznie. Z asystentami tworzymy doskonale zgrany zespół. Regularnie egzekucje trwają między dwudziestoma dziewięcioma a trzydziestoma trzema sekundami. Odstępstwa są bardzo rzadkie. Wciąż marzę o pobiciu tego najlepszego wyniku, ale na razie nie ma na to szans. Musiałbym znowu coś zmienić.

Myślę o tym, gdy mój pomocnik zastraszając skazańcowi oczy i gdy zwalniam blokadę ostrza. Metal sunie w dół, już sięgam po zegarek, gdy...

Ostrze staje w miejscu. Zablockowało się około dwudziestu centymetrów nad karkiem więźnia. Jasna cholera.

Wstrzymuję powietrze i przełykam ślinę. Coś takiego nie wydarzyło się nigdy wcześniej. Wymieniam z asystentami zaskoczone, zmieszane spojrzenia. Mój młodszy pomocnik odkasłuje i odsłania skazańcowi oczy.

Do mężczyzny nagle dociera, co się stało. Usiłuje spojrzeć w górę, nad swój kark, choć to oczywiście niemożliwe. Mimo to zaczyna krzyczeć wniebogłós.

– Bóg mnie ocalił! Dzięki Bogu! Ocalił mnie, ocalił!

Zerkam w stronę władz. Niegdyś egzekucje przerwane przez los odkładano na odległą przyszłość lub skazańców w ogóle zwalniano z więzień. Tak się stało z mistrzem kowalskim Pierrem Buyenem, nad którym zerwała się wisielcza pętla i który trafił na dwadzieścia lat do tak zwanej niskiej wieży. Olaf Birker został przetransportowany do lazaretu po tym, jak kat trzykrotnie usiłował odciąć mu głowę, ale źle wyważony miecz jedynie zmasakrował mu kark. Jakimś cudem mężczyzna przeżył i został wypuszczony na wolność. Zyskał przydomek Olafa Strugaczki, bo ponoć jego szyja wyglądała jak wystrugany pał zakończony głową. Sprawiedliwość ziemską nie mogła stawać w szranki ze sprawiedliwością boską.

– Ocalony! – wrzeszczy skazaniec. – Uratowany przez Boga! Dziękuję, dziękuję ci, Panie!

Młody prokurator jest błądy i bliski zwymiotowania. Natychmiast przenoszę wzrok na sędziego. Ten nerwowo miętosi chusteczkę, lecz dostrzegając moje spojrzenie, wykonuje ukradkowy gest. Nie pozostawia żadnych wątpliwości. Egzekucja ma zostać powtórzona.

Za wszelką cenę staram się nie dać po sobie poznać żadnych emocji. Uważam, że ten człowiek już przeżył śmierć. Los go oszczędził. Odkupił swoje winy, co jeszcze dobitniej podkreśla przykry smród odchodów.

– Wypuście mnie!

Podchodzę do niego i spoglądam w szeroko otwarte, wytrzeszczone oczy. Jest w nich bezgraniczne przerażenie, ale również nadzieja i niemal ekstatyczna radość. Mężczyzna jest przekonany, że wykpił się od śmierci.

– Już, szybciej, szybciej... – pośpiesza mnie, jakby chciał po prostu wstać i wrócić do domu. – Proszę.

Bez słowa odrywam od niego wzrok i sprawdzam ostrze oraz prowadnicę. Okazuje się, że mała drzazga odprysnęła niemal na samej górze gilotyny. Ostrze zahaczyło o nią i spadając, naderwało cały kawałek drewna, który je w końcu wyhamował. Teraz wystarczy go oderwać do końca. Robię to i upewniam się, że nie ma żadnych innych zadarć.

– Co robicie? Uwolnijcie mnie! Bóg mnie ocalił!

Powoli nakręcam kołowrót, unosząc tym samym ostrze. Jednocześnie daję znać asystentowi, by ponownie zasłonił oczy skazańca. Więzień zaczyna miotać się i złorzeczyć, ale to z pewnością nie może go uratować.

Za drugim razem ostrze gilotyny nie napotyka żadnych przeszkód.

## 56.

Nie sądziłem, że cokolwiek może wyrzucić na mnie tak mocne wrażenie. Przed oczyma wciąż mam twarz tamtego człowieka. W moich uszach brzmi jego błagalny krzyk, pełen pewności, że został uratowany przez samego Boga.

Tu, na Ziemi, wydaje się, że więcej do roboty mają ludzie niż Bóg. Przynajmniej w kwestii umierania. Nigdy dotąd nie upadłem tak nisko.

Leżę, cały się trzęsąc, jakby miotła mną najgorsza febra. Dzwonię zębami, przewracam się z boku na bok i otulam się kołdrą. Jest mi na przemian zimno i gorąco. Litry potu wsiąkły w pościel, mam sucho w ustach, ale nie chce mi się pić. Czuję wstręt, by wziąć cokolwiek do ust. Nie jadłem już cztery lub pięć dni. Straciłem rachubę czasu.

Wczoraj nadałem list informujący władze o mojej chorobie. Jako że nikt nade mną nie czuwa, oznajmiłem, że w następnym dam znać o swoim powrocie do formy. Spodziewam się jednak dłuższej absencji. Wyroki może wykonywać ktoś inny lub można je odraczać bez oznaczenia daty. Niech zrobią, jak uważają.

Ocalił go Bóg?

Znów słyszę ten przeraźliwy krzyk. Zmarli nie mogą prześladować żyjących, lecz czasem własna psychika załamuje się pod nami jak cienki lód. Staram się sobie wszystko powoli wytłumaczyć, lecz mój umysł nie przyjmuje żadnych argumentów. Bombarduje mnie wspomnieniami.

Wykrzywiona przerażeniem twarz.

Wytrzeszczone oczy.

Krzyk ust, które za moment zamrą w wiecznym bezruchu.

– Dość, dość! – szepczę, zaciskając palce na kołdrze. – Mam tego dość...

Zerkam na leżący na szafce obok łóżka nóż do listów. Kusi mnie po raz kolejny. Jednak jest zbyt daleko, żebym miał siłę po niego sięgnąć. Poza tym chyba nie chcę umierać. Tak samo mocno nie mam ochoty żyć, co umrzeć. Jestem zawieszony w kompletnej apatii, choć nachodzące mnie obrazy najchętniej wyrwałbym z mózgu i podarł na strzępy.

Czy nie było nikogo innego, czyja śmierć powinna mnie bardziej poruszyć? Naprawdę? Przecież to tylko zwykły zbieg okoliczności, cholerna drzazga, która nie mogła zmienić losu skazańca, ale niespodziewanie wpłynęła na mnie. Psia mać!

Nakrywam twarz kołdrą i przychodzi mi myśl, że oto widok, który przed oczyma mają skazańcy. Ciemność, pustka, nicność. Czy to nie powoduje, że boją się jeszcze mocniej? Nie, nie... Nie mogę szukać usprawiedliwienia, by rzucali na mnie ostatnie, oskarżycielskie spojrzenia.

Czy ja umrę?

Cały drzę i z trudem łapię dech. Może czas, by śmierć dopadła mnie właśnie teraz, w łóżku, gdy jeszcze kilka dni temu nic mi nie dolegało. Czy byłoby to szczęście? Wbrew pragnieniom śmierć nie nadeszłaby bezboleśnie, gdyż boli mnie teraz całe ciało. Boli mnie nawet mózg, każda myśl, każdy rozbłysk światła, choć przecież tkwię w mroku.

Może powinienem wszystko zmienić?

Nagle wstępują we mnie nowe siły. Odrzucam kołdrę i zwlekam się z łóżka. Skulony podchodzę do biurka, na którym leży plik kartek. Odszukuję zatemperowany ołówek, po czym zaczynam pośpiesznie kreślić swoje wizje. Nie ma w nich obłędu, jest za to przerażająca logika. Od czasu do czasu muszę jedynie zatykać uszy. Wciąż słyszę tamten krzyk.

– Bóg nikogo nie ocalił... – odpowiadam nawoływaniom skazańca. – Nigdy.

Zapada niespodziewana cisza. Wiem jak nikt, że cisza bywa wybawieniem.

## 57.

- To bardzo śmiały koncept.

Oceniając po obecnej minie Freislera, aż nazbyt śmiały. Znajdujemy się w jego gabinecie, a na biurku między nami leżą moje szkice oraz ogólne założenia projektu. Trwająca kilka tygodni choroba sprawiła, że wciąż jestem słaby i mam problemy z zebraniem myśli. Być może moja twarz również nosi jej ślady, gdyż Freisler co pewien czas zerka na mnie badawczo. A może stara się oszalać, czy nie oszalałem?

Przyciągam do siebie kartki i stukam palcem w kolejne rysunki. Zaczynam tłumaczyć.

- Dzięki takiemu projektowi szafotu egzekucja mogłaby przebiegać w bardzo szybkim tempie.

- Wskazuję na prosty, techniczny rysunek zapadni oraz mechanizmu jej otwierania. - Skazaniec nie byłby narażony na długotrwały stres, a śmierć nadchodziłaby niemal błyskawicznie.

- Błyskawicznie? - Freisler łypie na mnie spode łba. To określenie chyba wcale mu się nie podoba. - Chodzi o długość liny?

- O ciężar własny - wyjaśniam. - Więzień, wchodząc po schodkach, zwiększałby przyszłą siłę ciężenia. Nie wiem, czy używam właściwych określeń fizycznych, nie jestem naukowcem, ale znam się na wykonywaniu egzekucji.

- I jest pan pewny, że to zaoszczędziłoby czas?

- Tak. Na niczym mi bardziej nie zależy.

- Słyszałem o pańskich wyjątkowych osiągnięciach.

Przez moment zastanawiam się, czy Freisler nie kpi z nieudanej egzekucji, lecz zdaje się, że mówi to całkowicie poważnie.

- W tym przypadku można się wysilić na rozbudowanie szafotu tak, by jednocześnie pozbawiać życia kilku skazańców. Ich liczba zależałaby tylko od liczby stanowisk, że tak je określe.

- Jednoczesny wyrok na wielu osobach...

Ta koncepcja przykuwa uwagę Freislera, lecz po chwili minister przeciąga się i kręci głową. Odsuwa rysunki, jakby właśnie postanowił, że moje plany nie mają szansy wejść w życie. Cicho mlaska, wyciąga z biurka butelkę brandy i nalewa ją do dwóch szklanek. Nie zamierzam nawet tknąć swojej.

- Coś panu powiem, panie Reichhart - odzywa się po chwili. Przepłukuje usta alkoholem, ponownie mlaska i łypie na mnie spode łba. - Szubienice to wynalazek brytyjski. My, w Rzeszy, zawsze mieliśmy katów ścinających głowy mieczem, a od stu lat używamy gilotyny.

- Gilotyna to nie jest niemiecki wynalazek - wtrącam ponuro. - O ile pochodzenie sposobu wykonywania egzekucji ma jakiegokolwiek znaczenie.

- Może ma, może nie. Nie mnie o tym decydować, lecz wiem, jakie zdanie w tym temacie ma Führer.

- Przecież w niektórych więzieniach...

Freisler natychmiast mi przerywa.

- Szubienica to wyjątek. Przynajmniej na ten moment. Dziękuję za zaangażowanie, ale szkoda pańskiego czasu na walkę z wiatrakami. Proszę pomyśleć o ewentualnych modyfikacjach gilotyny.

Posłuchanie jest skończone. Bez słowa zbieram swoje rysunki, pakuję je do teczki i opuszczam gabinet. Czuję rozczarowanie. Podświadomość jednak usilnie mi podpowiada, że czasy szubienicy jeszcze nadejdą. Być może szybciej, niż się komukolwiek zdaje<sup>3</sup>.

---

3 Do 1944 r. Reichhart wykonał około 50 wyroków przez powieszenie. Część z nich na swoją prośbę, lecz jego projekt szubienicy został definitywnie odrzucony przez Ministerstwo Sprawiedliwości Rzeszy.

## 58.

Szafot mojego projektu sprawdziłby się doskonale. Nie rozumiem oporu władz, lecz posłusznie upewniam się, że wszystkie elementy gilotyny działają. Nie mogę popełnić błędu. Gołą dłońią przesuвам po drewnianych krawędziach, stwierdzając, że znikąd nie sterczy ani jedna drzazga, że ani jedno miejsce nie jest zdeformowane, zbutwiałe lub przetarte.

W uszach wydzwania mi potrząsany przez naczelnika dzwon. Kolejni skazańcy wprowadzani są do pomieszczenia straceń, a ja działam automatycznie. Mam wykonać cztery egzekucje z rzędu. Krew obryzguje mi buty, lecz nie robię nawet chwili przerwy. Z satysfakcją spoglądam na naczelnika, którego ręka najwyraźniej drętwieje. Pociąga za sznur coraz wolniej i mniej regularnie.

Mój asystent wyrzuca z koszy kolejne głowy. Ciała trafiają do skrzyń i są odtransportowane do przywiezionej kostnicy. Nie popełniamy żadnego błędu, a mimo to przy pierwszych trzech skazańcach nie udaje mi się zejść poniżej trzydziestu sekund. Przypatruję się, jak mój pomocnik rozpina skórzane pasy i przenosi na łóżko kolejne ciało. Drugi asystent układa obok niego głowę. We włosy wciąż wplątane są trociny, które przywarły także do ust oraz w okolicach nosa. Ktoś później powinien się nimi zająć. Ale teraz nie ma na to czasu.

Rutynowo sprawdzamy, czy pasy oraz klamry nie zostały uszkodzone lub naderwane. Wszystko jest z nimi w porządku, więc daję znać, że można wprowadzić czwartego, ostatniego skazańca. Robiąc krok, słyszę lepkie cmoknięcie. To dźwięk wydawany wówczas, gdy podeszwa mojego buta odrywa się od zakrwawionego podłoża. Zostanie starte dopiero po zakończeniu wszystkich egzekucji, więc muszę uważać, by się nie poślizgnąć.

Niczym automat staję na baczność, gdy sędzia wygłasza swoją formułkę, poprawiam cylinder, włączam stoper i kładę dłoń na kołowrocie. Na rękawicze dostrzegam kilka kropli krwi. Jeśli spróbuję je zetrzeć, jedynie je rozmażę. Mimo to czuję narastającą irytację, jakby ten brud mnie naznaczył. Bzdury.

Jeden z asystentów ściąga pas i popycha stelaż, a drugi już jest gotów, by zasłonić skazańcowi oczy. Jak dotąd egzekucja odbywa się bardzo sprawnie, lecz wiem, że znów wszystko będzie trwało około trzydziestu sekund. To zbyt wiele. Skazaniec wyrywa się i usiłuje coś krzyknąć. Czasem nachodzi mnie myśl, że więźniowie powinni być zakneblowani, lecz przecież to również pochłonęłoby czas.

„Bóg mnie ocalił”. W uszach ponownie skowyczą mi tamte słowa. Jednak tym razem, po raz czwarty tego dnia, wszystko idzie zgodnie z planem. Głowa skazańca wpada do kosza, a ja zerkam na stoper. Tak jak się spodziewałem. Trzydzieści jeden sekund.

Ale...

Wtem przychodzi olśnienie.

Mam wrażenie, jakby moment pozbawienia skazańców życia był tym, kiedy udaje mi się wymyślać całkowicie nowe idee. Jakby ich siły vitalne albo jakieś niezwykle tchnienie umysłu przeskakiwało do mojego mózgu.

Muszę tylko ponownie upewnić się, że w kwestii, którą chcę poruszyć, przepisy zostawiają mi pełną swobodę. A jeśli nie... Poproszę, aby je zmieniono.

## 59.

Wszystko odbyło się bez zbytnich komplikacji. Ponoć mój pomysł nie wymaga żadnych zmian w procedurach, więc mogłem go natychmiast wdrożyć w życie. Niezbędne okazało się jednak zatrudnienie jeszcze jednego asystenta. Poszukiwania zajęły mi dwa tygodnie, po których urządziłem krótkie szkolenie. Pomocnik nie musiał być bystry, ale trzeźwy, schludny i silny. Dokładnie takiego udało mi się znaleźć.

- Wszystko jasne? - pytam po raz ostatni. - Umiecie zgrać swoje ruchy?

Dwóch wężaczy i tęgi, gładko ogolony młokos kiwają głowami. We trzech powaliliby największego byka, co wydaje się bardzo istotne.

- Musicie działać wspólnie - ciągnę, powtarzając to po raz setny. - Brak koordynacji spowoduje, że egzekucja zamieni się w rzeźnię. Nie potrzebuję zamieszania.

- Oczywiście - przytakuje jeden z wężaczy.

- Tak - zgadza się młokos.

- Mhm - dodaje trzeci mężczyzna.

Ćwiczyliśmy to kilkukrotnie na workach z piaskiem, ale i tak wciąż mam obawy. Zawsze denerwuję się powodzeniem swoich pomysłów. Tym bardziej że wdrażam je w życie na prawdziwym człowieku. Takim, który po kilkudziesięciu sekundach ma umrzeć, ale zawsze...

- Najważniejsze jest zaskoczenie. - O tym również mówiłem, lecz mam wrażenie, że tym mężczyznom wszystko warto powtórzyć o raz za wiele niż zbyt rzadko. - Jeśli zadziałacie błyskawicznie, więzień nawet się nie zorientuje, co się z nim dzieje. Wasze zachowanie musi przypominać taniec. Każda figura odpowiada ruchom partnera. Rozumiecie?

Ponownie słyszę aprobatę wygraną na trzy głosy. Nie ma w nich jednak pewności siebie ani całkowitego przekonania. Trudno.

Chwilę później wkraczamy do sali straceń i rozpoczyna się przedstawienie. Wszyscy zajmują ustalone z góry pozycje. Ćwiczebnie naznaczyłem je na podłodze kredą, której ślady wciąż są widoczne.

- Taniec, taniec... - powtarzam szeptem, włączając jednocześnie stoper.

Skazaniec jest już wprowadzany i kierowany ku gilotynie. Gdy mija moich asystentów, dwóch z nich chwyta go pod ramiona. Robią to nawet zbyt mocno, tak że niemal go podrzucają. Skazaniec, zgodnie z moimi przypuszczeniami, jest całkowicie otumaniony. Nie stawia żadnego oporu.

Postanowiłem nie tylko ominąć etap mocowania więźnia do pionowego stelaża, ale również wiązania pasów. Właśnie do tego potrzebna mi była nieustanna asysta dodatkowego człowieka. Zaskoczenie może nie wystarczyć i skazaniec w każdej chwili może próbować się wyrwać. To miałyby fatalne skutki.

Jednak moi pomocnicy wykonują kolejne kroki tańca wzorowo. W umyśle rozbrzmiewa mi jakaś melodia, którą zasłyszałem bardzo dawno temu. Obserwuję, jak mężczyzna jest kładziony na ławeczce, a trzeci asystent opuszcza deskę blokującą jego kark. Wtedy błyskawicznie przesuwają się, by zasłonić oczy więźnia. To przedostatni etap przedstawienia. Jego ukoronowaniem jest zwolnienie przeze mnie blokady ostrza.

Głowa skazańca zostaje odcięta, nim ten na dobre zorientował się, co się z nim dzieje. Czas stop!

Wszystko trwało siedemnaście sekund. Z ogromnym wysiłkiem powstrzymuję wybuch entuzjazmu. Brak wiązania pasów pozwolił zaoszczędzić równie dziesięć sekund. Takiego rezultatu nie spodziewałem się w najśmielszych przypuszczeniach.

- Właśnie stworzyliśmy historię - oznajmiam sentencjonalnie.

Dopiero po chwili dociera do mnie dwuznaczność tego stwierdzenia.

## 60.

Czas.

Nie ma nic ważniejszego od czasu. Nie można zatrzymać jego upływu ani zmienić jego tempa. Przynajmniej abstrahując od skomplikowanych rozważań fizyki kwantowej... Obsesyjnie co rusz zerkam na zegarek. W kolejce w sklepie, w trakcie spaceru, czytając w domu książkę.

Mam coraz więcej zleceń. Wojna z dnia na dzień jest bardziej odczuwalna, nie tylko z powodu braku towarów na półkach oraz odległych syren informujących o nalotach bombowych, ale również liczbą straceń. Zdradcy, kolaboranci, agitatorzy i defetyści. Fałszerze towarów oraz pieniędzy. Osoby defraudujące fundusze na zbrojenia i na pomoc mieszkańcom Rzeszy. To kategorie skazańców, które pojawiły się w ostatnich miesiącach. Jednocześnie, w związku z natłokiem pracy, zatarły się właściwości okręgów egzekucyjnych. Jeśli jest taka potrzeba, jadę do Hamburga lub Szczecina. Czasem nawet dalej.

Czas jest istotny. W więzieniach zawiązywane są spiski i istnieje ciągłe zagrożenie próbami dywersji lub uwolnienia niektórych skazańców. Nastąpiła epoka chaosu. Choć wszyscy usiłują się zachowywać tak jak dawniej, już nikt nad tym nie panuje.

Armia niemiecka zaczęła się cofać. Utraciliśmy Afrykę, a do tego wciąż powtarza się gadka o niebezpieczeństwie desantu we Francji. Coraz starsi mężczyźni trafiają na front lub do służby na zapleczu. Gdybym nie był potrzebny na swoim stanowisku, zapewne też skierowano by mnie na wschód. Jednak ja tutaj, na swoim odcinku walki, również otrzymałem konkretne wytyczne i rozkazy.

Przynajmniej czas wykonania egzekucji nie jest już znaczący. Zamiana skórzanych pasów na siłę mięśni asystentów przyniosła wspaniałe efekty. Nawet jeśli nie wykonuję wyroków jednocześnie, dziennie jestem w stanie pozbawić życia kilkadziesiąt osób. Pozostaje kwestia przejazdów. Brzmi to niczym wyznanie tragarza nienadążającego za zleceniami, lecz to porównanie zasadniczo odpowiada rzeczywistości.

Zmodyfikowałem gilotynę tak, by składać i rozbierać ją jeszcze szybciej. W opłu przygotowałem specjalne przegródki, dzięki którym załadowanie kolejnych części na pakę trwa ledwie kilka minut. Ale prawdziwym przełomem jest mój ostatni patent. Zgodny z wszelkimi wymaganiami prawa, poręczny i praktyczny.

Aby go opracować, potrzebowałem pomocy dwóch stolarzy oraz emerytowanego bednarza. Teraz wszystko jest już przygotowane.

Spoglądam na gotową drewnianą komorę straceń. Tak nazwałem gilotynę, której nie trzeba demontować, a jedynym elementem wymagającym wstawienia jest ostrze. To należy dobrać do konkretnego skazańca, więc musiało pozostać wymienne. Poza tym cała konstrukcja mieści się na przyczepie opla i dwóch ludzi wystarczy, aby ją przenieść w dowolny kąt więzienia. Zmieści się we wszystkich drzwiach oraz wąskich korytarzach.

Zadowolony zacieram dłonie. Czas. Zaoszczędziłem kolejne minuty życia. Teraz będę mógł działać jeszcze wydajniej i jeszcze szybciej. Tym właśnie jest profesjonalizm. Z szacunku dla śmierci nie mogę się nigdy spóźnić. Z szacunku dla więźniów nie mogę pozwolić, by w niepewności czekali na mnie zbyt długo.

## 61.

- Wie pan, co zrobił ten człowiek?



Jeden ze strażników chwyta mnie za rękę po tym, jak zrzuciłem rękawiczki i opuszczam salę straceń. Moi asystenci właśnie przynoszą ciało skazańca na ruchome łóżko. Sędzia oraz prokurator dopełniają formalności, a duchowny mamrocze słowa modlitwy.

– Nie – odpowiadam. – I prawdę powiedziawszy, w ogóle mnie to nie interesuje.

– Jest pan pewny? Nigdy pan nie ma wyrzutów sumienia?

Zatrzymuję się i zerkam prosto w oczy strażnika. To około trzydziestoletni mężczyzna o bardzo delikatnych, niemal kobiecych rysach, mocno zarysowanych kościach policzkowych, małym nosie i smutnym spojrzeniu. Natychmiast spuszcza wzrok.

– Nie mam wyrzutów sumienia, o ile nie wnikam w to, czyją egzekucję przeprowadziłem i z jakiego powodu.

– Ale...

Nie daję mu sobie przerwać.

– Pan najwyraźniej ma wyrzuty sumienia, choć również tylko wykonywał swoje obowiązki. Nadzorował pan całą salę straceń, upewniał się, że nie popełni on samobójstwa i że inni więźniowie go nie zabiją. Pilnował pan również, by nie uciekł i by nie zrobił jakiegось głupstwa.

Strażnik przygryza wargę. Kiwa głową, jakby moje słowa waliły go niczym pięści boksera. Wstydliwie, niemal bojaźliwie podnosi wzrok.

– Ten biedak ukradł bochenek chleba oraz przydział wojskowego jedzenia – rzuca tonem, jakbym to ja za to odpowiadał. – Rozumie pan? Miał na utrzymaniu troje dzieci i żonę. Znałem go od lat i pamiętam, gdy choroba sprawiła, że nie mógł się normalnie poruszać.

Rzeczywiście egzekucja była o tyle nietypowa, że skazańca przywieziono na wózek inwalidzkim. Straciłem przez to ponad pół minuty.

– Inwalida, który kradnie przydział wojskowy. – Strażnik smutno się uśmiecha i z niedowierzaniem przewraca oczami. – Niewiarygodne i śmieszne.

– Ale zostało mu to udowodnione – wtrącam.

– Jak wiele kłamstw wielu innym.

– To tylko pańskie domysły, panie...

– Stretner. Thomass Stretner – przedstawia się strażnik. Zapewne jest mu wszystko jedno, czy go nie zadenuncjuję. Jak na potwierdzenie dodaje: – Ten świat nieustannie zmierza ku samozagładzie. A my jesteśmy za nią odpowiedzialni.

Odwraca się i odchodzi szybkim, nerwowym krokiem. Przez chwilę wiodę za nim spojrzeniem, wreszcie staram się wyrzucić tę sytuację z głowy. Nie mam czasu na te idiotyczne rozważania i chaos myśli. Już to przerabiałem. Zaciskam pięści, zirytowany, że ten młokos zepsuł mi dzień. Dlaczego to zrobił? Czy naprawdę musiał się podzielić swoimi domysłami i żałami z kimś obcym?

Przez moment rozważam możliwość doniesienia na niego jego przełożonym, lecz szybko ją odrzucam. Nie. To byłoby skrajnie nieuczciwe. Powinienem sam się z nim policzyć i po prostu dać mu w gębę.

Wkładam dłonie do kieszeni i kieruję się do pomieszczenia administracyjnego. Czeka w nim na mnie stos papierów, które zwyczajowo muszą wypełnić po dokonaniu egzekucji.

„Jak wiele kłamstw wielu innym” – wybrzmiewa mi w głowie. Co to w ogóle miało znaczyć? Nie powinno mnie to w ogóle interesować, lecz rzeczywiście tempo ostatnich procesów oraz odległość między wyrokami a egzekucjami budziły moje zastrzeżenia. Jednak przecież potrafię trzymać język za zębami. Dla dobra swojego oraz innych. Między innymi na tym polega moja praca.

Drań – odwracam się za strażnikiem, ale już go nie dostrzegam.

Mam ochotę splunąć z pogardą, lecz się powstrzymuję. W końcu kilkanaście metrów stąd przed chwilą umarł człowiek.

## 62.

Protokoły zawsze są takie same. Właściwie to administracyjne formularze podobne do tych wypełnianych w rozmaitych urzędach. Procedura przeprowadzenia wyroku śmierci jest długa i skomplikowana, a sama egzekucja stanowi jedynie jej istotny, lecz bardzo krótki fragment.

Po wydaniu wyroku skazańcowi zazwyczaj przysługuje odwołanie do izby wyższej instancji. Jeśli wyrok zostaje utrzymany, prawo łaski posiada kanclerz oraz prezydent Rzeszy, co właściwie sprowadza się do tego samego. Pewne możliwości ma również sędzia uczestniczący w samej egzekucji. Nigdy jednak nie spotkałem się z tym, aby z nich skorzystano. Sakramentalne: „Kacie, czyń swoją powinność” padało zawsze, ilekroć znalazłem się w sali straceń.

Nim do niej trafiam, wypełnionych zostaje jednak cały stos dokumentów. Są to protokoły z przygotowania szafotu lub gilotyny, raporty stawiennictwa i uczestnictwa w przygotowaniach do egzekucji, a w niektórych więzieniach wymaga się nawet podpisu pod dokumentem potwierdzającym brak zastrzeżeń co do identyfikacji więźnia. Ponoć to spuścizna spraw sprzed ponad wieku, gdy pod topór trafiali podstawieni ludzie w zastępstwie faktycznie skazanego. W dzisiejszych czasach czysta, zbędna formalność.

„Ten biedak ukradł bochenek chleba oraz przydziął wojskowego jedzenia”.

Słowa strażnika ozywają we mnie, gdy sięgam po protokół z przeprowadzonej egzekucji. Podpisuję go, a więzienny sekretarz natychmiast podsuwa mi załączniki. Zamieszczone są na podobnych formularzach, opieczętowanych godłem Rzeszy oraz opatrzonych podpisami odpowiednich władz.

– Ponoć wszystko poszło nadzwyczaj sprawnie? – zagaja sekretarz. – Obawialiśmy się, że z inwalidą mogą pojawić się jakieś problemy.

Nic na to nie odpowiadam. Kreślę kolejne podpisy i zatrzymuję pióro nad ostatnim z dokumentów. To rachunek za egzekucję. Stanowi jeden z elementów kary, choć właściwie jej represja nie dotyczy już skazańca, lecz jego rodziny. Przynajmniej wbrew inflacji stawki nie zmieniły się od kilku lat.

„Pod rygorem egzekucji zobowiązuje się do płatności 600 marek wynagrodzenia należnego katowi oraz 12 fenigów tytułem opłaty za znaczek pocztowy”.

Tak, rodzina skazańca musi pokryć moje wynagrodzenie, a do tego koszt listu, w którym zostanie o tym poinformowana. Państwo nie dopłaca do interesu. Można mieć co do tego zastrzeżenia, lecz w swoim założeniu to całkowicie logiczne. Choć dość często na wniosek rodzin następuje zwolnienie z tej opłaty. Podstawową przesłanką jest brak utrzymywania kontaktów ze zbrodniarzem, ale nie bieda.

„Miał na utrzymaniu troje dzieci i żonę”. Wobec tego troje dzieci i żona będą musieli zebrać dość pieniędzy, by pokryć koszty egzekucji. Takie są prawa odpowiedzialności oraz uczestniczenia w zorganizowanym świecie społeczeństw.

Choć przez chwilę drży mi dłoń, wysiłkiem woli całkowicie się uspokajam. Doszedłem w tym do perfekcji. Podpisuję rachunek, podnoszę się z krzesła i wychodzę. Mam na głowie własne życie.

## LUTY, 1943 R.

## 63.

- Dopadli tych cholernych wywrotowców.

- Na gorącym uczynku. Złapali ich niemal za rękę.

- Ale nie wszystkich, podobno kilkoro uciekło.

- Spokojnie, pozostali na pewno wysypią ich imiona i nazwiska. Gestapo umie przesłuchiwać.

- W to nikt nie wątpi, ale ci mogą być już w Szwajcarii...

- Dlatego powinniśmy wkroczyć do tego cholernego państwka i zrobić kolejny Anschluss.

Przysłuchuję się wymianie zdań prowadzonej przy stoliku obok. Siedzę jak zwykle sam, z kuflem rozwodnionego na moją prośbę piwa. Sączę je łyk po łyku, wspominając ostatniego skazańca. Nie potrafię sobie przypomnieć jego twarzy, lecz pamiętam o wózku oraz o przywiezionych na nim drewnianych kulach. Jakby spodziewano się, że mogą mu się do czegoś jeszcze przydać. Mam nadzieję, że teraz przynajmniej trafiły do jakiegoś weterana.

- Mówią, że to woźny uniwersytetu monachijskiego przyłapał przywódczynię całego ruchu. W torebce miała setki ulotek wzywających do obalenia władz... Jej chłopak, czy tam brat, chował je w gaciach. Najpierw przesłuchiwał ich rektor, a potem przekazano ich władzom państwowym.

Mężczyźni najwyraźniej komentują jakieś najnowsze wydarzenia. Dwóch z nich co chwile podnosi gazetę i uderza palcem, wskazując na jedną z rubryk. Są podchmieleni i pobudzeni.

- To jej zdjęcie? - dopytuje przygarbiony brodac. - Pokażcie no! - Sięga po okulary schowane w kieszonce na piersi i zakłada je na nos. Przez kilka sekund bacznie przypatruje się gazecie. - Że też tak pięknej główce zachciało się zostać wywrotowcem.

- Biała Róża! - dorzuca jego łysiejący kompan. - Tak nazwali swoją organizację. Myśleli, że to dziecinna zabawa... A teraz ich sprawę rozpatrzy Volksgerichtshof <sup>4</sup>.

- W takim razie już po nich. I dobrze.

- Trzeba upuszczać z narodu zatrutej krwi.

Mężczyźni stukają się kufkami, szkło brzęka, po ich brodach cieknie piwo, a z ust nie znikają uśmiechy. Siedzą w tej knajpie od południa i wychodzą późno w nocy. Gdyby nie ostatnie zarządzenia władz, zapewne przesiadywaliby w niej do samego rana. O dziwo nie mają zamiaru protestować ani się spierać. Po prostu dostosowali swój tryb życia do nowych okoliczności.

Dokładnie tak jak ja - przychodzi mi na myśl.

Dopijam piwo i odsuwam kufel. Zerkam za okno, ale w szybie odbija się wnętrze izby. Jest już późny wieczór, a w ogromnym piecu rozpalono ogień. Jego czerwone światło pada na ściany, rzucając tu i ówdzie powykręcane upiorne cienie.

- Kiedy wyłapiemy ich wszystkich, Rzesza nabierze drugiego oddechu - rzuca brodac. - Potrzebujemy wewnętrznej czystki tak jak w trzydziestym czwartym.

- Führer chciał wtedy rozliczyć się ze wszystkimi zdrajcami, ale go powstrzymano.

- Ponoć było zbyt mało katów, a do tego nie wszyscy chcieli współpracować z nowymi władzami.

Dwóch mężczyzn rzuca na mnie ukradkowe spojrzenia. Dostrzegając, że patrzę w ich stronę, natychmiast się odwracają. Mimo to już zepsuli mi wieczór. Podnoszę się od stolika i podchodzę w ich stronę. Zaskoczeni nagle milkną.

Sięgam po gazetę leżącą na zachłapanym piwem stole i zerkam na zdjęcie ładnej, młodziutkiej dziewczyny. Przypatruję się mu, po czym bez słowa ruszam do wyjścia.

Los. Życiem nas wszystkich kieruje los. W innym świecie ta dziewczyna mogłaby osiągnąć naprawdę wiele. A tak? Czy miała jakkolwiek wybór? Los zdecydował za nią.

---

<sup>4</sup> Nazistowski Trybunał Ludowy.

## 64.

– Będziesz miał do czynienia z tymi cholernymi dywersantami.

Te słowa uderzają mnie po twarzy niczym wymierzony z całej siły policzek. Prokurator klepie mnie po ramieniu, jakby wysyłał mnie na śmierć. W ten sam sposób w okopach Verdun klepali gońców oficerowie. Na to skojarzenie przed oczyma staje mi Strumpf, żywy, a potem umarły. Psia mać.

– Dywersantami? Kogo ma pan na myśli?

Prokurator podnosi wizjer i daje znać, bym podszedł do drzwi. Zerkam do celi. Zgodnie z tym, czego się spodziewałem, w środku widzę uroczą dziewczynę ze zdjęcia, a oprócz niej dwóch mężczyzn. Od kilku dni mówi o nich większość miasta.

Sophie i Hans Schollowie są rodzeństwem. W Hansie, poza imieniem, dostrzegam jeszcze więcej cech wspólnych z moim synem. Niech to szlag. Co za parszywa myśl. Te błękitne oczy o dumnym spojrzeniu, wysokie czoło i kształtne usta...

Dość. Zaciskam pięść i biorę głęboki oddech. Odchodzę od drzwi, starając się skupić uwagę na ostrzu, jakiego powinienem użyć. Najlepiej, aby było dopasowane do całej trójki. Tego trzeciego ledwie odnotowałem. Zdaje się, że nazywa się Christoph Probst, choć gazety o tym nie wspominają. Zaskakujące, jak wielkiego rozgłosu nabrała ta sprawa. Ludzie wypowiadają się o tej trójce dywersantów z pozorowaną złością, lecz w rzeczywistości w słowach wielu z nich można wyczuć swoiste uznanie, a nawet szacunek.

– Wystarczy pięćdziesiąt kilogramów – rzucam do asystenta. – Wszyscy to chuchra. Niedożywni studenci...

Kolejne minuty mijają błyskawicznie. Wiem, że właśnie zapisuję się w historii inaczej, niż bym chciał. Kronikarze nie napiszą o tym, że Johann Reichhart wykonał między innymi wyrok na rodzeństwie Schollów, lecz to ja pojawię się jako drobna wzmianka w ich biografii. Chyba że sprawy potoczą się inaczej, niż wszyscy się teraz spodziewają. Tej ostatniej myśli nie wyrażam nawet wprost.

Słowa duchownego i sędziego wybrzmiewają gdzieś w oddali, jakbym znajdował się głęboko pod wodą. Słyszę je, lecz stanowią jedynie serię dźwięków. Swoje obowiązki wykonuję z mechaniczną obojętnością, choć myśli dosłownie się we mnie kotłują.

Jako pierwszy do sali wkracza Probst. Boi się, wlecze nogą za nogę, ale stara się trzymać głowę wysoko. Nasze spojrzenia spotykają się tylko na moment. W jego wzroku widzę tę rewolucyjną determinację właściwą jednostkom opętanym politycznym szaleństwem. Uśmiecha się nerwowo, usiłując nadać twarzy wyraz pogardy. Bliżej mu jednak do płaczu, który z trudem powstrzymuje. Ma ledwie dwadzieścia lat. Mógłby wieść dobre życie, o ile nie skierowano by go lada miesiąc na front. Tam czekałaby go śmierć gorsza niż na gilotynie.

Umiera w milczeniu, bez manifestów, a jego głowa wpada do kosza trocin z żalnym szmerem. Dwadzieścia jeden sekund – odnotowuję ponuro.

Bezpośrednio po Probscie do sali wprowadzony zostaje Hans Scholl i znów do głowy wraca mi skojarzenie z moim synem. Odwracam wzrok i wstrzymuję oddech. Staram się skupić uwagę na czymkolwiek innym. Na rękawiczkach, na smudze krwi na podłodze, wreszcie na ostrzu, które zostało otarte jedwabną szmatką.

Mimo że moi asystenci dopadają do Scholla z właściwą sobie sprawnością i siłą, ten nie wydaje się w ogóle zaskoczony. Pozwala się im prowadzić, lecz nie zachowuje się bezwładnie. Nawet

w tym cholernym momencie jest w nim jakaś godność. Uśmiecha się? Zdaje mi się, że widziałem na jego twarzy uśmiech.

Kładę dłoń na kołowrocie, a mój pomocnik zaślania mu oczy.

– Niech żyje wolność! – Ten krzyk rozbrzmiewa w pomieszczeniu jeszcze chwilę po tym, gdy głowa Scholla trafia do kubła.

Tym razem zapominam zatrzymać stoper.

## 65.

Mój Boże, jaka ona młoda i delikatna.

Sophie Scholl wkracza do sali powoli, dumna i poważna. Obrzuca wzrokiem gilotynę, lecz zaraz przenosi spojrzenie na sędziego, a potem na mnie. Lustruje mnie przez chwilę tak, że po raz pierwszy od lat pod spojrzeniem skazańca czuję się nieswojo. Dopiero zabiłem jej brata i najlepszego przyjaciela.

Zabiłem. Zrobiłem coś więcej, niż wykonałem wyrok. Nigdy nie stwierdziłem tego tak dobitnie i otwarcie. Wuj Franz powtarzał, abym nigdy tego nie robił.

„W przeciwnym razie zabiją cię własne wyrzuty sumienia” – mawiał. A pamiętacie chyba, że jego każde słowo było niezwykle cenne i przemyślane.

Zabiłem ich. A teraz zabiję tę drobną dziewczynę, która mogłaby zawrócić w głowie każdemu mężczyźnie. Biją od niej niezwykła pewność siebie i energia. Nie jest jakąś tam paniusią, jedną z wielu w szarym szeregu nijakości. W każdym, nawet największym tłumie musiała zwracać na siebie uwagę.

Uśmiecha się, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Odrząca dłoń strażnika i rzuca jakieś ostre słowa do duchownego. Sama, bez pomocy ludzi i Boga kieruje się w stronę gilotyny. Machnięciem dłoni powstrzymuje moich asystentów. Ci wielcy jak góra mężczyźni pozwalają sobą rządzić, dopasowują się do jej rozkazów niczym sfera psów. Wiodą za nią otumanionymi spojrzeniami.

Wiem, że władze więzienia oczekują ode mnie działania. Powinienem teraz nakazać asystentom doprowadzenie tej kobiety, ale ja również stoję niczym urzeczony. Bez słowa obserwuję, jak podchodzi do gilotyny i siada na drewnianym stelażu. Rzuca mi kolejne pogardliwe spojrzenie.

Sędzia nie wypowiada swojej świętej formułki. Milczy, gdy dziewczyna sama układa się na desce, do której powinni przyciskać ją moi pomocnicy. Dumny uśmieszek nie znika z jej twarzy, nawet gdy zerka do góry, na zawieszzone ponad nią ostrze.

– Skończmy tę farsę.

Jej słowa wybrzmiewają z jakąś niezwykłą siłą. Wibrują, wnikają w umysł i rozsadzają go. Przyprowadzają mnie o dreszcze i obłęd. Do tego ten uśmieszek.

Scholl kładzie się pod ostrzem i poprawia przycięte krótko włosy.

– Chyba położyłam się właściwie? – pyta drwiąco. – No, dalej!

Zwalniam blokadę i zdaję sobie sprawę, że wokół panuje całkowita cisza. Nawet naczelnik nie pociąga za sznur dzwonka. Stoi na uboczu ze zwieszoną głową, jakby ukrywał łzy<sup>5</sup>.

---

<sup>5</sup> Reichhart do końca życia wielokrotnie powtarzał, że nigdy nie spotkał nikogo, kto umierałby równie odważnie jak Sophie Scholl.

## 22 PAŹDZIERNIKA 1943 R.

### 66.

– Przecież to obłąd. – Rzucam plik kartek na biurko naczelnika. Ten elegancki mężczyzna z monoklem w lewym oku i widoczną dewizką zegarka wsuniętego do wewnętrznej kieszeni marynarki przypomina kogoś, kto miał swoje wtyki jeszcze w rządzie Bismarcka. Tego obrazu dopełniają bujny, sumiasty wąs oraz krótkie bokobrody. – Czytał pan to?

– Co to jest?

– Jak sądzę, otrzymałem to przez przypadek. W kopercie z wezwaniem do wykonania egzekucji.

– Przypadek? – Naczelnik przyciąga do siebie dokumenty i ostentacyjnie wzdycha. Zaczyna je przerzucać, chwytając kartki samymi opuszkami palców, jakby się ich brzydził. – To wyrok wraz ze skróconym uzasadnieniem.

– Człowieka, którego egzekucję mam wykonać dzisiaj po południu.

– Max Heindl... – odczytuje naczelnik. – Po co mi to pan pokazuje? To w ogóle nie powinno mnie interesować.

– Mnie też.

Nagle zdaje sobie sprawę, że stawiam naczelnika w sytuacji, w której niegdyś postawił mnie jeden ze strażników. W machinie systemu nikt nie chce wiedzieć nic ponadto, co jest całkowicie niezbędne, by mógł wykonywać swoje obowiązki.

– Przepraszam... – Staję na baczność w służbowej pozycji. Łokciem prawej ręki przyciskam do boku białe rękawiczki. – Popeliłem błąd. Po prostu... Nie wiedziałem, komu mógłbym to pokazać.

– Najlepiej nikomu. A jeśli chce mieć pan kłopoty, może pan porozmawiać o tym wyroku z sędzią.

– Nie...

– I to jedyne słuszne wyjście.

Naczelnik poprawia się w fotelu i gładzi bokobrody. Zerka na mnie spođe łba.

– Tyle że naszła mnie pewna myśl. – Nie wiem, dlaczego wypowiadam ją na głos. – Może te dokumenty nie trafiły do mnie przypadkowo? Może to nowa praktyka polegająca na tym, by kat wiedział, na kim wykonuje egzekucję?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Właściwie chyba tylko to chciałem usłyszeć. Miałem mocne podejrzenia, lecz nie wiem, jaki byłby sens takiego działania. Poszerzenie kręgu osób świadomych sprawności aparatu państwowego Trzeciej Rzeszy? Lękających się go? Wówczas wystarczyłoby uczynić rozprawy całkowicie jawnymi, a nie tę jawność nieustannie ograniczać.

– Dziękuję – oznajmiam oschle i kieruję się do wyjścia. – Stawię się na czas. Moi asystenci są już gotowi.

Bez słowa komentarza wykonamy egzekucję na Maxie Heindlu, oskarżonym i skazanym za to, że w rozmowie z kochanką wyraził wątpliwość co do sukcesu Rzeszy na froncie. „Obawiam się, że nasze wojska na wschodzie trafi szlag”. Użył dokładnie tych słów. A teraz musi zginąć.

### 67.

Ostentacyjnie zrzuca rękawiczki na ziemię i bez słowa wychodzę. Słyszę, że moi asystenci uwijają się przy zwłokach, a sędzia odczytuje protokół. Do sali wchodzi lekarz i obrzucamy się badawczymi spojrzzeniami. Wymieniamy zdawkowe ukłony.

Szybkim krokiem przemierzam kolejne korytarze, mijam strażę oraz posterunki i wreszcie wychodzę na zewnętrzny dziedziniec więzienia. Moja ciężarówka stoi obok bocznego wjazdu. Na wieżyczkach prężą się uzbrojeni strażnicy, a gdzieś tam w popołudniowym słońcu błyska lufa ciężkiego karabinu maszynowego. Zwoje drutu kolczastego wiją się ponad pierścieniem wysokich na sześć metrów murów. Tak wyglądają współczesne twierdze. Twierdze, które nie służą obronie zamkniętych w nich osób, ale temu, by nigdy nie udało się im uciec.

Ten widok mnie przytłacza. Na ziemi leżą żółte liście opadłe z jedyne, niewielkiego drzewa rosnącego przy murze głównego budynku więzienia. Jesienny wiatr niesie je tak, że żałośnie szeleszczą. Czterdzieści lat temu zbierałem takie liście i suszyłem w rozmaitych książkach. Do tej pory tkwią zapomniane w zbiorach bajek i baśni, które chciałem przekazać swoim wnukom. Może nigdy ich nie doczekam.

Z boku rzuca się na mnie potężny owczarek. Jego zęby kłapią tuż obok mojej ręki. Odskakuję, lecz trzymający go strażak ściąga psa w ostatniej chwili. Zna mnie i przepraszająco unosi dłoń. Karci owczarka, który przecież tylko wykonał właśnie swoją robotę. Tak jak my wszyscy.

Gdzie są teraz moi synowie? Gdzie jest żona? Od kilku tygodni nie wymieniliśmy żadnego listu. Jedyne Hans zameldował o tym, że się wyprowadzili z dotychczasowego mieszkania. Ponoć Monachium stało się zbyt niebezpiecznym miejscem, aby w nim przebywać. Dotarli do niego kolejne fale amerykańskich nalotów. To była dobra wieść. Dzięki niej mogłem być przez jakiś czas spokojny, lecz ostatnie milczenie nazbyt się przedłużyło. A jeśli...

Nachodzą mnie ponure myśli. Aby je uciąć, zaciskam z całej siły pięści i kieruję się do opla. Za chwilę moi asystenci powinni pojawić się z gilotyną. Wrzucimy ją na pakę i pojedziemy dalej. Czeka nas przecież wiele pracy. A potem...

Nie myślę o przyszłości. Nie wiem, co będzie za tydzień albo za dwa. Nie zastanawiam się nad tym, tak samo jak nie zastanawiam się nad tym, co będzie po śmierci. Czy w ogóle jest sens myśleć o tym, co od nas nie zależy? Nie sędzę. Dlatego nigdy nie rozumiałem religijności swojej matki. Być dobrym człowiekiem, wypełniać przykazania – to jeszcze mieści się w mojej percepcji, ale wiara? Wiara jest dla mnie pojęciem abstrakcyjnym. Wierzę w to, co widzę.

A bardzo często widzę śmierć.

## **21 LIPCA 1944 R. 68.**

„Pewna bardzo mała grupa wyjątkowo ambitnych, pozbawionych skrupułów, głupich oficerów o zbrodniczych zamiarach uknuła spisek, mający na celu usunięcie mnie, a wraz ze mną praktycznie całego sztabu niemieckiego kierownictwa Wehrmachtu”.

Kolejny raz z radia niesie się głos kanclerza. Słuchamy tych słów z niedowierzaniem, nie do końca rozumiejąc, co się wydarzyło. Spisek? Wielokrotnie dochodziły nas słuchy o nieudanych zamachach i organizacjach spiskowych, lecz nigdy nie sformułowano tego wprost. Nigdy nie odniósł się do nich sam Hitler.

– Ponoć zginęło kilku generałów – szepcze Klaus Werner, listonosz, który zaszedł do knajpy, by się ochłodzić. Ociera chusteczką pot z czoła i jednym haustem wypija lemoniadę. On zazwyczaj ma najbardziej rzetelne wiadomości. Rozmawia z mieszkańcami, którzy ufają w jego dyskrecję. Po

okolicy chodzi dowcip, że o zdradach i innych grzeszkach wie nawet więcej niż ksiądz w parafii. Pewnie to prawda.

– Przynajmniej mamy dowód, że Hitler przeżył – rzuca gospodarz zza lady, po czym formalnym tonem dodaje: – Na całe szczęście!

– Tak, na całe szczęście – mamrocze grupka pijaczków siedzących przy oknie.

Jak na zawołanie od dalszego stolika podnosi się dwóch lekko podchmielonych mimo wczesnej pory gestapowców. Strzelają obcasami i zaczynają intonować hymn.

Kolejni goście niechętnie, zwlekając, również wstają. Po chwili cała gospoda dosłownie pęka od patriotycznego uniesienia. Można by je skraplać i przelewać do szklanek.

Ja stoję wyprostowany, z kapeluszem pod ramieniem, ale nie zamierzam śpiewać. Wszystko ma swoje granice. Reguły są po to, aby ich przestrzegać, lecz nie można robić z nich absurdu.

Gdy wszyscy siadają, kładę na stół parę monet i banknot, po czym ruszam do wyjścia.

– Johann! – krzyczy za mną Werner. – Zaczekaj.

Zwalniam kroku i pozwalam się dogonić listonoszowi. Razem wychodzimy na zlaną słońcem ulicę. W tym małym podgórskim miasteczku życie toczy się normalnie. Jakby wojna w ogóle nie miała miejsca. Przypominają o niej jedynie porozwieszane tu i ówdzie plakaty oraz okresowe pustki na sklepowych półkach.

– Tak? – Zatrzymuję się i odwracam do Wernera. – O co chodzi?

– Pani Lubnauer...

Te dwa wypowiedziane półszepem słowa mają mi dać do zrozumienia, że chodzi o coś poufnego. Mąż pani Lubnauer przed rokiem zaginął na froncie wschodnim, a ona słucha angielskiego radia. Ma nadzieję usłyszeć jakiś komunikat o jego jednostce, choć przerodziło się to zapewne w nielegalną obsesję. To tajemnica poliszynela, o której nie wie chyba jedynie Gestapo. W przeciwnym razie Lubnauer już dawno siedziałaby w areszcie.

– Powiedziała mi, że podobno już wsadzono do więzień kilkaset osób. – Listonosz zagryza usta, po czym dodaje: – Rozumiesz, Johann? Kilkanaście godzin i kilkaset osób. Wiesz, co się z nimi stanie?

Rozumiem jego aluzję. Zakładam kapelusz i zerkam w stronę słońca. Mrużę oczy, pozwalając promieniom przyjemnie grzać mi twarz. Po chwili ponownie spoglądam na Wernera.

– Cóż... – Wzruszam ramionami. – Dziś mamy piękną pogodę, czyż nie? Korzystajmy z niej, ile można.

## 69.

Ręce mam zdrętwiałe, a na palcach pełno odcisków. Nie zwracam już uwagi na zmęczenie, ból ani łamanie krzyża. Działam taśmowo, nie jako przedłużenie szafotu, ale jak maszyna fabryczna, która musi przewieźć określoną ilość towaru. Ślaniam się na nogach, lecz działam dalej. Dalej i dalej...

W ciągu dwóch dni przeprowadziłem czterdzieści sześć egzekucji. Musiałem zatrudnić dodatkowego asystenta, gdyż bez niego niewykonalnym było utrzymanie narzuconego tempa.

Gdy spoglądam na twarze pomocników, dostrzegam pustkę i wycieńczenie. Spływa po nich pot. W każdej innej sytuacji nakazałbym przerwanie egzekucji, by mogli doprowadzić się do porządku. Jednak tu nic nie odbywa się normalnie. W milczeniu, bez słowa, musimy wykonywać swoją robotę, choć nigdy nie przypuszczałem, że spotka mnie coś takiego. Przez pewien czas zastanawiałem się nad rezygnacją, lecz ta zakończyłaby się tym, że stanąłbym po drugiej stronie szafotu. Nazwano by mnie jednym ze spiskowców, osądzono i powieszono. *Sieg Heil!*



Wystarczy pojedynczy donos, ślad podejrzenia lub plotka, by trafić na strybek. Więzienia są pełne osób osadzonych przez Trybunał Ludowy i inne podległe mu sądy. Rozprawy odbywają się niemal bez przerwy, a oskarżonymi bywa za jednym razem po kilkadziesiąt osób. Nie mają możliwości obrony, nie mają możliwości wyrażenia skruchy. W tych sprawach wyrok może być tylko jeden.

Furia Hitlera zatacza koła sięgające najdalszych granic Rzeszy. Nie ogranicza się do ścisłego grona współpracowników von Stauffenberga. Skazywani są nieprzychylni kanclerzowi generałowie i oficerowie. Nie ma litości wobec polityków, którzy kiedykolwiek sprzeciwili się głównej linii partii. Ich sprzeciw mógł być wyrażony myślą, mową albo uczynkiem. Wystarczy przewrócenie oczami, westchnięcie lub honorowe milczenie.

Gestapo i SS mają pełne ręce roboty. Pojawiła się plotka, że jednym z oskarżonych ma być Himmler, lecz zdaje się, że jego pozycja jedynie się ugruntowała. Żelazne grono popleczników Führera jeszcze się zacieśniło i gnije w swoim własnym sosie. Na frontach nie trwa odwrót, lecz całkowita rejterada. Nad chaosem nikt nie może zapanować, bo ma miejsce to samo, co Stalin zrobił w latach trzydziestych. Skazywani są generałowie i oficerowie frontowi. Wzywa się ich do Berlina tylko po to, by obwieścić im, że kolejnego dnia mają zawisnąć.

Tymczasem oficjalne komunikaty skupiają się na jednym. Na konieczności odnowy. Kompletnie czystki i wietrzenie szeregów mają stać się okazją do uczynienia nie jednego kroku na przód, ale do odzyskania całego marszu. Na Moskwę, Londyn i Bóg jeden wie, gdzie jeszcze. Cudowna broń ponoć już dziesiątkuje naszych wrogów, ale jest tak tajna, że nikt nie słyszał o niej konkretów.

– Te egzekucje miały charakter niepokazowy – oznajmia mi sędzia wyznaczony do nadzoru nad moimi działaniami. Nigdy wcześniej nikt nie piastował takiego stanowiska. Nie do końca rozumiem jego rolę, lecz wiem, że muszę być mu posłuszny. – Jutro odbędzie się prawdziwy spektakl.

– Co ma pan na myśli? – dopytuję, spoglądając na swoje porozciągane, nieświeże rękawiczki.

– Szczegóły omówimy bezpośrednio przed egzekucją. Proszę nie szykować sznurów ani lin. Właściwy materiał zostanie dostarczony z samego rana.

– Ale...

– Żadnego „ale”, panie Reichhart.

– Mimo wszystko chciałbym się właściwie przygotować – naciskam. – Muszę opracować wszystko, by egzekucje przebiegały możliwie sprawnie.

– Jutro to nie będzie konieczne. Długa agonía więźniów będzie nawet wskazana.

Sędzia odchodzi, ucinając wszelką dyskusję.

## 70.

Po skazańcach natychmiast widać, że są oficerami. Mimo że udręczeni torturami, z cieniami na twarzach oraz zmierzwionymi włosami, trzymają się prosto i w większości dumnie. By ich upokorzyć, przebrano ich w więzienne, podarte drelichy, ich ręce są skute ciężkimi kajdanami, a przede wszystkim odmówiono im honorowej śmierci. Żaden z nich nie zostanie rozstrzelany. Trafiają prosto w moje ręce.

Wydana mi rano instrukcja jest bardzo prosta. Hitler osobiście domagał się, by spiskowcy umierali długo i w cierpieniach. Mam ich powiesić jak świnie w rzeźni. Użyto dokładnie tego sformułowania, a kiedy zapytałem, co mam dokładnie przez to rozumieć, sędzia jedynie się

uśmiechnął. Następnie zaprowadził mnie do sali straceń, którą przygotowali wybrani przez niego ludzie. Moi asystenci nie zostali dopuszczeni do tej roboty.

Teraz mrużę oczy, gdyż prosto na mnie skierowane są ogromne reflektory. Cała sala została bardzo mocno oświetlona, by ekipa filmowa mogła wykonać jak najlepsze ujęcia. Egzekucja zostanie uwieczniona na taśmie, a potem ma być pokazywana przed seansami filmowymi we wszystkich kinach. Ku przestrodze. Albo ku pamięci. Wszystko jedno.

Kolejny skazaniec zostaje wprowadzony do sali. Strażnicy popychają go brutalnie, szturchuając i kopiąc niczym odporne bydło. Gdy tylko trafia na drewniany podest, staje naprzeciw niego. Spoglądam prosto w niebieskie łagodne oczy. Oficer ma szlachetną, pociągłą twarz z mocnym podbródkiem i wysokim czołem. W kąciку ust ma ranę, ale i tak stara się uśmiechać. Przypomina mi nieco Sophie Scholl, choć jej odwadze już nikt nie dorówna. Nawet żaden z tych mężczyzn.

Wbrew całej sytuacji staram się zachowywać z szacunkiem. Tak jak uczył mnie tego wuj Franz. Wstrzymuję powietrze, gdy zakładam na szyję skazańca cienką fortepianową strunę. W tym samym momencie moi asystenci dosłownie zdzierają z niego koszulę. Rozkaz zabraniał jej rozpinania, lecz zgodnie z zaleceniem ma zostać wręcz podarta. To kolejny element pasujący do nagrywanego filmu.

Wreszcie skazaniec stoi z obnażoną piersią i pętlą na szyi. To moment, gdy wszystko zmierza do nieuchronnego końca. Jednak to, co ma się wydarzyć za chwilę, nawet mnie napawa odrazą. Mimo to nie odwracam wzroku. Nie mogę tego zrobić.

Bez słowa i okazania najmniejszej emocji obserwuję, jak moi pomocnicy przeciągają strunę przez hak przybity do pionowo umieszczonej deski. Podciągają skazańca niemal identycznie jak ubijane prosię. Struna wżyna się w jego szyję, ale nie odcina całkowicie dopływu powietrza. Mężczyzna rzeźi i charczy. Jego stopy konwulsyjnie biją w powietrzu. Twarz momentalnie robi się sinofioletowa. Wargi puchną, usta się rozwierają i ukazuje się w nich końcówka języka. Odgłos agonii jest odrażający.

Jednak to nie wszystko. Przecież bydłęta w rzeźni nie umierają w spodniach. Aby dokończyć dzieła, muszę wykonać jeszcze jeden rozkaz. To upokarzające również dla mnie, ale staram się w ogóle o tym nie myśleć.

Podchodzę do skazańca i zdieram mu spodnie. Rzucam je na ziemię, po czym odwracam się do sędziego na znak wypełnionego zadania. Ten z satysfakcją kiwa głową. Uśmiecha się w rozmarzeniu, obserwując dogorywanie powieszzonego. Jego męka trwa dwadzieścia siedem minut. Dokładnie to odnotowuję.

## 71.

Do północy wykonujemy trzydzieści sześć egzekucji, w tym dwadzieścia jeden przez powieszenie na rzeźnickim haku, a resztę na gilotynie. Pozwolono nam tylko na jedną przerwę, byśmy mogli zaczerpnąć tchu. Musieliśmy wybierać: albo bycie zdarnymi do przeprowadzenia kolejnych straceń, albo posprzątanie pomieszczenia. Wybraliśmy szybki posiłek i dziesięć minut odpoczynku dla mięśni.

Dłatego podłoga dosłownie tonęła we krwi. Brodziłem w niej niemal po kostki, gdyż okazała się zbyt gęsta dla niecki przeznaczonej jako odpływ wody. Na ziemi leżały zdarte koszule, których nikt nie wynosił, a do tego zabroniono nam zdjąć z haków ciała kilku osób. Miałem wrażenie, że wisząc od wielu godzin, nadal się dławia.

W sali brakowało okien, więc panował w niej zaduch tak wielki, że aby nie zasłabnąć, musieliśmy co rusz wychodzić na korytarz. Braliśmy kilka głębokich wdechów i wracaliśmy do roboty. Wszystko odbywało się w świetle reflektorów oraz pośród obiektywów kamer.

Przedstawienie trwało w najlepsze. Widziałem, jak operatorzy usiłują uchwycić zbliżenia obrzmiałych jak piłki, szczerbiących twarzy skazańców. Niewiele brakowało, by zdecydowali się, aby ich cierpienie podkreślono specjalnymi farbami. Słyszałem, jak o tym rozmawiali.

Nakazano nam nie usuwać głów z kosza, więc w pewnym momencie te poniewierały się po prostu po podłodze. Nikt nie panował nad tym, która powinna trafić do trumny z którymś ciałem. Wreszcie wywieziono je na zwykłej taczce jak stertę zgniłych warzyw. Podejrzewam, że w znacznej mierze szczątki skazańców zostały spalone lub trafiły do bezimiennej zbiorowej mogiły. Nie wiem jednak tego na pewno. Nie zamierzam snuć zbędnych domysłów.

Zaciskam dłonie na kierownicy blitza i pędzę do kolejnego miasta. Trybunał Ludowy działa w najlepsze w Berlinie, lecz domniemanymi spiskowcami zajmuje się wiele sądów. To szybkie procesy, których rezultaty są z góry wiadome, dlatego wezwania do przeprowadzenia egzekucji dostają jeszcze przed zapadnięciem ostatecznego wyroku. Cały plik wezwań mam wciśnięty do przegródki nesesera leżącego na siedzeniu obok mnie.

Ledwie trzymam się na nogach, zamykają mi się oczy, a zmęczone ręce drżą. Mimo że śpieszyłem się jak nigdy, przybycie na miejsce na czas graniczy z cudem. Mam dwie godziny, by pokonać dwieście kilometrów. Rozłożenie gilotyny nie może trwać dłużej niż kwadrans, a wykonanie wyroku na ośmiu skazańcach maksymalnie pół godziny. Wszystko mam obliczone co do minuty, ale i tak jestem zdenerwowany. To obłąd. To stanowczo zbyt wiele.

Mam dość.

Zatrzymuję się przed więzieniem i natychmiast kieruję się do kancelarii. Żądam kartki papieru oraz pióra. Kreślę kilka niezdatnych zdań. Moje pismo nigdy nie było tak chaotyczne i nierówne. Brak mi sił nawet, by trzymać pióro. To nie powinno wyglądać w ten sposób.

Mam dość – powtarzam w myślach.

## 72.

Moja prośba zostaje odrzucona. Ministerstwo komunikacji uznaje za niemożliwe dokonanie indywidualnego odstępstwa od ogólnie przyjętych przepisów i zezwolenie, bym poruszał się po drogach z prędkością przekraczającą osiemdziesiąt kilometrów na godzinę.

Odkładam oficjalne pismo i nerwowo bębnię palcami w blat biurka. Nie zgodzili się nawet na to! Nigdy o nic nie proszę, nie wychylam się, działam tak, jak jest mi nakazane, ale muszę mieć instrumenty, aby wypełniać kolejne polecenia. Nie jest możliwe pokonanie trasy z Wiednia do Berlina w trzy godziny. Nie jest możliwe dotarcie z Norymbergi do Drezna w trzydzieści minut. Dlaczego nie mogę zostać potraktowany priorytetowo? Czemu nie mogę mieć przywileju przekraczania prędkości? Otrzymałem od państwa cholerną ciężarówkę ze wzmocnionym silnikiem oraz zawieszeniem, ale mam ją wykorzystywać jak wóz drabiniasty.

Żeby jeszcze te ograniczenia miały sens, jednak dopuszczalna prędkość została ostatnio zmniejszona o dwadzieścia kilometrów na godzinę ze względu na oszczędność benzyny. Jeżeli w przyszłości jakiegokolwiek państwo będzie cofało się w rozwoju przez ceny surowców, będę wiedział, że to początek końca. Teraz też to wiem, choć to zagadnienie przykuwa moją uwagę ledwie na kilka sekund.

Nie czytam już gazet. Nie interesuję się tym, co dzieje się na świecie ani choćby na najbliższym froncie. I tak dochodzą mnie rozmaite plotki, a ilość egzekucji obrazuje prawdziwą sytuację. Już ich nie liczę. W ostatnich tygodniach wprowadziłem na szafot ponad sto osób. Drugie tyle trafiło pod gilotynę. Mam wrażenie, że wciąż oblepia mnie krew. Że moje ubrania przesiąkły jej zapachem niczym najlepszymi perfumami.

Nie czuję jednak ani odrazy do tego, co robię, ani niesmaku. To niczego by nie zmieniło. Czy lekarz pracujący w prosektorium, badający przyczyny zgonów ofiar seryjnego mordercy, jest współodpowiedzialny za jego czyny? Czy kasjer, który z przystawionym do głowy pistoletem wypłaca złodziejowi pieniądze, przyczynia się do kradzieży?

Nigdy dotąd nie szukałem podobnych usprawiedliwień i nie stawiałem takich pytań. Choć usprawiedliwienie to zbyt mocne słowo. W rzeczywistości chodzi jedynie o próbę zrozumienia tego, co się robi. Mimowolną i automatyczną, ale jednak niezbędną, by wciąż odnajdować w życiu sens.

Gdyby nie ja, wyroki mógłby wykonywać ktoś, kto całkowicie się na tym nie zna. Amator niemający szacunku do śmierci ani do skazanych. To również nie jest usprawiedliwienie. To poczucie misji, które sprawia, że co rano mam siłę zwlec się z łóżka i trwać, brnąć w swoją wieczną samotność.

Każdego dnia myślę o żonie oraz dzieciach. Byłem złym mężem i jestem fatalnym ojcem, ale nie mogłem tego zmienić. Nie miałem na to żadnego wpływu. Zostałem zapisany przez los do roli kata, więc nie pozostaje mi nic innego niż odgrywać ją najlepiej, jak potrafię. Bez względu na wszystko.

Czasem jestem zły, że śmierć nie chce się o mnie upomnieć. Zmęczenie i poczucie wewnętrznej pustki biorą górę. Przerastają mnie tak, że leżąc w łóżku, cały drzę. Telepię się, targany dreszczami, a moje zęby rozpaczliwie bębnią. Być może płacę, ale nigdy nie przyznam się do tego nawet przed samym sobą. Jednak wtedy znów dzwoni budzik i wiem, że czas wstawać. Czeka na mnie kolejny skazaniec i stąpająca tuż obok niego śmierć. Nie mogę pozwolić im zwlekać.

## **2 LISTOPADA 1944 R. 73.**

Dzień. Oglądany przez palce. Niczym nie różnię się od automatycznych maszyn. Mam taką samą duszę jak karabin lub czołg, z których padają śmiertelne strzały. Świat jest za zasłoną mgły i niezrozumienia. Nie może na mnie wpłynąć, choć ja nieustannie wpływam na niego. A nawet więcej. Za moją sprawą znikają całe światy. To tylko stwierdzenie. To nic więcej niż obserwacja.

Przed egzekucją naczelnik wręcza mi wypis z akt sprawy. Ostatnio stało się to elementem złożonej procedury, ale już całkowicie mnie to nie rusza.

– Ferdinand Lange – odczytuję półszepem.

Znałem kiedyś rodzinę Lange'ów, ale rok temu niemal wszyscy spłoneli w swoim mieszkaniu w trakcie jednego z bombardowań. Pani Lange, prawie osiemdziesięcioletnia dostojna staruszka, usiłowała skakać z okna. Nadziała się na drzewiec flagi wywieszzonej piętro niżej. Ktoś mi o tym opowiadał jako jedną z miliona wojennych ciekawostek. Przyjaciele, znajomi i krewni odchodzą, a na ich miejsce nie pojawia się nikt nowy. Co z tego? Nie każda próżnia musi zostać zapełniona.

Ferdinand Lange opowiadał dowcipy polityczne. Czytam o tym bez jakiegokolwiek refleksji. No tak. Opowiadał dowcipy polityczne, podburzał słuchaczy i drwił z powagi władz w chwili, gdy społeczne posłuszeństwo to świętość. Zadenuncjowali go sąsiedzi. Ich zeznania potwierdził stróż kamienicy, w której mieszkał. Również słyszał te dowcipy, ale nie doniósł o tym władzy. Dlatego

proces stróża toczy się równolegle, jako że nie wypełnił ciężącego na każdym obywatelu obowiązku.

Dziś czas na Ferdinanda Langego. Na stróża może czas przyjdzie jutro lub pojutrze. Kraunitsch. Zwracam uwagę na jego nazwisko, lecz nie mam wątpliwości, że i tak niebawem umknie mi z pamięci.

Kacie, czyń...

Zegarek. Czas. Stoper.

Pomocnicy rzucający więźnia na stelaż, przesuwający go pod gilotynę i zasłaniający mu oczy. Ostrze sunące w dół, a potem głowa lądująca w trocinach. Mało krwi. A przecież miał tak czerwone policzki oraz nabrzmiałe czoło. Cóż... Jak widać, nie ma reguły.

Siedemnaście sekund. Znów ten sam rezultat.

– Panie Reichhart...

Głos sędziego zwraca moją uwagę w momencie, gdy ściągam rękawiczki. Odwracam się i widzę, że surowy, blade mężczyzna przywołuje mnie machnięciem dłoni. Posłusznie robię kilka kroków w jego stronę, a wtedy jego twarz rozświetla szeroki uśmiech. Wyciąga do mnie rękę, po czym wymieniamy uściski. Z nim oraz ze stojącym obok młodzieńcem i eleganckim prokuratorem.

– Wyrazy uznania, panie Reichhart – rzuca sędzia. – Wykonuje pan wielką, niezwykle istotną robotę.

Już to kiedyś słyszałem.

– I robi to wybornie – dodaje prokurator. – Rzesza powinna mieć więcej ludzi takich jak pan. Wtedy nie mielibyśmy żadnych problemów, a plany Führera zostałyby wykonane co do joty. Do tego...

Nie słucham. Kiwam głową, po czym unoszę rondo cylindra i odchodzę. Ludzkie gadanie nic mnie już nie obchodzi. Jestem głodny, a gdy zjem obiad, czeka mnie kolejna długa trasa.

Gdybym po drodze miał wypadek albo wreszcie strzeliłbym sobie w łeb... Wtedy zatarłoby się całe mnóstwo trybików maszyny. Ta myśl wydaje mi się tak zabawna, że wybucham głośnym śmiechem. Nie śmiałem się tak od wielu lat.

## **GRUDZIEŃ 1944 R.**

### **74.**

– Nazywam się Johann Reichhart.

Powoli literuję nazwisko, po czym sięgam po dokumenty. Ledwie trzymający się na nogach członek landszturmu uważnie je wertuje.

– Kat? – Spogląda na mnie podejrzliwie.

– Kat – odpowiadam spokojnie. – Śpieszę się.

Żołnierz oddaje mi dokumenty i pozwala jechać dalej. Po raz pierwszy widzę wojnę tak naocznie. Berlin spowijają kłęby dymu. Po wczorajszych bombardowaniach wszędzie piętrzą się gruzy, a w niebo strzelają pożary. Większości nikt nie gasi. Mimo że jest południe pogodnego dnia, wydaje się, jakby była noc. Wśród ciemnego, gęstego dymu błyskają pomarańczowe języki ognia. Oświetlają ulice niby rzędy wysokich, piekielnych latarni.

Na każdym kroku są rozstawione posterunki żandarmerii oraz landszturmu. Wychudzeni chłopcy oraz zgięci w pałąk starszankowie sprawdzają dokumenty, wyłapują uciekinierów oraz potencjalnych szpiegów. Na pierwszy rzut oka widać, że to już tylko pozory. Nikt nad niczym nie panuje. Szerzy się samowola, a zamiast walczyć z wrogiem każdy myśli o walce o przetrwanie.

Kolumny uchodźców wloką się ulicami, blokując ruch. Wozy ciągnięte przez konie, stare furgonetki, samochody z wieżyczkami bagażu na dachach. Do tego mnóstwo kobiet, dzieci i starców maszerujących ze szczątkami dobytku. Ponad syk ognia i trzask walących się desek wybija się płacz niemowląt tulonych do piersi matek. Tylko one zdolne są do odczuwania jakichkolwiek emocji. Cała reszta sunie niemal jak w transie, z zaczerwienionymi oczami, ale bez łez, bez słów i bez jakiegokolwiek grymasu na twarzach. Krok za krokiem. Byle przed siebie. Znaczna większość z nich pewnie nawet nie wie, dokąd zmierza. Idą, byle dalej od tego piekła, choć nie mają pojęcia, że będą je dźwigać na własnych barkach do końca życia. Jesliby mieli paść z wyczerpania jutro, po przejściu trzydziestu czy pięćdziesięciu kilometrów, to nic. To będzie jutro. Dziś po prostu należy iść przed siebie.

– Nie możecie nic zrobić? – pytam żandarma, wychylając się z ciężarówki. – Śpieszę się. Za trzydzieści minut muszę być w zakładzie karnym.

– Wszyscy gdzie się śpieszą – rzuca mężczyzna. Ostentacyjnie gniewnie poprawia karabin i odchodzi.

Cicho klnę. Co rusz kompulsywnie zerkam na zegarek, jakbym w ten sposób mógł cokolwiek przyspieszyć. Czeka mnie pierwsza egzekucja w ramach nowego przydziału obowiązków. W kieszeni na piersi mam starannie złożoną nominację na kata ośrodka egzekucyjnego VIII okręgu. Nie mam pojęcia, co oznaczają te najnowsze administracyjne przetasowania, lecz zdaje się, że mam je traktować jako ogromne wyróżnienie.

Zerkam na leżący na siedzeniu obok cylinder oraz rękawiczki i nachodzi mnie myśl, że do tych atrybutów sprowadza się całe moje życie, tak jak życie tych młodzików sprowadza się do mundurów oraz karabinów. Wszyscy jesteśmy nacechowani przez przyzmat tego, co przypało w naszym udziale. Jakiś mądrała napisał, że musimy zjeść porcję podsuniętą nam przez los, choćbyśmy mieli od tego pęknąć albo wszystko zwrócić. Na tym ma polegać życie. Chyba miał rację.

Skręcam w boczną uliczkę, mając nadzieję, że może tą drogą uda mi się szybciej przejechać. Jak na złość na jej środku stoi wrak spalonego auta. Obok niego dymi się resztką drewnianego wozu, a na poboczu leżą szczątki konia. Czarne mięso nadal zdaje się skwierczeć, jakby przeleżało zbyt długo w piecu. Zarys łba jest odrzucony w bok, tworząc jakąś niezwykłą, surrealistyczną kompozycję.

Ostry swąd gryzie w nos już z daleka. Mimo to przechodnie nie zwracają na to żadnej uwagi, przechodzą nad gruzowiskiem oraz truchłem, jakby mijali zwykłą kałużę.

Wycofuję ciężarówkę i ponownie dołączam do nieskończonego sznura aut. Sekunda upływa za sekundą. Nie mogę niczego zmienić. Jesteśmy nic nieznaczącymi postaciami na ohydny obrazie. Namalował nas szaleniec.

## 75.

Więzienny dzwon?

Nie, to nie dzwon. Przecież nie ma tu naczelnika ani skazańców.

Syreny alarmowe wyją jeszcze bardziej nieprzyjemnie i chwytają mózg w prasę hydrauliczną bezgranicznego zgiełku. Są przerażające. Ich tony najpierw się unoszą, z niskich ku bardzo wysokim, by po kilkunastosekundowej fazie spaść na złamanie karku i stawiając dęba włosy, powrócić do żalobnego buczenia.

W jednej chwili życie wokół mnie nabiera tempa. Ludzie widma, którzy wydawali się przesuwanymi w teatrze pacynkami, wykonują nieskoordynowane ruchy, rozglądają się, rozkładają ręce, a potem zaczynają biec to tu, to tam, często, zdaje się, zupełnie na oślep. Niektórzy porzucają taszczone godzinami dobytek, inni rozpaczliwie starają się pędzić z kilkudziesięciokilogramowymi bagażami na plecach, kolejni upychają go w bramy, w studzienki, we wnęki okienne, gdzie tylko kto może.

Nagle auta przyśpieszają. Jeden z kierowców usiłuje przejechać chodnikiem, a stojący na nim patrol nie zwraca na niego uwagi. Miałbym ochotę zrobić to samo, lecz ciężarówka jest zbyt duża i nie zmieści się między ścianą kamienicy a porzuconymi na poboczu wózkami.

Niech to szlag. Nie wiem, co powinienem robić. Moi asystenci już zapewne dotarli do więzienia, a ja utknąłem w środku miasta, które lada moment ma zostać zbombardowane.

Gdzieś w oddali odzywa się tępy kłeket, a po chwili uzupełniają go głucho eksplozje rozlegające się wysoko nad nami. Domyślam się, że to ten słynny dźwięk obrony przeciwlotniczej.

Chaos, w którego epicentrum się znalazłem, narasta. Ludzie już nie biegną, lecz pędzą co sił w nogach, potykają się, wywracają. Nawet żołnierze nerwowo zerkają w niebo i poganiają nielicznych, sparaliżowanych strachem. Krzyczą, poprawiają karabiny, ale ich twarze pokazują, że również przede wszystkim chcą się gdzieś ukryć.

Pochyliam się, by przez przednią szybę zerknąć ponad dachami kamienic, ale niebo przysłaniają gęste kłęby ciemnego dymu. Nawet gdyby pojawiła się na nim eskadra ogromnych sterowców, nie byłbym w stanie ich dostrzec.

W gardle czuję narastającą suchość, a kłębiące się myśli przyprawiają o dezorientację. Za minutę lub dwie cały kwartał może zamienić się w morze zgłiszcz. Słyszałem, że temperatura pożarów wywołanych przez najnowsze angielskie bomby jest tak wielka, iż momentalnie wyssany zostaje cały tlen. Ludzie, zanim zostają spaleni, po prostu wybuchają, są rozrywani na strzępy w maleńkich eksplozjach przypominających te mające miejsce, gdy zanikają czarne dziury. Myślę o tym mechanicznie, wyobrażając sobie, że za chwilę może to spotkać również mnie. Mam przed oczami swoją postać rozpadającą się na dziesiątki kawałków. Urywane ręce, rozrywany korpus i odpadające nogi. Wybuchająca czaszka, z której niczym zupa rozbryzguje się mózg. I towarzyszące temu wszystkiemu świst, syk oraz to rozpaczliwe wycie syren.

Ogromny, piekielny huk.

Bardzo blisko mnie.

Niemal wypadam z ciężarówki, lecz zaraz uświadamiam sobie, że ktoś otworzył jej drzwi. Tuż obok mnie stoi ten sam starzec, który niedawno sprawdzał moje dokumenty. Po twarzy spływają mu strumienie potu. Oczy ma wywalone na wierzch i przekrwione.

– Zwariowałeś pan?! – drze się na całego. – Jazda do schronu!

– Gdzie... Ja... – jąkam się, po czym momentalnie się uspokajam. – Na pace mam gilotynę, nie mogę jej zostawić.

– Zaraz szlag ją trafi i razem z nią pana!

– Nie mogę...

Członek landszturmu chwytą mnie za ramię i na siłę wyciąga z ciężarówki. Szaleństwo dodaje mu niezwykłej siły.

– Tam. – Wskazuje w głąb ulicy. – Tam jest schron dla takich jak pan. Urzędnicy i oficerowie. Daj pan spokój ciężarówce.

– Gilotyna... – szepczę, bezsilnie się szarpiąc. – Gilotyna!

Starzec przeładowuje mausera, dając mi do zrozumienia, co się ze mną stanie, jeśli nie pobiegnę do schronu. W jego oczach dostrzegam wyraz, który nie pozostawia mi wątpliwości, że nie są to puste groźby. Ten człowiek całkowicie zwariował. I nie tylko on.

Z nieba dobiega groźny pomruk silników. W oddali wybucha pierwsza bomba. Kolejne eksplozje są coraz bliżej.

Tuż, tuż.

## 76.

Biegnę w kierunku wskazanym przez żołnierza. W tę stronę podąża mniej osób. Większość kierowała się do wejścia do podziemnego schronu przy sporym placu z powypalаныmi drzewami. Nie znam topografii Berlina. Nie znam nazw jego zakątków ani skwerów, lecz teraz każdy kwartał wydaje się wyglądać tak samo. Ruiny, dymy, trupy. Zgliszcza i pożoga.

Z daleka dostrzegam fluorescencyjny napis informujący o tym, że betonowa konstrukcja przypominająca średniowieczną wieżę jest schronem „tylko dla upoważnionych”. Przed wejściem znajduje się drewniana budka strażnicza, ale i tak panuje tam zamieszanie. Kilkadziesiąt osób tłoczy się, zapewne pokazując jakieś przepustki lub inne dokumenty. Sądzę, że podobnych wejść jest więcej.

Odwracam się i jeszcze raz rzucam okiem na ciężarówkę. Jest niemal na poboczu, a ciągnąca się obok kamienica ma tylko dwa piętra. Wszystko, co znajdowało się wyżej, zostało doszczętnie wypalone. To może zapobiec miotaniu niszczycielskich odłamków i pochłonięciu pojazdu przez morze gruzu. Ale... No właśnie. Czy mógłbym być aż tak naiwny?

Zatrzymuję się i nagle dopadają mnie wątpliwości. Powinienem zostać przy gilotynie. Tak jak żołnierze, którzy wypełniają swoje obowiązki, kierując ludzi do schronów, tak moim obowiązkiem jest strzec narzędzi pracy. Nie ma od tego odstępstw.

Jestem gotów zawrócić. Stoję, nie mogąc podjąć ostatecznej decyzji.

Ktoś przypadkowo szturcha mnie w ramię, a ktoś inny upada niemal u moich stóp. Elegancka kobieta podnosi się, odruchowo otrzepuje kolana i biegnie dalej. Odgłosy eksplozji są coraz bliższe. Ziemia pod moimi nogami drży, jakby się miała rozstąpić. Brzękają resztki szyb pozostałe w pojedynczych oknach.

– Szybciej! – krzyczy jakiś mundurowy. – Szybciej!

Stojący na straży żołnierze pośpieszają tłum i szykują się do zamknięcia ogromnych, wykładanych blachą drzwi. Moje spojrzenie krzyżuje się ze wzrokiem jednego z nich. Nagle landszturmowiec spogląda gdzieś w górę, a rysy jego twarzy się napinają.

Odwracam się i zerkam tam, gdzie on.

– Mój Boże – szepczę.

Choć w moich ustach te słowa to najczystsze bluźnierstwo, nie potrafię ich powstrzymać. Wypływam je litera po literze.

Spośród kłębow dymu wynurzają się kolejne formacje bombowców. Widać je jak na dłoni. Lecą nisko, w zwartych szeregach niczym żołnierze maszerujący na defiladzie. Zdaje się, że wiatr za sprawą jakiejś magicznej sztuczki specjalnie odsłonił tę sceneryę.

W tym momencie z brzuchów sunących bestii zaczynają wypadać małe czarne punkciki. Zmierzają prosto na nas, coraz bliżej, niczym monety rzucone w dniu ślubu nad nowożeńcami.

– Bomby! – krzyczy żołnierz. – Padnij! Wszyscy padnij!

Rzuca się na ziemię, a ja jak ten osioł rozglądam się wokół. Ponownie zerkam w górę i obserwowuję czarny punkcik, który szybko zamienia się w kropkę, a kropka w zarys ogromnej bomby. Spada prosto na mnie. Słyszę jej świst. Słyszę jej śmiertelny ryk.



Widzę, jak uderza w dach kamienicy po mojej prawej. Przebija go, wżyna się w kolejne piętra i lada moment musi wybuchnąć. Wraz z odłamkami wokół roznosi się kurz. Dopiero teraz dociera do mnie powaga sytuacji.

Wyrwany z odrętwienia, padam na chodnik i nakrywam głowę rękoma. Jeśli osunie się ściana tej kamienicy, nic mnie nie ocali. Pojedyncze cegły zamienią moje ciało w miążgę, a spadające belki bez trudu odetną mi kark. Los ma szansę zatoczyć koło i zadrwić z całego mojego życia. Wiem, że nie ma od niego ucieczki.

## 77.

Leżę, zasłaniając głowę rękoma. Odliczam kolejne sekundy. Pięć, dziesięć, piętnaście. Eksplozja nie następuje. Hałas wokół mnie utrzymuje stałe, przerażające natężenie. Wyczekuję huk, lecz tu i ówdzie rozlega się raczej głuche dudnienie. Ze wszystkich stron dobiegają również rozpaczliwe krzyki. Matki nawołują zagubione dzieci, starcy szukają rannych żon. Żołnierze besztają kogo popadnie.

Podnoszę wzrok i przesuwam się o kilka centymetrów. Niewielki wóz opancerzony nie może przejechać ulicą. Jego kierowca bezskutecznie usiłuje przepchnąć rozbitą samochód, wreszcie wyłącza silnik, a ze środka wybiega kilku żołnierzy. Rozbiegają się po okolicy. Gdzieś zza morza ruin dochodzi krótka seria wystrzałów. Chwilę później fala ognia przelewa się po kwartale po mojej lewej. Zupełnie jakby z niebios ktoś polał go benzyną i nagle podpalił. Czuję narastające ciepło, gorący żar, podobny do powiewów letniego wiatru.

Z okna na czwartym piętrze kamienicy ktoś skacze. Nie widzę jego upadku, gdyż widok zasłaniają mi dym oraz gruzowisko. Nie sądzę, by można było to przeżyć. Nieważne, czy w trakcie upadku natrafi się na drzewiec, czy spadnie prosto na ziemię.

Powiew ciepła zamienia się w powiew nieznośnego upału. To mnie oprzytomnia. Zrywam się na nogi i nie bacząc na nic, pędzę ku schronowi. Bomba najwidoczniej nie wybuchła. Miałem szczęście, lecz zapewne wyczerpałem jego pulę na resztę życia.

Przygarbiony, chowając głowę między ramionami, przeskakuję walające się wszędzie śmieci, kawałki cegieł oraz zgliszcza. Jeden ze stojących przed wejściem żołnierzy dostrzega mnie i popędza, nerwowo machając ręką. W ciemnościach schroniły się już wszystkie osoby, które przed kilkoma minutami stały w kolejce. Okolica od tego czasu niemal całkowicie opustoszała. Zniknęli nawet członkowie brygad przeciwogniowych. Zapewne oni również na czas bombardowania mają się ukryć, by po tej hekatombie było komu gasić pożary.

– Czyś pan zwariował?! – Żołnierz chwytła mnie za rękę i niemal wciąga do schronu. W tej samej chwili gdzieś za moimi plecami rozlega się uderzenie gromu. Eksplozja bomby brzmi bardzo podobnie – jakby całe drzewo zostało roztrzaskane na wiele części, a potem waliło się z trzaskiem. Fala uderzeniowa popycha nas w głąb bunkra.

Upadam na betonową podłogę. Żołnierz natychmiast zamyka drzwi i rygluje je wielką zasuwą. Najwyraźniej nie zamierza sprawdzać, czy mam uprawnienia przebywać w tym schronie.

– Znowu się spóźnili z alarmem. Sukinsyny! – klnie. – Zaczęli wyć w ostatniej chwili!

Przechodzi obok mnie, a ja dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że trafiłem w sam środek bezbrzeżnego tłumu. Schron przypomina mrowisko. Wokół otaczają mnie ludzie, ktoś chwytła mnie pod rękę, ktoś inny popycha w głąb. Panuje tu obrzydlivy zaduch, a przecież drzwi zostały zamknięte ledwie przed chwilą. Niebieskawe światło zaczyna mrugać, tymczasem z góry dobiegają

głuche odgłosy eksplozji. Tłum wsysa mnie niczym żywy organizm, lecz wszystko to dzieje się wśród panującej w schronie upiornej ciszy. Przerывa ją jedynie szmer modlitw.

Światło gaśnie, by po kilku sekundach ponownie się zażarzyć. Ojciec nasz... W głowie lęgną mi się słowa modlitwy, której nie odmawiałem od dekad.

Nalot trwa w najlepsze. Mam nadzieję, że skończy się w ciągu kilku minut, a moja ciężarówka jakimś cudem ocaleje. Myślę o niej niczym matka o porzuconym dziecku.

## TRZY DNI PÓZNIEJ

### 78.

Schron przewidziano na cztery tysiące osób, a według szacunków oficera, z którym rozmawiałem, jest w nim ich blisko dwadzieścia tysięcy. Od kilku tygodni w trakcie bombardowań jakiegokolwiek sortowania jest tylko wybiórcze i strażnicy wpuszczają niemal każdego. To skutek ogólnego chaosu oraz coraz później ogłaszanych alarmów przeciwlotniczych. Ponoć jeszcze dwa, trzy miesiące temu o nadciągających samolotach aliantów informowano z co najmniej godzinnym wyprzedzeniem. Ostatnio rzadko się zdarza, by zrobiono to na więcej niż kwadrans przed uderzeniem pierwszych bomb.

Wałkuję te dane jak matematyk. Mimowolnie kompulsywnie bawię się obliczeniami, by oderwać myśli od tego, co dzieje się wokół mnie. Nieustanne bombardowanie doprowadziło do tego, że nie pozwolono mi opuścić schronu. Alarm przeciwlotniczy rozbrzmiewa bez przerwy, choć chodzi o plotki, że zbliżają się już ostatnie fale.

– Ale egzekucja... Muszę jechać do zakładu karnego.

Na te słowa jeden z podoficerów wybuchnął tak głośnym śmiechem, że wydawało mi się, że oszalał. Bombardowane miasta to czas istnego wylęgania się szaleńców. Jednak to powszechna reakcja. Gdy chciałem opuścić schron, śmiano się lub spoglądano na mnie jak na wariata. W takim razie kto jest szalony?

– Ulice są nieprzejezdne. Egzekucje na pewno się nie odbywają, a władze więzienia siedzą w swoim wygodnym i bezpiecznym schroniku – wycedził kolejny żołnierz. – Jeśli chcesz pan zginąć, to przynajmniej nie narażaj na śmierć nikogo innego.

Miałem odparować, że właśnie na tym polega mój zawód, lecz dałem sobie spokój. Ta rozmowa była ostatnią, którą przeprowadziłem. Od ponad dwóch dób milczę, walcząc o każdy wdech. Aparatura tlenowa nie wyrabia, mimo że pracuje na najwyższych obrotach. Dwadzieścia tysięcy ludzi to populacja całego podziemnego miasteczka. Nikt nie przewidział, że choćby połowie uda się zmieścić w tych ścianach. Na ten dziki tłum przypada niecałe dwieście toalet oraz kilkadziesiąt łóżek dla chorych.

Łóżka dla chorych? Na początku dziwiłem się, do czego mogłyby być potrzebne. Przecież do schronu trzeba było się jakoś dostać, więc siłą rzeczy powinni znaleźć się tu tylko zdolni do ucieczki. Szybko zdałem sobie sprawę, że kompletnie się pomyliłem. Odruchem ludzkim jest ratowanie bliskich, choćby ci byli w agonialnym stanie. Dlatego do schronu przywleczono osoby z pourwanyymi kończynami i zmiażdżonymi częściami ciała. Rannych pozbawionych oczu i z całkowicie spalonymi włosami. Nieszczęśników, z których eksplozje zdarły ubranie wraz ze strzępami skóry. Dziesiątki takich osób dogorywa na porozstawianych tu i ówdzie łóżkach na kółkach. Wbrew zamierzeniom konstruktorów, jeśli ktoś umrze, łóżka nie można po prostu przepchnąć do pomieszczeń mających służyć za tymczasowe kostnice. Po pierwsze dlatego, że

w tych pomieszczeniach tłoczą się ludzie, a po drugie, że niemożliwe jest utworzenie miejsca do przejazdu takim prowizorycznym marom.

Ale przecież śmierci nie da się zatrzymać ani dyktować warunków. Dlatego killkunastu zmarłych w moim otoczeniu po prostu uniesiono i podawano sobie ponad głowami. Ciało rzuca się przy drzwiach do schronu, a w przerwie między bombardowaniami żołnierze wyrzucają je na zewnątrz. Na nikim nie robi to wrażenia.

W powietrzu unosi się smród choroby, fekaliiów i śmierci. Po stopach co rusz przebiegają mi wielkie szcuchy. Niektórzy usiłują je rozdeptywać, ale to nonsensowne. Szczurów są tysiące albo dziesiątki tysięcy. Pewnie na każdego człowieka przypada co najmniej jeden z nich.

Obserwuję to wszystko z narastającą złością i poczuciem rezygnacji. Opadam z sił. A więc do tego doprowadziły lata mojej służby? Świat nic a nic nie zmienił się na lepsze? Spirala śmierci jedynie się rozkręciła i teraz jest jej jeszcze więcej niż kiedykolwiek. Nigdy nie dotykała mnie w takim natężeniu. Całe moje życie okazuje się śmieszną bajką opartą na nieistniejącym ideale. Sprawiedliwość? Czym jest? Dokąd zmierza ta cholerna ludzkość?

Zaczynam żałośnie chichotać. Zasłaniam oczy dłońmi, gdyż zbierają mi się w nich łzy.

## 79.

Spełnił się cud. Moja ciężarówka ocalała niemal bez szwanku. Po niemal czterech dniach spędzonych w schronie wróciłem do niej i jakby nigdy nic wybrałem się w drogę powrotną. Nie wiem, dlaczego uznałem, że nie ma sensu jechać do zakładu karnego. Egzekucja wydała mi się czymś banalnym i niemożliwym do wykonania. Jakby stanowiła element innego świata, który bezpowrotnie przepadł.

Jadę wzdłuż Dunaju, kurczowo trzymając się kierownicy. Z metalowych tanków uzupełniłem zapas paliwa. Poza tym w ciągu ostatnich ośmiu godzin nie zrobiłem ani jednego postoju. Nie mogę się przyzwycząić do samotności oraz panującej w kabinie ciszy. Powiew wiatru wpadającego przez uchylone okno powinien mnie przyjemnie cucić, tymczasem wydaje mi się torturą. Przed oczyma wciąż powraca mi obraz tamtych ludzi stłoczonych jak mięso w puszcze konserw.

Czuję obrzydzenie. Do siebie, do władzy, do śmierci. Czy istnieje jakikolwiek sens? A może najlepiej byłoby właśnie teraz wykonać delikatny obrót kierownicą i poprowadzić auto prosto ku rzece? Skończyłbym z tym wszystkim. Przerwałbym tę diabelną nić losu, który nie prowadzi do niczego konkretnego.

Życie to zbieg przypadkowych wydarzeń, niemających żadnej wartości. Czy to znaczy, że ono też jej nie ma? Zapewne. Z perspektywy wieczności, jakiegoś metafizycznego uniwersum, czym się różni nasz byt od bytu najgorszych przestępców? Mordercy, gwałciciele, malwersanci... Trwają tak samo jak każdy z nas. Myślą, czują i każdego dnia muszą wstać z łóżka. Czy mamy prawo ich oceniać? Jeśli wszystko jest całkowitym bezsensem, na świecie może zapanować kompletny, bezgraniczny chaos. Naukowcy usiłują nam wmówić, że najdrobniejszymi cząstkami rządzi jakiś porządek, ale moim zdaniem to bzdura. Każdy porządek to tylko element wielkiego chaosu. Moje życie jest warte tyle samo, co życie gwałciciela. Jego życie znaczy tyle samo, co życie jego ofiar. Wszyscy urodziliśmy się i wszyscy umrzemy. Reszta to nic nieznaczące zmienne.

Gwałtownie skręcam w wąską, zwirową ścieżkę. Nawracam, po czym wciskam pedał hamulca. Otwieram drzwi i opuszczam kabinę ciężarówki. Działając mechanicznie, jak w trakcie egzekucji, rozwiązuję mocowanie plandeki. Opanował mnie amok.

Wskakuję na pakę i bez czyjejkolwiek pomocy strącam ładunek ostrzy. Metal brzęczy po uderzeniu o ziemię, a potem fragmenty gilotyny toczą się ku rzece. Z pluskiem wpadają do wody. Momentalnie opadam z sił. Coś we mnie pękło.

Tępo patrząc się w nurt, siadam i opieram się o stelaż szafotu. Żałuję, że tamta bomba nie wybuchła. Wtedy byłoby znacznie łatwiej.

## 80.

Od dwóch miesięcy nie wezwano mnie na żadną egzekucję. Wciąż otrzymuję regularną wypłatę, lecz równie prawdopodobnym jak otrzymanie powiadomienia o skazaniu kogoś na śmierć jest opatrzenie takiej informacji wzmianką, że tym skazanym jestem ja sam. Nie ma to dla mnie żadnego znaczenia.

Od dwóch tygodni nie jest możliwe dotarcie do Berlina. Szczecin, Wrocław są już definitywnie utracone. Sowietci mają się ścigać z Amerykanami w wyścigu do Monachium. Czy w takim razie można jeszcze zostać wyznaczonym do pozbawiania życia w imieniu Trzeciej Rzeszy? Pewnie tak. Dogorywający władcy bywają najbardziej krwiożerczy i mściwi.

Wypijam do dna piwo i odstawiam kufel. Poza mną w gospodzie jest kilkanaście osób. Jakby wszyscy chcieli się dziś upić. Przy stoliku obok siedzi zastępca naczelnika powiatu ze swoim sekretarzem. Naczelnik ponoć postanowił uciec do Hiszpanii albo Włoch, ale raczej nikt nie daje mu na to szans. Jest zbyt głupi.

Komendant lokalnego garnizonu pojawił się bez munduru i bez broni. Ma na sobie prosty strój chłopski, który wygląda raczej jak dekoracja teatralna niż jak prawdziwe ubranie. Ostentacyjnie usiadł przy oknie i pyka fajkę. Jakby chciał wszystkim przypomnieć, że przez całą wojnę był po prostu jednym z tutejszych, „swoim”, a nie jakimś ważniakiem uświęconym przez wysłanników Berlina.

Spod siedziby Gestapo wyjechały już niemal wszystkie pojazdy. Została tylko jedna limuzyna oraz zdobyczny, amerykański jeep, który być może szykowany jest jako łapówka. Obok flagi Rzeszy wywieszono proporzec z barwami Bawarii, i to tak, że ten ją niemal zastania.

Przedwczoraj zastrzelili się Artur Herman, przywódca lokalnego skrzydła NSDAP. Podobno gdy z biura wynoszono ciało, jego żona zaklinała się, że popadł w problemy finansowe. Samobójstwo miało być honorowym wyjściem, a nie zwykłą ucieczką. Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

Kątem oka dostrzegam, że komendant co jakiś czas łypie w moją stronę. Nagle podnosi się i rusza do mojego stolika.

– Można? – pyta i nie czekając na moją reakcję, siada na krześle naprzeciw.

Zerkam na niego z ukosa, ale się nie odzywam. Powstrzymuję ciekawość, udając, że całą moją uwagę przyciąga widok za oknem. W rzeczywistości nie patrzę na nic konkretnego.

Komendant odchrząkuje. Pochyla się w moją stronę i zaraz wszystko staje się jasne.

– A pan? – pyta przyciszonym głosem.

– Ja? – udaję głupka. – Co takiego?

– Nie zamierza pan wyjechać? Takich jak my... Amerykanie ponoć rozstrzelują bez procesu.

Wzruszam ramionami. Obracam pusty kufel i nagle przenoszę wzrok na zmęczoną, przestraszoną twarz wojskowego. To doświadczony żołnierz, a jednak nagle zrozumiał, że jego własne życie jest cenniejsze od cudzych ideałów.

– Czas, panie komendancie – stwierdzam, podnosząc się od stolika. – Czas.

– Co takiego?

– Niektórzy mają trzydzieści kilka, a inni ledwie siedemnaście sekund. Co za różnica... Nie można przez całe życie uciekać.

Naczelnik myśli, że dołączyłem do grona oszalałych, i łagodnie przytakuje. Mam go gdzieś. Spokojnie kieruję się do wyjścia. Długość męczarni naprawdę nie ma żadnego znaczenia. Życie jest tylko mgieniem oka w wieczności śmierci. I choćbyśmy nie wiem, jak się starali, nie możemy tego zmienić. Niestety, niektórzy zdają się tego nie rozumieć, przez co to – nic nieznaczące – mgienie oka zamieniają w nieustanne cierpienie.

W momencie gdy wychodzę na dwór, dostrzegam małego chłopca pędzącego ku gospodzie. Ma zaczerwienione policzki i błyszczące oczy. Biegając, niemal podskakuje.

– Hitler nie żyje! – krzyczy. – Właśnie podano w radiu! Hitler nie żyje!

## **SIERPIEŃ 1945 R. 81.**

Zamykam sejf i ponownie zanurzam się w głębokim skórzanym fotelu. Jest parny, upalny dzień. Mimo otwartych okien w willi panuje zaduch. Na stole przede mną leży wysoki stosik zaległej korespondencji. Przez ostatnie tygodnie odpisałem jedynie na lakoniczny list od Hansa.

Syn poinformował mnie, że po krótkotrwałym zamieszaniu ich życie znów wraca do normy. Wszyscy mają się dobrze i wierzą, że ja również poradzę sobie z perturbacjami po upadku Rzeszy. „Perturbacje”, użył dokładnie tego słowa. Jestem pewny, że odpowiedziała mu je matka, co sprawia, że robi mi się przyjemnie. A więc nie zapomniała o mnie całkowicie ani całkowicie nie wyrzuciła mnie ze swego życia.

Chyba że... Może Hans ma jakąś rozważną, inteligentną przyjaciółkę? Oddanego, starszego przyjaciela? Przecież o niczym nie wiem. Jego życie jest dla mnie niemal zupełnie tajemnicą. A mimo to czuję z nim jakąś niezwykłą więź. Wielokrotnie się nad tym zastanawiałem i nie mam pojęcia, z czego ona wynika. Genów? Krwi? Może z obu tych rzeczy.

W jednym z ostatnich listów Hans prosił mnie, żebym mu opowiedział o wuju Franzu oraz naszym dzieciństwie. Spełniłem tę prośbę, jednak ograniczyłem się do suchej relacji, której pożałowałem szybko po nadaniu wiadomości. Dlaczego nie potrafiłem być nieco bardziej wylewny? Z kim innym mógłbym rozmawiać w ten sposób?

Nie obawiam się, że matka przedstawi mu mnie w złym świetle. Ufam jej i wiem, że w głębi duszy zawsze mnie rozumiała. Choć nigdy nie chcę o niej wspominać, niemal nie powracam do niej myślami, lecz ją szanuję. Ktoś wrażliwszy pewnie twierdziłby, że nadal ją kocha. Jednak ja nie wierzę w miłość.

Hans... Z całego świata i z całego życia w tym momencie zależy mi chyba tylko na nim. Na jego pamięci. Nie liczą się dwa auta stojące przed willą, nie mają znaczenia sztabki złota schowane w sejfie. To tylko przedmioty, którym znaczenie nadał człowiek. W pamięci można natomiast zamknąć wymiar nieskończoności.

Od paru dni na biurku trzymam pióro oraz stos kartek przygotowanych po to, by spisać wspomnienia. Rodzaj pamiętnika? Być może, a na pewno świadectwo tego, kim byłem lub raczej kim chciałem być. Nie potrafię się jednak do tego zabrać. Choć całymi godzinami przesiaduję w fotelu i rozmyślam nad pierwszym zdaniem, to nigdy nie przychodzi. A jeśli się pojawia i chcę je spisać, w momencie gdy chwytam za pióro, wydaje się kompletnym banałem. Nie chcę być banalny, ale tym bardziej nie chcę kłamać. Nigdy nie zrobiłem nic, czego mógłbym się wstydić.

Huk.

Z zamyślenia wyrwa mnie głośny łoskot, a potem dudnienie kroków. Brzękają tłuczone szyby. Wokół rozlegają się krzyki i szczękają zamki karabinów.

– Johann Reichhart?

Niezdarnie odwracam się do drzwi. Stoi w nich rosły żołnierz w amerykańskim mundurze. W dłoni trzyma pistolet.

Nie odzywam się ani słowem. Kiwam głową i wyciągam ręce, by mogli je skuć. Robię to bez jakiegokolwiek emocji. Po raz ostatni zerkam na leżące na biurku szpargały i kartki, których nie zapamięną słowami. Hans być może nigdy nie pozna prawdy.

Prawda... Zazwyczaj nie ma żadnego znaczenia.

## 82.

– Tak, to on – odpowiada na pytanie Amerykanów właściciel gospody.

– To on, Reichhart, kat bawarski – dodaje czyjś głos.

– Johann Reichhart! To on!

Odprowadzają mnie powszechne buczenie oraz gwizdy. Jakby czas cofnął się o trzydzieści lat. Gdy Amerykanie wloką mnie do swojego wozu, ludzie biją brawo. Wiwatuja. Ktoś kopie mnie w kostkę, a ktoś inny spluwa mi pod nogi.

– Zbrodniarz, który wykonywał wyroki na puczystach!

– Morderca!

– NSDAP-owiec!

Krzyczą to ludzie, którzy jeszcze przed kilkoma miesiącami szczylic się numerami legitymacji partyjnych oraz znajomościami wśród berlińskiej wierzchuszki. Nie zamierzam się bronić ani nikogo oskarżać. Nie robiłem tego przez całe życie, ale czuję narastający wstyd.

Amerykanie wrzucają mnie do środka pojazdu jak worek. Zatrząskują drzwi i wojskowa furgonetka rusza, wzbijając tuman pyłu. Żołnierze są nerwowi, choć usiłują się śmiać. Dobrze znam ten tembr głosu, niewiele różniący się od śmiechu wielu skazańców, którzy starali się jak najlepiej odegrać swoją śmierć.

Jeden z wojskowych wbija mi łufę karabinu w zębra. Kolejny ściska mnie za kark tak mocno, że czuję klucie w całej czaszce. Uderzenia krwi do mózgu przyprowadzają mnie o zawroty głowy. W ustach czuję słodki posmak, ale staram się uspokoić oddech.

Nie wiem, dokąd jedziemy. Mimo to podróż nie trwa dość długo, bym zemdleł. Kierowca hamuje tak gwałtownie, że uderzam głową o metalowy bok furgonetki. Żołnierze natychmiast chwytają mnie pod ramiona i za kostki. Zachowują się, jakby liczyli, że będę stawiał opór. Jakby spodziewali się walki, którą przecież musiałbym przegrać. Nie zamierzam dać im tej satysfakcji i pozostaję całkowicie bierny. Przynajmniej do momentu, gdy zdaję sobie sprawę, dokąd mnie wloką.

Całą grupą przekraczamy bramę maleńkiego wiejskiego cmentarza. Gdy znajdujemy się między grobami, Amerykanie rzucają mnie na ziemię i spada na mnie kilka kopniaków. Żołnierze ciągną mnie ku niewielkiej polance pod starym, powyginanym dębem.

– Twój cmentarz – cedzi po niemiecku jeden z wojskowych. – Twój grób.

## 83.

Któryś z żołnierzy zdejmuje mi kajdanki, ale robi to tylko po to, by inny mógł związać mi ręce liną. Wyginają mi nadgarstki, usiłując ściągnąć więzy. Nie są w tym wprawieni. Męczą się i dyszą.

– Pieprzona świnia.

– Kat Hitlera.

Te zdania nie wymagają tłumaczenia. Towarzyszą im parsknięcia i gniewne syki. Dostrzegam, że zmierza ku nam żołnierz z długim rzeźnickim nożem w dłoni. Pozostali reagują na ten widok niewybrednymi komentarzami.

Zaczynam się domyślać, co chcą zrobić. Gdy pod brzuch wsuwają mi deskę przypominającą stelaż gilotyny, nie mam już co do tego żadnych wątpliwości.

Owiązują sznurem nogi, a żołnierz z nożem staje nieopodal mojej głowy. Powoli kęka i z najbliższej odległości patrzy mi w oczy. Pochyla się, po czym wymownie obraca nóż. Stuka paznokciem w grube ostrze. Uśmiecha się. To młody, może dwudziestoletni chłopak, z łagodną twarzą i ciemnymi, serdecznymi oczami. A jednak i w takich jak on wstępuje szaleństwo.

Odpowiadam uśmiechem na jego uśmiech i wtedy wymierza mi cios pięścią w nos. Klnie po angielsku, uderzając mnie jeszcze dwa razy w podbródek. Moje zęby szczękają i odgryzam sobie kawałek języka. Czuję krew gwałtownie wzbierającą w ustach. Staram się ją łykać, lecz zaczynam się dławić. Żołnierze reagują na to jedynie parsknięciami.

Nagle któryś z nich zarzuca mi na oczy strzęp materiału, a na szyi czuję ostrze noża. Wyznaczony do roli kata Amerykanin najwidoczniej przymierza się do zadania ostatecznego ciosu.

– Tnij, tnij! – zachęcają go inni.

To również doskonale rozumiem.

## 84.

Ciemność trwała kilka lub kilkanaście minut. A może straciłem przytomność na znacznie dłużej.

W każdym razie Amerykanie mnie nie zabili. Poobijali mnie, usiłowali nastraszyć, lecz widząc, że na wszystko reaguję z niemal apatyczną obojętnością, w końcu dali sobie spokój. Zawieźli mnie do więzienia Stadelheim, w którym jeszcze przed kilkoma miesiącami wykonywałem wyroki. Jednak również ta zmiana perspektywy nie ma dla mnie większego znaczenia.

– Wie pan, dlaczego tu trafił? – pyta mnie płynnym niemieckim jakiś oficer.

– Nie – odpowiadam oschle. – Pewnie za to, że jestem Niemcem.

– Za to, że jest pan nazistą.

Na tę odpowiedź jedynie się uśmiecham. Byłem i jestem nazistą tak samo jak monarchistą lub komunistą. Polityka nie interesowała mnie ani trochę na żadnym etapie życia. Była gdzieś obok, lecz stanowiła co najwyżej blade tło. Mogła wpływać na mój zawód i moje życie, ale nie na moje poglądy.

Doskonale pamiętam o prezydencie Republiki Weimarskiej, dzięki którego łaskawości ledwie wiązałem koniec z końcem. Doskonale pamiętam kolejnych naczelników więzień oraz ministrów sprawiedliwości. A potem... A potem przychodzi mi na myśl już tylko sejf, który zapewne splądrowali Amerykanie. Jego zawartość miała trafić do mojej żony i dzieci.

– Nie będzie pan sądzony za wykonywanie swoich obowiązków – ciągnie oficer. – Nie traktujemy ich jako działalność zbrodniczą.

– Zwycięzcy nie zabijają katów – odpowiadam z ironią. – Dlatego że ci mogą się im przydać.

– Co takiego?

– Mamy w Niemczech takie powiedzenie.

- Ach, tak!

Amerykanin wyciąga w moją stronę opakowanie papierosów. Odmawiam mu, kręcąc głową. Mimo to sam sięga po jednego i odpala go benzynową zapalniczką. Głęboko się zaciąga, po czym wstrzymuje dym. W końcu wypuszcza go ku niskiemu, zawilgoconemu sufitowi. Wreszcie ponownie przenosi spojrzenie na mnie.

- Moglibyśmy bez problemu skazać pana na dożywocie - stwierdza z przekąsem. - Właściwie wielu pańskich rodaków by chyba temu przyklasnęło. Przoduje pan w liczbie denuncjacji, które otrzymujemy pocztą. Doniosło na pana kilkudziesięciu mieszkańców.

- Naprawdę? - Wydaje mi się to tak śmieszne, że mimowolnie wydymam wargi. Teatralnie wzdycham, po czym poprawiam się na niewygodnym, niskim krześle. To całe pseudoprzesłuchanie jest ledwie nędzną inscenizacją teatralną. Brałem udział w znacznie ciekawszych i lepiej odegranych.

- Naprawdę - przytakuje oficer. - Ale to teraz nie ma żadnego znaczenia. Choć osobiście uważam, że ponosi pan taką samą odpowiedzialność jak sędziowie, parlamentarzyści czy żołnierze. Wszyscy jedynie wykonywaliście rozkazy.

- Nie da się temu zaprzeczyć.

- I uważa pan, że SS-mani z obozów koncentracyjnych nie powinni ponieść żadnej kary? Że ślepe posłuszeństwo zwalnia ich z winy?

Nie odpowiadam. Nie zastanawiam się nad tym i nie zamierzam tego analizować. Siedzę nieruchomo, patrząc prosto w oczy Amerykanina. Ten wreszcie zaczyna się niecierpliwić. Kilkakrotnie pociąga jeszcze papierosa, zagasza go o metalowy blat stołu i odkasłuje.

- No dobrze - odzywa się nagle zmienionym, formalnym tonem. - Jestem tu, gdyż moi przełożeni przygotowali dla pana układ. Nie zostanie pan osądzony, ale będzie pan musiał dla nas coś zrobić.

Spodziewałem się tego, jednak nie zdradzam tej myśli na głos. Czekam na propozycję.

## 85.

- To projekt, który przedstawiłem cztery lata temu Ministerstwu Sprawiedliwości Rzeszy.

- Bezskutecznie? Uznano go za niewarty rozważenia?

- Miałem wrażenie, że moi przełożeni nie chcą poprawiać czegoś, co funkcjonuje jak należy. Poza tym w ich oczach wieszanie stanowiło wymysł Zachodu.

- W przeciwieństwie do gilotyny...

Przedstawiciel rządu wojskowego USA przeciąga dłońią po gładko ogolonej twarzy i drapie się po podbródku. Jest pułkownikiem, nosi się niezwykle prosto i surowo. Ma więcej wspólnego z naszymi oficerami, niż mu się wydaje. Nawet ten kategoryczny, lekko kpiarski sposób wypowiedzania się oraz mrużenie oczu, jakby nie do końca wierzył w szczerść rozmówcy.

Spuszcza wzrok i powoli przegląda przedstawione przeze mnie projekty. Kartkuje je, wzdycha i potrząsa głową. Czasem na dłużej zatrzymuje spojrzenie na którymś ze szkiców. Mlaska, po czym sięga po kolejną kartkę.

- Taaak... - mówi, przeciągając słowa. - Zapadnia to najlepsze rozwiązanie. Jest skuteczna i efektywna.

- Z pewnością lepsza od stołków lub innych podpórek - wtrącam. - Doskonale wiem, jak w obu przypadkach zachowuje się ciało skazańca. Istotnym jest tylko odpowiednie oszacowanie masy oraz kruchości kości.



Przypomina mi się nauczka, jaką dał mi wuj Franz, kiedy przynosiliśmy zwłoki. Doskonale pamiętam odpadającą głowę oraz swoje zdziwienie. Od tamtego dnia minął szmat czasu. To niewiarygodne, ile się wydarzyło, choć jednocześnie mam wrażenie, jakby to było dwa, co najwyżej trzy lata temu.

– Jak dla mnie to ci zbrodniarze mogą dyndać na czymś stanowiącym wymysł Zachodu – cedzi Amerykanin. – Może nawet tak będzie najlepiej. Tak. – Nagle podejmuje decyzję. – Chyba właśnie przedstawił mi pan najważniejszy argument.

– Czyli gilotyna nie będzie potrzebna?

– Nie. Dobra szubienica z zapadnią, której szafot będzie się zbijało przez całą noc. Niech ci dranie słyszą, co ich czeka. Stuk, stuk. Rozumie pan?

– Tak, lepiej, niż pan przypuszcza.

Odchylam się w krzesło, gotów, by skończyć tę rozmowę. Nie do końca pojmuję jedynie swoją dalszą rolę, choć domyślam się kilku możliwych scenariuszy.

Przecież Amerykanie mają w swym prawodawstwie karę śmierci, więc muszą mieć również katów – stwierdzam w myślach. – To oczywiste. Brytyjczycy też, zdaje się, że nawet działa u nich jakiś mój odległy kuzyn...

– Zajmie się pan przygotowaniami do budowy szubienicy – stwierdza Amerykanin. – Dostarczymy panu wszelkich potrzebnych materiałów. Proszę starannie rozrysować projekt, a ja przedstawię go z całą naszą argumentacją przełożonym.

„Nasza argumentacja”. To brzmi tak niewinnie.

Powoli wstaję i odstawiam krzesło. Moje spojrzenie spotyka się ze wzrokiem pułkownika. Widzę, że jeszcze coś go trapi.

– Naprawdę nie robi panu różnicy, kogo pan zabija? – pyta wreszcie.

– Wykonuję wyroki – natychmiast go poprawiam. – A to istotna różnica.

## 86.

Szafot ma zostać ustawiony w sali gimnastycznej norymberskiego więzienia. Amerykanie i Brytyjczycy okazali się nie mniej mściwi niż Hitler po zamachu von Stauffenberga. Tyle że zamiast rzeźnickich haków i strun fortepianowych chcą użyć pogardy, hańby i upokorzenia. Tylko dlatego na miejsce największego procesu w historii wybrali Norymbergę – miasto stanowiące dla nazistów symbol, niemal drugą stolicę Tysiącletniej Rzeszy oraz centralny ośrodek ideologii partyjnej. To tu odbywały się triumfalne zjazdy członków NSDAP, przemarsze z pochodniami i wojskowe parady. Brakowało tylko wrogich sztandarów, które można by złożyć u stóp tryumfującego Führera.

A teraz? Oskarżeni cisną się w małych, wilgotnych celach i czekają na wyrok. Bez dystynkcji, bez dobrych alkoholi, a przede wszystkim bez jakiegokolwiek władzy nad innymi. Tak kończą wszyscy. Pomyślcie o dowolnym dyktatorze, o dowolnym królu, cesarzu lub satrapie i dojdziecie właśnie do takiego wniosku. Po latach panowania, nieważne, czy jest ich pięć, dziesięć czy pięćdziesiąt, ostatecznie żaden z nich (o ile nie został wcześniej zabity) nie panuje nawet nad własnym ciałem. Wydala pod siebie, musi być karmiony, wreszcie osuwa się w mrok.

Czy w ogóle warto żyć? Skoro nie ma różnicy, kim się jest, biedakiem, despotą czy służącym, może po prostu nie warto się męczyć? Po co się zmuszać do wstania z łóżka i założenia spodni? Do rozmowy z ludźmi, do jedzenia i picia? Może lepiej skończyć z tym tak szybko, jak tylko można i póki w ogóle można.

Myślę o tym, zbijając drewniany szafot. Cyniczni Amerykanie specjalnie zwieźli wysuszone, długie dechy oraz gwoździe wielkie jak strzały do łuku. Chcą, aby oskarżeni słyszeli w celach odgłosy nadchodzącej po nich śmierci. Echo uderzeń niesie się po całym budynku i wraca z wielokrotnością.

Jak to by było założyć pętlę na szyję Göringa, Keitla czy Speera. Czy Speer w ogóle zostanie skazany na śmierć? Niektórzy twierdzą, że się wywinie.

Odrywam się od pracy i ocieram pot z czoła. Nie znam się na stolarstwie, lecz skoro przedstawiłem swój projekt, uznano, że powinienem czuwać nad jego realizacją. Przydzielono mi dwóch rzemieślników, którzy mają zadbać o stronę techniczną. Czopowanie, pasowanie i stolarskie cyzelowanie – te pojęcia jeszcze niedawno nic mi nie mówiły.

Ponownie chwytam za młotek i wbijam kolejne gwoździe. Konstrukcja nie będzie zbyt duża, ale zdaniem Amerykanów musi robić wrażenie. Dlatego podest jest wysoki, schodki dość strome, a zapadnia ma otwierać się z hukiem. Jestem ciekaw, czy oni również sprowadzą ekipę filmową, aby wszystko utrzymała na taśmie. Pewnie widzowie zza oceanu nie mogliby się doczekać pokazów egzekucji wyświetlanych przed seansami kinowymi.

To ohydne. Uderzam w gwoźdź tak mocno, że ten wygina się i łamie. Zirytowany odrzucam go na bok. Ludzkość nigdy niczego się nie nauczy. Wiem, że bez względu na to, kiedy umrę, będę czuł wstyd przez to, że byłem człowiekiem. Brzydzę się, że ty również jesteś moją siostrą lub bratem. Tak jak zapewne ty brzydzisz się mnie.

## 87.

– To on wykona wyroki na skazanych. Pan ewentualnie udzieli mu wszelkich niezbędnych wskazówek.

Pułkownik wskazuje na mężczyznę z dystynkcjami sierżanta armii Stanów Zjednoczonych. Wojskowy ma nalaną twarz, tłusty podbródek i szerokie ramiona. W jego spojrzeniu jest coś zadziornego, coś, co daje mi do zrozumienia, że bez wątplenia nada się do swojego zadania. Nie będzie miał wyrzutów sumienia, oporów ani bezsennych nocy. On tylko na to czeka.

– John Woods. – Sierżant ściska mi rękę. Na jego twarzy nie ma żadnych emocji, ale oczy rzucają ostre, mocne spojrzenia. Zupełnie jakbym widział swoje odbicie, choć w nieco innej formie.

– Wyrok wykona wojskowy? – pytam.

– Ma pan jakieś obiekcje?

– I tak pozostaną bez znaczenia. Po prostu trybunały wojskowe...

Sam nie wiem, co miałem na myśli. Nie pasuje mi mundur do szubienicy. Przynajmniej nie po tej jej stronie. Nawet jeśli jest doskonale czysty, wyprasowany i zadbany. Śmierć nie powinna przychodzić w takim stroju.

– Czy będzie pan potrzebował tłumacza? – Pułkownik marszczy brwi, po czym sam odpowiada:

– Jeśli zajdzie taka potrzeba, zgłoszcie się. Myślę, że kat bez problemu dogada się z katem.

– Zapewne.

Pułkownik wymienia kilka zdań z Woodsem, po czym klepie go po ramieniu. Ten po raz pierwszy okazuje jakąkolwiek emocję, wydymając wargi w czymś, co tylko przez wyolbrzymienie można nazwać półśmiechem.

Chwilę później zostajemy z sierżantem sami. Podaję mu sznur, po czym na migi pokazuję, jak właściwie go naprężyć. Regulowana pętla jest zawiązana w klasyczny katowski sposób, a mimo to Woods bacznie się jej przygląda. Usiłuje ją przesunąć, bez poluzowywania bocznego węzła.

– Nie tak! – Wrywam mu linę i gniewnie pokazuję zasadę działania pętli. – Teraz rozumiesz?

Nie odpowiada. Wciąż z tym samym półuśmieszkiem przygląda się temu, co robię. Jego oczy dosłownie chłoną każdy mój ruch. Czasem oblizuje wargi, jakby cała sytuacja pobudzała u niego ślinotok.

– Powtórz – nakazuję i rzucam mu sznur. – Wykonaj te same ruchy, jakbyś zakładał pętlę na szyję skazańca.

Staję na skraju szafotu i pochylam głowę. Jestem o kilkanaście centymetrów wyższy od Woodsa. Sierżant marszczy czoło, po czym obraca w dłoni linę. Robi to kilkakrotnie, wyraźnie zmieszany nagłością mojego polecenia. Mimo to w końcu przekłada pętlę nad moją głowę i cicho sapie. Czuję od niego smród potu. Kat nigdy nie powinien tak cuchnąć.

– No, dalej! – nakazuję. – Co teraz?

Daję mu do zrozumienia, że powinien ściągnąć pętlę. Wykonuje to powoli, wysuwając koniuszek języka między wargi. Z jego twarzy zniknął już najmniejszy cień uśmiechu. Jest bezgranicznie skoncentrowany.

– Jesteś pewny? – pytam, spoglądając mu prosto w oczy. – Nie masz żadnych wątpliwości, że wszystko zrobisz jak należy?

Chyba rozumie, a przynajmniej kiwa głową.

– Yes, yes, sure.

Doskonale. W takim razie wszystko powinno pójść gładko. Jeśli pętla jest właściwie założona, a lina ma prawidłową długość, skazany ginie na skutek rozerwania rdzenia kręgowego. Nie dusi się, nie dogorywa w agonii, lecz śmierć przychodzi właściwie od razu. Nie jestem pewny, czy Woodsowi w ogóle na tym zależy. Robię krok do przodu i spadam z podestu.

## 88.

Nie mam wątpliwości, że Woods nigdy nie był katem. Może asystował przy egzekucjach, lecz na pewno ich nie wykonywał. Nie wiedział nawet, że lina powinna być przewiązana tak, by nie przeważyć szafotu. Chodzi nie tylko o to, aby uniknąć ewentualnego złamania elementów konstrukcyjnych, lecz przede wszystkim, by wisielec nie kręcił się wokół własnej osi. To nigdy nie podobało się tłumom i zostało uznane za skrajnie nieprofesjonalne.

Sznur, który miałem na szyi, nie był nawet przywiązany do stelaża. Spadłem na podłogę, obserwując kompletnie oszołomionego Woodsa. Wreszcie udało mi się zmusić go do wykrzesania z siebie odrobiny emocji. Jednak nie było wśród nich strachu ani jakiegokolwiek obawy, wytrzeszczył oczy i zmrurył oczy, upodabniając się do człowieka pierwotnego obserwującego ogień.

Nie. On nie mógł być katem. Z odrazą myślę o tym, że usiłował oszukiwać, byle tylko móc wykonywać egzekucje na skazanych przez trybunał w Norymberdze. Nie sądzę, by miał dość rozumu, aby zrozumieć historyczność swojej roli. Raczej chodziło o realizację jakichś osobistych, psychopatycznych skłonności. Nawet nie o zemstę lub deklarację przekonań. Najwidoczniej wojna niektórym przyniosła zbyt mało ofiar<sup>6</sup>.

Nie ma żadnych wątpliwości, że aliantom proces norymberski nie wystarcza. To dla nich stanowczo zbyt mało, dlatego na terytorium Rzeszy wszczęto kilka innych pokazowych procesów, choć z mniej reprezentacyjnymi podsądnymi. Jeden z nich, chyba najtłumniejszy, odbywa się na terenie więzienia w Landsbergu. Najwyraźniej uznano, że skazywani w nim zbrodniarze nie zasługują na amerykańskiego kata. Ściągnięto mnie, bym systematycznie wykonywał wyroki.

Właściwie poinformowano mnie, że egzekucje mają się odbywać na bieżąco, bez zbędnych przestojów oraz opóźnień.

Stając przed niemieckim oficerem, członkiem SS i działaczem NSDAP, czuję pewne skrępowanie. Wstydzę się, ale jakbym robił to jego wstydem. Nie wiem, czy dobrze to zrozumiecie. Nie chodzi o jakiegokolwiek moje obiekcje czy wątpliwości, chodzi raczej o to, że rozumiem zagubienie tego człowieka, i to, że nie czuje się zbrodniarzem. Wierzył w to, co robił, a jednak mu wstyd. Za co?

– Nie – rzuca rozkazującym tonem, gdy zgodnie z nakazem władz okupacyjnych chcę założyć mu na oczy opaskę. – Prosiłem o śmierć żołnierza.

Nie on jeden. Dziwi mnie, jak wielu z oskarżonych chciało zostać rozstrzelanymi. Jakby w tej ostatniej chwili mogło to zrobić jakąkolwiek różnicę. Gilotyna, szubienica, kule karabinowe, to wszystko sprowadza się do tego samego. Przynajmniej patrząc z perspektywy skazańca. W śmierci nigdy nie ma nic honorowego ani pięknego.

Składam opaskę i przez chwilę waham się, co z nią zrobić. Ostatecznie wsuwam ją do kieszeni spodni. Więzień dziękuje mi służbowym skinieniem głową. Mam wrażenie, że będzie chciał wygłosić jakąś deklarację. Chyba tylko dlatego amerykański prokurator nie nakazuje mi zasłonić mu oczu.

– Wykonać – oznajmia stanowczo.

Pociągam dźwignię i zapadnia natychmiast się otwiera. Skazany drży w agonii, lecz trwa to tylko dwie lub trzy sekundy. Odruchowo sięgam po zegarek, lecz przypominam sobie, że mi go odebrano. Dla Amerykanów czas egzekucji nie ma żadnego znaczenia. Nawet lepiej, gdyby nie trwały zbyt krótko. Zemstą należy się delectować. Skąd ja to znam...

Ruszam do wyjścia, aby odebrać moją zapłatę. Papierosy oraz konserwy, czyli towar znacznie cenniejszy od jakiegokolwiek waluty. W najbliższych dniach powinienem obłowić się niemal na cały rok. Moje myśli skupiają się już tylko na tym.

*W ciągu kilku tygodni Johann Reichhart brał udział w 146 egzekucjach w więzieniu Landsberg. Częstotliwość ich wykonywania była podobna do egzekucji po zamachu na Adolfa Hitlera w lipcu 1944 r.*

---

<sup>6</sup> John Woods zgłosił się do pełnienia funkcji kata jako ochotnik. Falszywie twierdził, że przed wojną był pomocnikiem katów w Teksasie oraz Oklahomie. Amerykańskie dowództwo prawdopodobnie nigdy tego nie zweryfikowało.

## **MAJ 1947 R. 89.**

Żyję jak nędzarz, choć mam pod dostatkiem jedzenia, dziesiątki beczek wina i całą wilę do dyspozycji. Zwrócono mi moje samochody, włącznie z oplem blitzem, który przecież nigdy wcześniej nie stanowił formalnie mojej własności.

Mimo to niemal nie wychodzę z domu. Ludzie na ulicy opluwają mnie i szydzą ze mnie. Dla jednych jestem zbrodniarzem Hitlera, dla innych kolaborantem okupantów. Ich zdania w ogóle mnie nie obchodzą. Postępowałem i postępuję zgodnie z własnym kodeksem moralnym, którego nigdy nie splugawiłem. Od ich przekonań ważniejsze jest dla mnie słowo dane przed laty wujowi

Franzowi. I wspomnienie jego uśmiechu, gdy zgodziłem się przejąć po nim urząd kata. Może to naiwne, ale na pewno nie zbrodnicze.

Procesy hitlerowców w większości już dobiegły końca. Ostatnie egzekucje wykonałem przed trzema miesiącami. W ciągu ostatnich dwóch lat świat usiłuje wrócić do normy, lecz ludzie coraz częściej uświadamiają sobie, że coś takiego jak norma w ogóle nie istnieje.

Moja żona i dzieci mają się dobrze. Nawet dostałem od nich kilka ciepłych listów, w których podkreślali, jak dumni są, że „ci bohaterscy” Amerykanie nie mogli mnie uznać za współpracownika nazistów. Jakby nagle przejrzeni na oczy i dowiedzieli się, że poplecznicy Hitlera to w większości zbrodniarze. Cały świat bawi się teraz w wymyślanie dla nich właściwej definicji. Dla mnie zbrodniarz to po prostu człowiek. Sedno tkwi jedynie w zdolności uwolnienia swojego potencjału.

Zarzucam te myśli i zerkam w niebo. Jest ładny, pogodny dzień, więc na przekór wszystkim wybrałem się na przechadzkę. Mimo wysokiej temperatury założyłem swój czarny, znoszony kapelusz oraz gruby płaszcz. Wyprostowany, z rękoma założonymi za plecami, spaceruję po parku. Wojna w tej okolicy nie pozostawiła niemal żadnych śladów. Jej jedyną spuścizną jest posterunek kontrolny przed wejściem do strefy przydzielonej żołnierzom amerykańskim. Mogą się tam gnieździć w swoim gronie, bawić w swoje jankeskie zabawy i pić swój cuchnący bourbon. Bywają głośni, ale nie hałaśliwi. Poza tym, jak na okupantów, zachowują się nadzwyczaj porządnie.

Gdy skręcam w boczną uliczkę, dostrzegam amerykańskiego pułkownika. To ten sam mężczyzna, który przydzielił mnie do pracy w Norymberdze. Nie miałem pojęcia, że trafił do mojego miasteczka. Na mój widok daje znać towarzyszącym mu żołnierzom, którzy ruszają w moją stronę. Trzymają w pogotowiu karabiny, jakby spodziewali się, że będę usiłował uciec.

Zatrzymuję się i spoglądam na nich spod ronda kapelusza. Nie mam pojęcia, czego mogą ode mnie chcieć. Pomocy? W czym mógłbym im pomóc?

– Panie Reichhart – odzywa się jeden z nich. – Pójdzie pan z nami. Jest pan aresztowany.

Tego się nie spodziewałem. Momentalnie jednak się opanowuję i pozwalam zakuć się w kajdanki. Tym razem obywa się bez szarpania oraz bicia. Pułkownik zdaje się zakłopotany całą tą sprawą.

– Wszyscy, którzy mieli wisieć, już wiszą – oznajmia, gdy prowadzony przez jego podwładnych przechodzę obok.

Nie do końca rozumiem, co ma na myśli. Chyba że...

Uśmiecham się i ironicznie parskam. Kaci... Amerykanie nie potrzebują już katów. Z pewnością chodzi mu właśnie o to.

## 90.

Mówią, że Moosburg jest bawarską perłą w koronie. Nigdy w nim nie byłem. Obóz dla internowanych rozciąga się w przemysłowych zabudowaniach na obrzeżach miasteczka, z widokiem na rzekę oraz na las.

Nie chcę ich widzieć. Nie chcę widzieć niczego.

– Zdrajca – szepczą setki gardeł, kiedy przechodzę korytarzem. – Sukinsyn.

– Zjawiłeś się tu, aby nas powiesić? Chcesz pooglądać nasze karki?

A jednak procesy nie dobiegły końca. W obozie dla internowanych przebywa kilka tysięcy osób, głównie żołnierzy oraz oficerów, ale również zwykłych członków partii i rozmaitych działaczy.

Spoglądają na mnie z nienawiścią. Amerykanie nie ukrywali, że to ja wykonywałem niektóre egzekucje na takich jak oni.

Jestem całkowicie osamotniony. Choć przywykłem do tego przez całe życie, tu nie mogę się nigdzie ukryć. Nie mam żadnego azylu ani miejsca, gdzie mógłbym spokojnie zebrać myśli.

– Morderca.

– Śmieć.

Przemykam między więźniami, którzy ostentacyjnie cofają się na mój widok, jakbym był dotknięty trędem. Odwracają się i spluwają. Pociągają nosami.

– Powinieneś się powiesić. Już, teraz, leć, uciekaj!

Staram się iść tak spokojnie, jak to tylko możliwe. Trzymam wysoko uniesioną głowę, jestem wyprostowany i nie okazuję żadnego zdenerwowania. Mimo to w moim wnętrzu się kotłuje. Nie jestem zły na tych ludzi, ale jeszcze mocniej odczuwam wściekłość na los, na coś nieokreślonego, co sprawiło, że w wieku pięćdziesięciu pięciu lat znalazłem się właśnie tutaj. Powinienem myśleć o wnukach, o przedłużaniu przekłętego ludzkiego gatunku, a zamiast tego muszę walczyć o życie. Czy na tym właśnie polegają prawa natury?

A poza tym... No właśnie. Czy muszę walczyć o życie? Nikt nie może mnie do niczego zmusić, a już na pewno nie zrobi tego żaden Bóg ze swoimi szalonymi nakazami. O ile w ogóle istnieje.

– Gnida!

Nawet się nie odwracam. Wreszcie udaje mi się dopchać do toalety. Gdy wchodzę do środka, rozlegają się nawoływania i zewsząd padają groźby. Zawieszam haczyk, po czym siadam na brudnym klozecie. Chowam głowę w ramionach, jednocześnie uspokajając oddech. W mojej głowie nie ma zbyt wielu myśli. Choć kiszki mi się wywracają, ogólnie jestem niemal zupełnie spokojny. Przyjmuję to, co się dzieje, jako coś zupełnie naturalnego. Czego innego mógłbym oczekiwać od życia?

Zdejmuję prawy but i sięgam do środka. Wyjmuję krótki nóż do smarowania masła, który udało mi się przemieścić ze stołówki. Nigdy nie były potrzebne, bo przecież nigdy nie dostarczono tu masła. Kolejna ironia losu.

Przykładam tępe ostrze do przedramienia i zagryzam zęby. Z całej siły wbijam nóż w skórę, po czym prowadzę go wzdłuż linii żył. Rozpruwam swoją rękę od nadgarstka niemal do łokcia. Krew początkowo wypływa ospale, lecz nagle zaczyna ściekać niemal ciurkiem na podłogę. Mieni się różnymi kolorami. Nigdy nie sądziłem, że może mieć tyle barw.

Kręci mi się w głowie, więc opieram się o boczną ściankę. Świat zdaje się kurczyć i jednocześnie robi mi się bardzo zimno.

Już nigdy się nie rozgrzeję. Wszystkie trupy momentalnie robią się nieprzyjemnie zimne...

## 91.

Światło.

Dzień. Śmierć. Bóg.

A może to tylko lampy?

Nie, to dzień, słońce, w oknie są podniesione żaluzje. Podchodzi do mnie lekarz Murzyn, spogląda na mnie wielkimi, przekrwionymi oczami. Zerka na moją rękę, podnosi ją i poklepuje mnie po ramieniu. Uśmiecha się.

– Okej, okej – powtarza, robiąc minę jak matka strofująca niesforne dziecko. – No problem.

Budzę się i strząsam resztki otępienia. Podciągam się, opierając na poduszce. Od dawna nie spałem tak dobrze. Czuję ból ręki, ale jest teraz całkowicie do zniesienia. Pamiętam wszystko, co się wydarzyło, i nagle narasta we mnie złość. Nawet to mi się nie udało. Nie mogłem sam wezwać do siebie śmierci.

A jednak... Wpadające zza okna słońce sprawia, że złość szybko mija i cieszę się, że jestem tu, gdzie jestem. Ostrożnie analizuję swoje odczucia. Huśtawka nastrojów wychyla się to w jedną, to w drugą.

Lekarz podaje mi talerz z bułką oraz parówką. Biorę go, ale gdy chcę go przytrzymać lewą dłonią, przechodzi mnie bolesny skurcz.

– Nerwy.

Domyślam się, że właśnie to oznacza angielskie słowo wypowiedziane przez Murzyna. A więc uszkodziłem sobie nerwy w przedramieniu. To nic. Aby poznać swój prawdziwy stan, usiłuję poruszyć palcami. Choć sprawia mi to ból, dłoń jest sprawna. To dobry znak.

Zerkam na bandaż, przez który przebija krwawy ślad. Lekarz puka się wymownie palcem w głowę, po czym dwukrotnie porusza obiema dłońmi. Daje mi do zrozumienia, że wykonał dwadzieścia szwów. Nieźle.

Nie odzywam się ani słowem. Przeżuwam papierową, ohydną parówkę i zagryzam ją bułką. Usiłuję się nie zadławić, choć przed paroma godzinami sam bym o tym marzył. Wszyscy mamy chwile słabości.

Odstawiam pusty talerz i zmieniam pozycję. Ręka zaczyna mnie coraz bardziej boleć. Zaciskam palce prawej dłoni nieco powyżej lewego nadgarstka. To przynosi ulgę.

– Moment... – Amerykanin odwraca się i kogoś przywołuje. Czeką, lecz ten ktoś nie przychodzi. Zapewne chce, aby jakiś pielęgniarz przyniósł mi środek przeciwbólowy. A może to tylko złudna nadzieja?

– Moment – powtarza i gniewnym krokiem wychodzi z pomieszczenia.

Dopiero teraz dostrzegam, że na łóżku obok leży mężczyzna z amputowaną ręką. Jego czoło jest zroszone potem, ale jest przytomny. Wbija we mnie ostre, nienawistne spojrzenie.

– Mam nadzieję, że cię nie wypuszczą – cedzi przez zaciśnięte zęby. – Ponoć znów mają wieszać. Może tym razem przyjdzie czas na ciebie.

Nagle przy moim łóżku pojawia się kolejny więzień, w mundurze pozbawionym dystynkcji. Z całej siły uderza mnie w zabandażowaną rękę. Krzywię się z bólu, a wtedy spadają na mnie kolejne ciosy.

– Pieprzony zdrajca!

Usiłuję się skulić, lecz nie mam dość siły. Słyszę, że do pomieszczenia wpadają inni ludzie. Zaczyna się przepychanka, na ziemię spadają jakieś metalowe narzędzia, wreszcie nastaje cisza. Ponownie tracę przytomność.

## **GRUDZIEŃ 1948 R. 92.**

Przyglądam dłonią rękawy marynarki. Sprowadzono ją specjalnie dla mnie, lecz w transporcie została wymięta. Nie może być na niej żadnego pyłku, a mankiety powinny wyglądać niczym wykrochmalone. To moja obsesja. Żałuję, że kołnierzyk koszuli nie jest dopinany i do tego stójka nie została należycie zaprasowana. Przynajmniej materiał jest śnieżnobiały, bez jakichkolwiek zagięć.

Wchodzę do sali tak prosty, jak tylko jestem w stanie. Wiem, że właśnie teraz skupia się na mnie uwaga całej publiczności. Zapada cisza. Asystujący mi strażnicy zwalniają kroku, więc ostatnie metry do drewnianej mównicy pokonuję sam. Zatrzymuję się i opieram o drewniany pulpit.

Naprzeciwko mnie znajduje się podwyższenie, na którym siedzi skład sędziowski. Trzy posępne twarze przypominają pyski drapieżnych ptaków szykujących się na żer. Jestem dla nich padliną, która na jakiś czas zaspokoi ich apetyty.

Po złożeniu krótkiej przysięgi otrzymuję prawo wygłoszenia ostatniej mowy. Wiedziałem, że to nastąpi, i powinienem się był do niej przygotować. Jednak uznałem to za stratę czasu. Wyrok i tak już zapadł, choć nie został jeszcze ogłoszony. Nawet przez moment nie starano się mnie mamić, że jest inaczej. Dlatego sędziowie sprawiają wrażenie zniecierpliwionych i znudzonych. Spodziewają się, że zacznę snuć jakiś długi wywód, jak wielu innych skazanych.

Odchrząkuję i zwieszam głowę. Przez chwilę zbieram myśli. Zastanawiam się, czy w ogóle powinienem cokolwiek powiedzieć, lecz dochodzę do wniosku, że wymaga tego szacunek dla prawa, czymkolwiek by było. A także szacunek do wuja Franza i do mnie samego. Szacunek. Chyba w życiu myślałem o nim zbyt wiele razy.

– Nie jestem i nigdy nie byłem nazistą – stwierdzam kategorycznie. – Wszelkie wyroki śmierci wykonywałem bezwarunkowo przekonany, że przysługuję się sprawiedliwości, swojej ojczyźnie oraz obowiązującemu prawu. Robiłem to przed dojściem narodowych socjalistów do władzy, po nim, a także po ich upadku. Nikt nie zrobiłby tego lepiej, bardziej profesjonalnie i starannie. Nie wstydzę się żadnego z tych czynów.

Milknę, a sędziowie natychmiast wbijają we mnie spojrzenia. Przewodniczący z szelestem przekłada kilka leżących przed sobą kartek.

– To wszystko? – pyta po chwili. – Nie doda pan nic więcej i nie odniesie się do oskarżeń w szerszym zakresie?

– Powiedziałem wszystko, co w tej sprawie należy powiedzieć. Cała reszta byłaby powtarzaniem tego samego.

Najmłodszy z sędziów kiwa głową, jakby się ze mną zgadzał. Przewodniczący odkasłuje, po czym obojętnie wzrusza ramionami.

– Jak pan chce... – rzuca pod nosem. – Wobec tego pozostaje już tylko wydanie wyroku.

Wśród publiczności za moimi plecami niesie się szmer. Dziennikarze i rozmaici ciekawscy przybyli tu tylko, by zobaczyć, co wydarzy się za chwilę. Spodziewali się, że wyrok zapadnie już na poprzedniej rozprawie, więc jego odroczenie stanowiło dla nich okropne rozczarowanie. Nie czekając na polecenie sądu, wszyscy podnoszą się z miejsc. Słyszę, że stają na baczność jak armia przed defilującym wodzem. Tyle że ten wódz został ustanowiony przez Amerykanów. Ma niemieckie rysy i niemiecki akcent, jednak nie pochodzi z jakiegokolwiek demokratycznego wyboru. Czy to czyni go mniej ważnym? Czy w ogóle jest kilka rodzajów sprawiedliwości? A może nie ma żadnego?

Te pytania pozostawiam bez odpowiedzi. Przewodniczący zaczyna odczytywać wyrok, a ja wysłuchuję go, starając się nie zdradzić żadnych emocji. Mimo to każde słowo jest niczym uderzenie młotka przybijającego wieko mojej trumny.

**1950 R.**

**93.**



Wyrok dwóch lat więzienia oraz konfiskaty połowy majątku jest przede wszystkim stygmatyzacją. Na jego mocy stałem się „nazistą”. Zaliczono mnie do członków poprzedniego reżimu, do zbrodniarzy i bandytów. Stałem na równi z tymi, którzy bez rozkazu i bez wyroku sądu strzelali do niewinnych ludzi. Stałem się równy medykom eksperymentującym na ludzkich płodach, zwykłym mordercom i sadystom.

Choć nie wierzyłem w niewinność, postanowiłem złożyć apelację. Wymagały tego mój honor oraz poczucie sprawiedliwości. Mimo to zapadły w postępowaniu odwoławczym wyrok złagodzenia sankcji do utraty jednej trzeciej majątku i zmniejszający karę więzienia do półtora roku nie stanowił zwycięstwa. Nie było nim też to, że w związku z tym, iż pozostawałem internowany przez prawie dwa lata, automatycznie zwolniono mnie do domu.

Nadal byłem nazistą i zbrodniarzem, tylko metaforycznie złagodzone pakiet moich win. Jednocześnie podkreślono je nałożeniem zakazów piastowania stanowisk w administracji państwowej oraz jakichkolwiek funkcji publicznych. Najwidoczniej nikt już nie potrzebuje katów. Albo tylko tak się wszystkim wydaje.

Powrót do domu niemal niczego nie zmienił. Wychodzę tylko po zakupy lub na krótki spacer, lecz większość czasu spędzam wśród czterech ścian, zupełnie jak w więzieniu. Odrzucam ideę pielęgnowania wspomnień, ale jednocześnie nie spoglądam w przyszłość. Trwam. To wszystko. Niektórzy nazwaliby to wegetacją.

Listy od żony i dzieci są tak rzadkie, że każdy z nich jest dla mnie oddzielnym świętem. Odkąd trafiłem do ośrodka internowania, Hans nie napisał żadnego z nich. Mimo że przecież on jeden zna mnie jak nikt inny. Powinien mnie rozumieć. Tyle że jest przecież dokładnie taki sam jak ja... To skomplikowane, ale chyba boli mnie właśnie to, że sam tego wszystkiego nie pojmuję. Zagubiłem się.

Zerkam na kopertę zaadresowaną równym, starannym pismem mojej żony. Nauczyłem się pielęgnować każdą chwilę tak troskliwie, że z listem w dłoniach siedzę już blisko od godziny. Obracam go, przykładam do nosa i ust. Nie ma w tym naiwnego romantyzmu ani nic sentymentalnego. Przynajmniej staram się nie myśleć o tym w ten sposób.

Za każdym razem zabawiam się sam ze sobą próbami przewidzenia tego, co zawiera list. Żona, pisząc tak rzadko, zazwyczaj ogranicza się do lakonicznych stwierdzeń o tym, że wszystko jest w porządku i że się za mnie modli. Nie zdaje sobie sprawy, ale upodabnia się do mojej matki.

Mam jednak nadzieję, że do jej listu załączona jest wiadomość od Hansa. Reszta dzieciaków być może już mnie wcale nie pamięta. Ich słowa dopisywane są jako postscriptum lub dodawane w nawiasach. Może to tylko wtręty czynione, by sprawić mi tę odrobinę przyjemności lub zachować pozory... Nie mogę tego wiedzieć na pewno. W ogóle nie chcę tego wiedzieć.

Zbliża się wieczór i odkładanie rozerwania koperty nie ma już sensu. Wiem, że jeśli przeczytam list zbyt późno, będę analizował jego słowa tak długo, że nie zasną. Dlatego sięgam po nóż do papieru, po czym delikatnie rozcinam kopertę. Wyciągam kartkę i powoli ją rozkładam.

Wiadomość jest zaskakująco krótka. Zaczynam ją czytać bez jakiegokolwiek dalszej zwłoki, gdyż nagle nachodzi mnie złe przecucie.

– Mój Boże... – szepczę, przebiegając wzrokiem kolejne linijki.

List wypada mi z rąk, a serce podchodzi do gardła. Zaczynam się cały trząść.

– Mój Boże – powtarzam. – Dość, dość!

Żona zdawkowo i całkowicie chłodno informuje mnie o terminie pogrzebu Hansa. Zgodnie z jej słowami nasz syn popełnił samobójstwo, nie mogąc znieść tego, że jego ojciec został uznany za nazistę. Prosi mnie też, abym rozważył, czy moja obecność na uroczystości jest potrzebna.

Po raz pierwszy od lat wybucham płaczem.

# 13 LAT PÓŹNIEJ

## 1963 R.

### 94.

Wiem, że wiele osób nazywa mnie stetryczalym, żalonym starcem. Przez ostatnie lata mocno się przygarbiłem, całkowicie posiwiałem, a moja twarz przypomina głęboko fakturowaną draperię.

Aby mieć argument do wychodzenia z domu, przygarnąłem ze schroniska psa, masywnego mieszańca teriera i molosa. Choć gdybym miał być całkowicie szczerzy, przyznałbym, że pretekst był zupełnie inny. Amos jest moim jedynym towarzyszem, pierwszym prawdziwym przyjacielem, jakiego mam od wielu lat. Może nawet pierwszym prawdziwym przyjacielem kiedykolwiek.

W porannym dzienniku radiowym reporter donosi o kolejnym morderstwie. Ofiarą jest taksówkarz, któremu poderżnięto gardło i ukradziono nocny utarg. To już trzeci zamordowany w ciągu kilku tygodni. Policja zdaje się całkowicie bezradna, a na nocnych taksówkarzy padł strach. Wykonują mniej kursów, staranniej wybierają klientów, coraz częściej odmawiają przejazdów. Cała sytuacja sprawia, że temat jest nadzwyczaj medialny. W radiu oczywiście tego nie powiedziano wprost, ale medialny jest przede wszystkim sposób popełniania zabójstw. Głębokie cięcie, od lewej do prawej, tak, że głowy ofiar zostają niemal odcięte od karków. Potężna siła użyta przez mordercę. Wnętrza samochodów tonące we krwi.

Wrażliwość społeczeństw zmienia się na naszych oczach. Teraz, prawie dwie dekady po wojnie, stajemy się narodem tolerującym przemoc i makabrę. Delektujemy się nimi, odczuwamy dużą satysfakcję z mrocznych filmów oraz lektury. Tyle że dla większości osób mowa jedynie o wymyśle fantazji, którego nigdy nie widzieli na oczy.

– Amos!

Przypinam metalową smycz do obroży psa i wychodzę z nim na dwór. Czasy publicznych drwin już się skończyły. Naśmiewanie się ze starca przestało być atrakcyjne i modne. Niektórzy mówią mi nawet „dzień dobry”. Większość jednak na mój widok odruchowo odwraca wzrok. Udaje, że mnie nie widzi. To wygodne dla wszystkich.

Wspierając się na lasce, idę krok za krokiem, a Amos stąpa tuż przy mnie. Co jakiś czas muszę przystanąć, by nabrać tchu. Momentami kręci mi się też w głowie.

W trakcie spacerów coraz częściej towarzyszą mi obrazy z przeszłości. Twarze ofiar, ich oczy, głowy, korpusy. Stosy ciał. Moje myśli wędrują ku ohydny obrazom, by nagle się rozmyć. Czy to emanacja wyrzutów sumienia? Nie sądzę. Nic mi o nich nie wiadomo. Jestem ze swoim życiem pogodzony tak mocno, jak może być człowiek czasów, w których żyłem.

Od śmierci Hansa popadłem w całkowitą apatię. Żyję, trwam, wstaję z łóżka i spaceruję z Amosem. To wszystko, do czego jestem w stanie zmusić ciało. Żona niemal do mnie nie pisuje. Uznałem, że nie będę nagabywał jej ani naszych pozostałych dzieci. Najlepsze życie będą miały, gdy całkowicie o mnie zapomną.

– Amos...

Mój pies nagle się stoszy i zaczyna warczeć. Podążam wzrokiem za jego spojrzeniem. W naszą stronę pewnym krokiem zmierza mężczyzna w brązowym, eleganckim garniturze. Idzie krokiem pułkownika lub jego ogarów, które mają mnie aresztować.

Teraz? Po latach?

Zatrzymuję się i ściągam smycz. Mężczyzna przyjacielsko wyciąga rękę, ale widząc czujną reakcję Amosa, natychmiast ją cofa. Uśmiecha się głupawo.

- Karl Wirtzman – przedstawia się, ale kompletnie nic mi to nie mówi.
- Przepraszam, moja pamięć...  
Elegancik niedbale macha ręką.
- Nie może mnie pan znać. Jestem dziennikarzem i chciałbym usłyszeć od pana krótki komentarz do ostatnich wydarzeń.
- Hę?
- Do morderstw taksówkarzy. To sprawa, która teraz zajmuje wszystkich... – Mężczyzna wyciąga notes i pióro. – Znaczna część społeczeństwa chciałaby przywrócenia kary śmierci. Przynajmniej dla sprawców takich zbrodni...
- Uśmiecham się pod nosem.
- Ja już jej nie wykonam – stwierdzam lakonicznie, po czym ruszam z Amosem w głąb parku.

*To komentarz Reichharta, na podstawie którego poniosła się plotka, jakoby był on przeciwny karze śmierci. Przeczą temu dalsze fakty. Choć zdziwaczały, jeszcze w 1963 r. zgodził się zostać honorowym członkiem „Stowarzyszenia na rzecz przywrócenia kary śmierci”. Działal w nim i kilkakrotnie publicznie wypowiadał się, że gilotyny znów powinny zostać użyte.*

## GRUDZIEŃ 1971 R.

### 95.

- Ona ma twarz Sophie Scholl. A jeśli Scholl przeżyła? Czy mogę ufać swojej pamięci?
- Kucam i spoglądam prosto w ciemne oczy mojego psa. Amos nerwowo ziewa. Spacerujemy wzdłuż jednej z głównych ulic Deisenhofen. Przez ostatnie lata złało się ono w jedno z Oberhaching. Jednak nadal nie zapuszczam się poza swoje rewiry. Jestem jak dziecko, które bawi się w bandy oraz bazy, świadome, że idąc na nieznaną teren, może zostać solidnie złane.
- Ale tamta kobieta naprawdę miała rysy Sophie Scholl. Choć zaraz... Czy nie pomyliłem jej z Erną Hasselbeck? Wstaję, gotów rzucić się za nią biegiem. Jest ślisko, zwały śniegu utrudniają mi poruszanie, a laska wysmykuje się z dłoni.
- Przepraszam, halo! – krzyczę, a Amos zaczyna ujadać. Nie wie, co się dzieje. – Proszę pani!
- Kobieta odwraca się i wymierza mi przelotne spojrzenie mocno podkreślonych makijażem oczu. Momentalnie przyśpiesza kroku. Oddalając się, poprawia czerwony beret i stawia kołnierzyk płaszczka. Rozgląda się, najwyraźniej sprawdzając, czy wokół są gotowi jej pomóc ludzie.
- Nie zamierzam jej ścigać. To nie jest Erna ani Sophie. Ta kobieta ma rysy jakiejś innej osoby. Pamiętam tę głowę, te specyficzne ruchy karku oraz spojrzenie. Na pewno jest jedną ze skazanych, które trafiły na moją gilotynę. Wiem, że nie żyje.
- Ci wszyscy ludzie dokoła też są martwi. Wąsaty optyk przyglądający mi się zza szyby, dwójka dzieci ciągnących sanki, krzepki mężczyzna w bawarskim stroju.
- Spoglądam na swoje odbicie w sklepowej witrynie. Ja też pewnie jestem martwy. Widzę siebie, choć tak naprawdę to tylko złudzenie mózgu czerpiącego ostatnie zasoby tlenu. Moja głowa leży gdzieś w koszu pełnym trocin. Ktoś jak najszybciej powinien ją potrząsnąć, a potem wyrzucić. Gdziekolwiek. Nie sądzę, by mój mózg mógł się przydać studentom akademii.
- Amos – szepczę. – Chodźmy.
- Spoglądam na świąteczne dekoracje i przypominają mi się święta z czasów dzieciństwa. Rodzice, wuj Franz, rodzeństwo, kuzynostwo... Teraz niemal wszyscy są martwi. Zapominam się

pomodlić za ich dusze, a nie zamierzam odwiedzać cmentarzy. Nie znoszę ich.

Słyszę skrzywienie szybkich kroków i odruchowo zerkam przez ramię. Tuż obok mnie przechodzi Otto Strumpf. Ma bladą twarz oraz rozwarte usta. Spomiędzy warg wystaje język. Jego oczy są zapadnięte, ciemne, jakby wbito je w głąb czaszki.

Odskakuję jak oparzony. Potykam się i niemal upadam. Amos ciągnie mnie do przodu, dzięki czemu utrzymuję równowagę.

– Otto...

Odwracam się, ale Strumpf zniknął. Rozwiął się wraz z porywem wiatru niosącym drobinki śniegu. Pozostał po nim jedynie mdły zapach krwi w powietrzu. Wyraźnie czuję, jak oblepia moje nozdrza i ścianki gardła.

– Czy my w ogóle dziś coś jedliśmy? – pytam ni to siebie, ni psa.

Nie pamiętam. Wiem, że mam dwieście marek renty, za które trudno mi związać koniec z końcem. Nie chcę prosić ani o feniga więcej.

Strumpf znów pojawia się tuż obok mnie. Wyciąga ku mnie dłoń pozbawioną palców.

– Nie... Odejdź.

Tracę oparcie i upadam. Wokół słyszę upiorny śmiech dobywający się z rozprutych gardeł.

## **KWIECIEŃ 1972 R., SZPITAL PSYCHIATRYCZNY W ALGASING 96.**

Spoglądam za okno. Po miesiącach śmiertelnej ciszy świat zaczyna się powoli zielenić. Pola i odległy las na powrót zaczynają ożywać. Czy to samo dzieje się z człowiekiem? Może śmierć jest jedynie zimą, po której musi nastać wiosna? To niezbyt miła myśl.

Z ostatnich tygodni pamiętam bardzo mało. W większości to przebłyski pytań oraz chaotycznych skojarzeń. Teraz czuję się lepiej. Przynajmniej mam świadomość, że duchy, które mnie otaczają, nie istnieją.

Albo tylko mnie jest dane je widzieć.

Tę ostatnią myśl dopuszczam z satysfakcją dziecka robiącego rodzicom psikusy i czytającego książkę z latarką schowaną pod kołdrą. Niech ich wszystkich trafi szlag.

Za każdym razem, gdy odzyskiwałem świadomość, zależało mi tylko na jednym. Pytałem o Amosa, prosząc, by pozwolono mu ze mną zamieszkać. Wykręty lekarzy oraz fakt, że nikt nigdy mnie nie odwiedził, nie pozostawiają złudzeń.

Amos został uśpiony. Nie widzę innego wyjścia i już całkowicie się z tym pogodziłem. Teraz czas, by mnie uśpiono. By dopadł mnie hycel dybający na ludzi.

– Jak się pan dziś czuje, panie Reichhart?

Przy moim fotelu staje wysoki jak tyczka lekarz. Ma tak długie ręce, że jego mundurek kończy się kilka centymetrów ponad nadgarstkami. Wbijam spojrzenie w to miejsce i nachodzą mnie męczące, chaotyczne myśli.

– Panie Reichhart?

– Tak, tak... – mruczę. Unoszę palec i wskazuję na jego rękaw. – Powinien coś pan z tym zrobić. Krawiec na pewno by sobie z tym poradził... To nieeleganckie. Za krótkie rękawy to brak szacunku...

– Naprawdę? – Lekarz zakłada ręce za plecy i przypatruje mi się z uśmiechem. – Chciałby pan szacunku?

– Nie ja. Śmierć.

Psychiatra nachyla się, by mnie usłyszeć. Zdaje się, że mówię wyjątkowo cicho i bełkotliwie, choć wydaje mi się, że niemal krzyczę. Daleko za oknem przemykają cienie. Las kryje się za zasloną mgły, mimo że przecież jest pogodny dzień.

– Czy pan mnie słyszy? – Lekarz kładzie dłoń na moim ramieniu i delikatnie nim potrząsa. Wiem o tym, choć tego nie czuję. W jego twarzy dostrzegam rysy którejs z swoich ofiar. Dlatego zawsze był dla mnie opryskliwy.

– Chcę stąd odejść. Wypuście mnie do domu.

– Nie rozumiem, co pan mówi. Szybko! Do mnie!

Lekarz przywołuje kogoś z personelu, a ja spuszczam głowę na pierś. Nie mam siły trzymać jej w pionie. Gdyby tylko mięśnie karku były nieco słabsze... Gdyby tak głowa mogła odpaść od mojego korpusu i potoczyć się po ziemi, daleko, aż ku schodom...

– Jest niemal całkowicie sparaliżowany! Szybko, pomóżcie mi go przenieść na łóżko.

Słyszę te słowa lekarza, lecz nie rozumiem ich sensu. Dobiegają do mnie z bardzo daleka. Tymczasem mgła z sekundy na sekundkę rozlewa się wokół mnie i wciska w każdy kąt. Jej wilgotne cząsteczki osiadają na mnie jak pot.

Sam staję się mgłą.

## 26 KWIETNIA 1972 R.

### 97.

Jestem więźniem.

Skazano mnie na karę jeszcze gorszą od ścięcia. Zamknięto mnie w martwym ciele, z którego nie mogę uciec. Dobijam się, lecz nikt mnie nie słyszy.

– Panie Reichhart. Zabił pan mojego ojca.

Lekarz spogląda mi prosto w oczy. Nachyla się ku mnie z najbliższej odległości i się uśmiecha. W jego oczach nie ma ani krzty litości.

Nie mogę mu odpowiedzieć. Nie mogę wykonać najmniejszego ruchu ani choćby mlasnąć. Reaguję jedynie kilkoma mrugnięciami. To nie są przeprosiny. Całe życie postępowałem tak, jak...

Jak...

Sam nie wiem. Teraz pragnę jedynie stąd uciec. Boże...

Czy w ściętych głowach tkwi taka sama świadomość? A może to właśnie jest wieczność? Pozostajemy świadomi w martwych, gnijących ciałach. Na zawsze. Błagamy o wolność, lecz wolni bywamy jedynie za życia. Potem pozostajemy niewolnikami naszych własnych szczątków.

Lekarz odchodzi, a ja spoglądam na beżową, gładką ścianę.

Nigdy nie dopuszczałem myśli, że być może śmierć nie istnieje. Wszyscy stajemy się świadkami własnego rozkładu, a potem...

*Johann Reichhart zmarł w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat. Nikt z jego rodziny nie miał już możliwości kontynuowania wielopokoleniowej tradycji katowskiej.*

—=FADE TO BLACK=—

Według rozmaitych obliczeń, tabel oraz raportów szacuje się, że Johann Reichhart wykonał co najmniej 3165 egzekucji.

Freisler Roland (nazywany „Wieszającym sędzią”) zginął 3 lutego 1945 r. w trakcie amerykańskiego nalotu na dziedzińcu Trybunału Ludowego w Berlinie.

Woods John (1911–1950) wykonał kilkadziesiąt egzekucji na niemieckich zbrodniarzach wojennych oraz żołnierzach amerykańskich skazanych za przestępstwa przez sądy wojenne. Zginął na skutek przypadkowego porażenia prądem.

Działalność Sophie Scholl oraz jej brata została wielokrotnie upamiętniona w formie popiersi oraz tablic. Jeden z dziedzińców Uniwersytetu Ludwika i Maksymiliana w Monachium nosi nazwę „Rodzeństwa Schollów”.

## POSŁOWIE

Prawda znów okazuje się bardziej przerażająca od najwymyślniejszej fikcji, czyż nie? Ale w nieco inny sposób, niż miało to miejsce w tej serii dotychczas.

Spisane przeze mnie historie zbrodniarzy hitlerowskich – Ilse Koch, Amona Goetha czy też Josepha Mengelego – opierały się na poczuciu władzy, bezkarności i zwykłym sadyzmie przedstawionych osób. Tymczasem w przypadku Josepha Reichharta moją uwagę zwróciło coś całkowicie innego.

Czy można go uznać za zbrodniarza? Czy kat, w myśl przysłowia, zawsze jest niewinny? Wbrew obiegowej narracji oraz powszechnej opinii o Reichharcie trudno mu cokolwiek zarzucić. Oczywiście, można twierdzić, że tak samo jak on rozkazy wykonywali oprawcy z SS, Gestapo czy zbrodniarze Wehrmachtu. Tyle że jego działania pozbawione były jakiegokolwiek podłoża ideologicznego. Samo wykonanie kary śmierci – *per se* – nie jest zbrodnią. Jest nią zamordowanie cywila albo jeńca wojennego, lecz jeżeli ci zostali osądzeni, zbrodnia niejako się legitymizuje. Jej ciężar przejmowany jest przez państwo, ustrój lub władzę przewodzącą.

Jednym z argumentów wytaczanych przez przeciwników kary śmierci jest ten, że w systemie, w którym jest dopuszczalna, niejako zmusza się sędziów do obciążania sumienia „zabijaniem” w myśl litery prawa. To absurd. Sędzia jest jedynie ustami ustawy. Zbrodniarz (bez względu na definicję) popełniający przestępstwo zagrożone karą śmierci sam się na nią skazuje. Można to określić swoistym samobójstwem i właśnie tak tłumaczył to Reichhart.

Tymczasem skoro sędzia jest jedynie ustami ustawy, kat jest jej ręką. Reichhart wykonaniu kary śmierci jest tak samo winny jak miliony Niemców, które demokratycznie wybrały władze reformujące system prawny. Postulaty NSDAP były w wyborach całkowicie jawne i klarowne. Oczywiście, w kolejnych latach ewoluowały już w sposób niedemokratyczny, ale pamiętajmy o punkcie wyjścia. Dlatego czy w ogóle możemy tworzyć definicje „zła” oraz „zbrodni”? Jaka większość może je ustanawiać i sankcjonować? Większość wyborcza czy też siła zwycięzców? Przecież procesy norymberskie, w rozumieniu czysto etycznym, były procesami jeńców wojennych i to takich, którzy w znacznej mierze dobrowolnie się poddali. Czy kwestionując karę śmierci, kwestionujemy wyroki, które w nich zapadły? Czy poddajemy w wątpliwość ich zgodność z prawem natury? Jeżeli tak, dokonujemy osądu opartego tylko subiektywnie, w myśl indywidualnie pojmowanej etyki, moralności lub legitymizmu. Idąc dalej, czy kaci wykonujący wyroki śmierci na zbrodniarzach hitlerowskich sami nie byli zbrodniarzami? Oto dochodzimy *ad absurdum*.

Nie ma potrzeby roztrząsać tego zagadnienia. Każdy powinien się nad nim pochylić i mam nadzieję, że ta historia nakłoni Państwa właśnie do przemyśleń oraz wyrobienia własnego osądu. Nie o Reichharcie, lecz o moralności, o istocie kary śmierci oraz o... demokracji, czyli bezwzględnej woli większości.

Obecnie, wpisując w wyszukiwarkę hasło „Johann Reichhart”, można znaleźć mnóstwo materiałów o „zbrodniarzu”, „hitlerowcu” oraz „oprawcy”. Demokratyczna większość, a także „zwycięzcy” już go osadzili. Niemal nie wspomina się o etosie jego pracy i o tym, że wykonywał wyroki w czasach Republiki Weimarskiej oraz na zlecenie aliantów. Nie wzmiankuje się o jego ogromnym szacunku wobec skazanych ani o wierze, że jego „wynałazki” przyczynią się pozbawianiu życia w bardziej humanitarny sposób. Humanitarność... Ponownie moglibyśmy zagłębić się w debatę o definicjach. Ważne jest, byśmy wszyscy mieli własne zdania

i przemyślenia, choćby te doprowadzały nas do wniosków godzących w ogólnie przyjęty „porządek rzeczy”. To właśnie, moim zdaniem, stanowi największą wartość tej historii. To owa prawda, która przeraża bardziej od najwymyślniejszej fikcji.

Czyżbyśmy wszyscy byli potencjalnymi zbrodniarzami? A może zło w ogóle nie istnieje, lecz jest kwestią umowy społecznej? Mam nadzieję, że kolejna pozycja z tego cyklu przyniesie kolejne pytania... Wszak to pytania bywają istotniejsze od odpowiedzi.

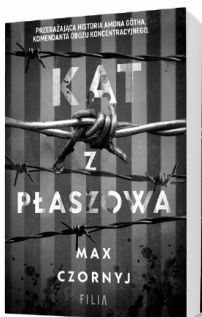
Ukłony

Max Czornyj

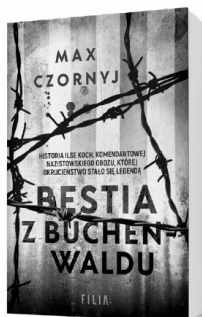




PRAWDA BYWA BARDZIEJ PRZERAŻAJĄCA  
OD NAJWYMYŚLNIJSZEJ FIKCJI



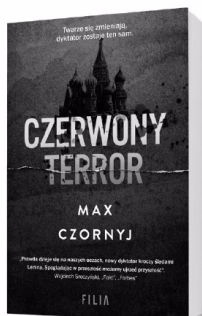
Przerażająca historia Amona Götha, komendanta obozu koncentracyjnego.



Historia Ilse Koch, której okrucieństwo stało się legendą.



Historia Josefa Mengelego, osławionego Anioła Śmierci z Auschwitz.



Historia Lenina, człowieka, który przedłożył szalone idee nad życie całych narodów.

**FILIA**

**NA FAKTACH**



## **SPIS TREŚCI**

[Strona tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[Cytat](#)

[\\*\\*\\*](#)

[1.](#)

[2. WCZEŚNIEJ](#)

[3.](#)

[4.](#)

[5.](#)

[6.](#)

[7.](#)

[8.](#)

[9.](#)

[10.](#)

[11.](#)

[12.](#)

[13.](#)

[14.](#)

[15.](#)

[16.](#)

[17.](#)

[18.](#)

[19.](#)

[20.](#)

[21.](#)

[22. TRZY LATA PÓŹNIEJ](#)

[23.](#)

[24.](#)

[25.](#)

[26.](#)

[27.](#)

[28.](#)

[29.](#)

[30.](#)

[31.](#)

[32.](#)

[33.](#)

[34.](#)

[35.](#)

[36.](#)

[37.](#)

[38.](#)

[39.](#)

[40.](#)

[41. 1937 R.](#)

[42.](#)

[43.](#)

[44.](#)

[45.](#)

[46.](#)

[47.](#)

[48.](#)

[49.](#)

[50.](#)

[51.](#)

[52.](#)

[53.](#)

[54.](#)

[55. 1940 R., WIEDEN](#)

[56.](#)

[57.](#)

[58.](#)

[59.](#)

[60.](#)

[61.](#)

[62.](#)

[63. LUTY, 1943 R.](#)

[64.](#)

[65.](#)

[66. 22 PAŹDZIERNIKA 1943 R.](#)

[67.](#)

[68. 21 LIPCA 1944 R.](#)

[69.](#)

[70.](#)

[71.](#)

[72.](#)

[73. 2 LISTOPADA 1944 R.](#)

[74. GRUDZIEŃ 1944 R.](#)

[75.](#)

[76.](#)

[77.](#)

[78. TRZY DNI PÓŹNIEJ.](#)

[79.](#)

[80.](#)

[81. SIERPIEŃ 1945 R.](#)

[82.](#)

[83.](#)

[84.](#)

[85.](#)

[86.](#)

[87.](#)

[88.](#)

[89. MAJ 1947 R.](#)

[90.](#)

[91.](#)

[92. GRUDZIEŃ 1948 R.](#)

[93. 1950 R.](#)

[94. 13 LAT PÓŹNIEJ 1963 R.](#)

[95. GRUDZIEŃ 1971 R.](#)

[96. KWIECIEŃ 1972 R., SZPITAL PSYCHIATRYCZNY W ALGASING](#)

[97. 26 KWIETNIA 1972 R.](#)

[POSŁOWIE](#)

[Karta redakcyjna](#)

Copyright © by Max Czornyj, 2023  
Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2023

Projekt okładki: © Mariusz Banachowicz

Redakcja: Marta Akuszczyńska  
Korekta: RedKor Agnieszka Luberańska, Jarosław Lipski  
Skład i łamanie: Dariusz Nowacki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:  
„DARKHART”  
Dariusz Nowacki  
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8280-699-1

**FILIA**

Grupa Wydawnicza Filia sp. z o.o.  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofilia.pl  
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA NA FAKTACH